BEZPRAWIE I SIŁA

ZGWAŁCONA WIELKA BRYTANIA. STRASZLIWA AFERA WSTRZĄSA KRAJEM

TEN TRZECI. KTO MOŻE ZOSTAĆ KUKIZEM TEJ KAMPANII

UMOWA UE–MERCOSUR TO ZAORANIE EUROPEJSKIEGO ROLNICTWA

SIECI

MOCNY TEKST JANA ROKITY O „RZĄDACH OSOBISTYCH TUSKA"

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
3 (633) 2025
13–19 stycznia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CZY WOLNO PYTAĆ PANA OWSIAKA?

NARASTAJĄ WĄTPLIWOŚCI WOKÓŁ DZIAŁAŃ WOŚP I JEJ SZEFA. ALE ZAMIAST ODPOWIEDZI DOSTAJEMY EMOCJE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 20 I 2025 r.

eprasa.pl/cdcd0af3d8

POLITYKA
NA DESER
codziennie
21:30
wPolsce 24
Wydarzenia dnia w lekkiej formie i z humorem.
zaprasza
Stanisław Janecki
zaprasza
Dorota Łosiewicz
zaprasza
Krzysztof Feusette

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl cdcd0af3d8

Ministrze, podpisz pan, co trzeba i uciekaj z tej kliki

Michał Karnowski

Żadne ustawki i manewry rządowej propagandy (poszły na to miliardy, choć miały na onkologię) nie przykryją oczywistego dla wszystkich prawników faktu, że po decyzji Państwowej Komisji Wyborczej minister finansów Andrzej Domański ma obowiązek niezwłocznie wypłacić należne pieniądze głównej partii opozycyjnej.

Potwierdzają to także liczni prawnicy cytowani przez media bliskie władzy. Nawet dział prawny Ministerstwa Finansów nie chce firmować tego bezprawia. Amerykanie i instytucje międzynarodowe naciskają w tej sprawie, bo wiedzą, że masowe zgarnianie do aresztów polityków opozycji oraz pozbawianie ich dostępu do pieniędzy i mediów to stare numery wszystkich dyktatorów.

W tym wszystkim nagle znalazł się minister Andrzej Domański. Człowiek dość nowy w polityce, ze świata biznesu, z wykształceniem ekonomicznym. W kampanii wyborczej też wprawdzie brał udział w zakłamanych wyprawach śladami rzekomych „pisowskich milionerów", ale ogólnie nie jest politykiem i nim nie będzie. Nie ma w nim tego głodu, nie ma tej determinacji, gotowości do zapłacenia wysokiej ceny, koniecznych, by zakotwiczyć na dłużej. On sam też to pewnie wie.

W zamian za żądaną przez Tuskową klikę lojalność przestępczą niewiele zyska. Może natomiast bardzo dużo stracić.

Jeżeli zgodzi się na przestępcze wstrzymanie przelewów dla Prawa i Sprawiedliwości, wbrew prawu i na podstawie wpisów internetowych premiera, popełni przestępstwa urzędnicze, a także będzie winny zamachu na ład prawny i konstytucyjny państwa. Bo wedle naszej konstytucji siły polityczne rywalizują w sposób równy w wolnych wyborach. To bardzo poważna sprawa.

To są rzeczy, które nigdy się nie przedawnią. To są rzeczy, o których wolna Polska nigdy nie zapomni. Przeminie Tusk, nie będzie już śladów po wielu obecnych sporach, a państwo polskie będzie musiało ścigać Andrzeja Domańskiego, by postawić go przed sądem i innymi trybunałami. I państwo polskie to zrobi.

Dlatego zwracam się do ministra Domańskiego: najlepsze, co może pan dziś zrobić, to wykonać decyzję PKW, po czym odejść z kliki, która żąda od pana tak brudnych rzeczy. Jest jasne, że z czasem będzie się domagała kolejnych bezprawnych działań. Będzie z tego dla pana duże nieszczęście. Ma pan jeszcze szansę uciec spod tej gilotyny. Ma pan gdzie, ma pan swój dorobek, nie jest pan niewolnikiem polityki.

Ministrze Domański, podpisz pan, co trzeba i uciekaj, póki możesz, z tej kliki, która żąda od pana złamania prawa i wciąga w zamach stanu!

MATERIAŁ REDAKCYJNY

Autopromocja

eprasa.pl cdcd0af3d8

SIECI spis treści

27 W oparach absurdu
Piotr Gursztyn

42 Czekając na konklawe
Grzegorz Górny

65 Szukając Świętego Graala
Piotr Ostrowski

NA POCZĄTEK

5 **UE, CZYLI KORUPCJA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **ROZDARCIE MINISTRA**
Krzysztof Feusette

9 **KOSINIAK WALECZNY**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **NIE WRÓŻY TO DOBRZE ANI PRZEMYSŁOWI, ANI ROLNIKOM, ANI DOMOWYM BUDŻETOM**
Daniel Obajtek

13 **STOP NIELEGALNEJ MIGRACJI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MARCINA DZIENISZEWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **DWA PLEMIONA?**
Jan Pietrzak

16 **OPINIORZĄDNOŚĆ**
Samuel Pereira

17 **TRANSAKCYJNOŚĆ W OBLICZU ŚMIERCI MILIONÓW**
Arkadiusz Mularczyk

18 **KONTROLERZY TREŚCI**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **OWSIAK NA WOJNIE Z SEPSĄ**
Konrad Kołodziejski

KRAJ

24 **ROK TUSKA**
Jan Rokita

27 **W OPARACH ABSURDU**
Piotr Gursztyn

30 **TEN TRZECI**
Stanisław Janecki

34 **NIESIOŁOWSKI NA RATUNEK**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

36 **UMOWA WIDMO CZY UMOWA SEKRET?**
Dariusz Matuszak

39 **ZGWAŁCONA WIELKA BRYTANIA**
Marek Budzisz

42 **CZEKAJĄC NA KONKLAWE**
Grzegorz Górny

45 **KRYM, BEZCENNY PÓŁWYSEP**
Rozmowa Piotra Słabka

48 **PREZYDENCJA Z DYKTY?**
Aleksandra Rybińska

50 **CZY CHORWACI PRZETRWAJĄ W CHORWACJI?**
Goran Andrijanić

OPINIE

52 **NARCYSTYCZNE TRUCIZNY**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

55 **AKTORKA NIEUSTRASZONA**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **STATYSTYKA I DEMAGOGIA**
Robert Tekieli

59 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

60 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

62 **JEDYNA UCIECZKA KOBIET Z PAWIAKA**
Stanisław Płużański

POZA HORYZONTEM

65 **SZUKAJĄC ŚWIĘTEGO GRAALA**
Piotr Ostrowski

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: JĘDRZEJ TARANEK**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **UCIECZKA OD PYTAŃ**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **OTĘPIENIE**
Aleksander Nalaskowski

73 **GLORIA VICTIS, CZYLI NIESPRAWIEDLIWE PLEBISCYTY**
Ryszard Czarnecki

74 **TRZY ŚWIĄTECZNE TYGODNIKI**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl cdcd0af3d8

BRONISŁAW WILDSTEIN

UE, czyli korupcja

Czy afera Didiera Reyndersa, byłego komisarza sprawiedliwości i przyjaciela m.in. Bodnara, jak wiele jej podobnych pokryje się kurzem w przepastnych archiwach UE, nie szkodząc niczym temu szacownemu politykowi? Czy możemy mieć pewność, że nie wróci on w chwale, aby dbać o praworządność na naszym kontynencie ze szczególnym uwzględnieniem Polski? Dziś lepiej rozumiemy jego troskę o wybór „właściwych" sędziów również w naszym kraju. Dlaczego nie miałby zostać raz jeszcze komisarzem sprawiedliwości, jeśli w momencie mianowania go w 2019 r. odór finansowych przekrętów ciągnął się za nim co najmniej od 20 lat?

Kiedy Reynders odpowiadał za belgijską Agencję ds. Nieruchomości, prywatyzacja kilkudziesięciu budynków państwowych pociągnęła za sobą stratę 1,7 mld euro. Jako minister spraw zagranicznych Belgii wybudował niezwykle drogą ambasadę w Kinszasie, dla której trudno było znaleźć uzasadnienie, natomiast łatwo relacje na temat towarzyszącej temu korupcji. W aferze Fortisgate jako premier naciskał na wymiar sprawiedliwości, aby sprawę umorzyć. Itd.

Tuż przed objęciem funkcji w KE wróciły zarzuty prania brudnych pieniędzy i korupcji, jakie wobec Reyndersa wysunął agent belgijskiego wywiadu. I jak w poprzednich przypadkach, prokurator sprawę umorzył. Tym razem jednak w iście ekspresowym tempie – trzeba było zdążyć przed inauguracją.

Czy niedługo okaże się, że nikt z zatroskanych o praworządność w Polsce polityków UE nie ma na koncie finansowych przekrętów? Za brak praworządności gromili rząd PiS liderzy UE, a z czasem okazało się, że również bohaterowie Katargate, którzy setki tysięcy euro z Bliskiego Wschodu przechowywali w plastikowych workach, tacy jak Eva Kaili, Antonio Panzeri czy Luca Visentini, sekretarz generalny Międzynarodowej Konfederacji Związków Zawodowych.

Walczyli oni o praworządność nie tylko w Polsce. Panzeri założył prestiżową w UE organizację Fight Impunity (Zwalczaj Bezkarność). W jej radzie doradczej zasiadali m.in. była szefowa unijnej dyplomacji Federica Mogherini, były premier Francji Bernard Cazeneuve i były europejski komisarz ds. migracji Dimitris Avramopoulos.

Inny bohater Katargate, Niccolò Figà-Talamanca, był sekretarzem generalnym No Peace Without Justice (Nie Ma Pokoju Bez Sprawiedliwości), instytucji, która zajmuje się w Europie kwestiami praworządności i praw człowieka.

Niektórzy z nich odsiedzieli nieco w areszcie (nie, nie obawiajmy się, nie były to warunki, w jakich znalazł się ks. Olszewski), ale czy słyszeliśmy o poważniejszych konsekwencjach, które ich spotkały? A niby dlaczego miałyby?

Oto sprawa, przy której dziesiątki, jeśli nie steki milionów euro z wymienionych afer nie znaczą nic. W trakcie pierwszej fali COVID-19 UE zakupiła 4,5 mld szczepionek za 71 mld dol. Liczba mieszkańców UE to niecałe 450 mln. Część szczepionek została zniszczona. Europejski Trybunał Rozrachunkowy, który domagał się dokumentów w sprawie, po raz pierwszy w historii ich nie otrzymał.

Najbardziej szokująca jest trzecia transza zakupów: 1,8 mld dawek szczepionki Pfizera za 35 mld euro. Tajne negocjacje w tej sprawie prowadziła indywidualnie i bez żadnych uprawnień przewodnicząca UE Ursula von der Leyen z szefem firmy Albertem Bourlą. To w ich trakcie radykalnie podniesiono cenę tych samych szczepionek, a przy okazji wprowadzony został obowiązek ich zakupu. Pomimo wezwań (niektórych) dziennikarzy, treści rozmów nie ujawniono. Wprawdzie w listopadzie ub.r. TSUE uznał, że KE powinna e-maile między kontrahentami pokazać, ale... nie zostały one odnalezione.

Oczywiście sprawa nie miała znaczenia dla kolejnej nominacji von der Leyen na szefa KE. Tak jak na jej pierwszy wybór nie wpłynęło to, że jako minister obrony narodowej doprowadziła Bundeswehrę do zapaści, gdyż pieniądze na kupno nowej broni w całości zostały zużyte na konsultacje w tej sprawie. Firma prowadząca je zatrudniała męża pani minister, a ich wyniki wylądowały w koszu. O ile jednak nie wpłynęło to na europejskie awanse von der Leyen, to zamknęły przed nią perspektywy w RFN. I na tym polega różnica między polityką krajową a jej unijną emanacją.

Przeczyłaby temu kariera Reyndersa, ale polityka belgijska należy do najbardziej zdegenerowanych w Europie – to konsekwencja powoływania sztucznych krajów złożonych z odmiennych narodowości.

Zwykle nawet tak ograniczony wariant demokracji, jaki stanowi jej liberalne wcielenie, posiada bezpieczniki w rodzaju opinii publicznej, której cierpliwość ma granice. W przypadku UE, od której polityki mieszkańcy Europy są oddaleni i na stanowiska której nie mają żadnego wpływu, bezpiecznik przestaje funkcjonować.

Unijna korupcja wyrasta nie tylko z poczucia bezkarności, lecz także stanowi mechanizm jej działania. Reprezentantów krajów słabszych establishment UE przekupuje stanowiskami i dywidendami. Przykład Tuska to tylko wierzchołek góry lodowej. I tak rozkwita unijna merytokracja – władza tych, którzy mają zasługi.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cdcd0af3d8

Sygnalista nadaje

„Donald w operze” czy „Alicja w Krainie Czarów”? Który spektakl państwo wybierają? My oczywiście „Donalda w operze”, mimo że nas nie zaproszono. Żałujemy, zwłaszcza że nie padliśmy ofiarą ogólnoeuropejskiej epidemii zapalenia płuc. Ale i tak popieramy. I dobrze, że w ostatniej chwili została odwołana ta „Alicja”, bo trzeba było przecież zrobić jakąś inaugurację prezydencji w Unii Europejskiej.

Otóż udało się to uczynić w Teatrze Wielkim – Operze Narodowej (paskudny ten przymiotnik, zupełnie nieinkluzywny). Fajnie, że nie było Andrzeja Dudy, który nie jest prawdziwym prezydentem, bo jest nim prezydent naszych serc Małgorzata Kidawa-Błońska. Szkoda, że na zapalenie płuc pochorowali się wszyscy ważni Europejczycy i nie towarzyszyli premierowi Tuskowi w śpiewaniu „O radości, iskro bogów”. Lista zachorowań naprawdę jest wstrząsająca – zaniemogła Ursula von der Leyen i jej 5 zastępców. Zachorowała też przewodnicząca Parlamentu Europejskiego ze wszystkimi 14 zastępcami. Choroba powaliła również szefa NATO oraz wszystkich premierów i prezydentów państw unijnych. Widzicie! Trzeba nosić maseczki, bo może was ominąć taki fajny koncert.

Anglicy mają Rowana Atkinsona, czyli Jasia Fasolę, a my mamy ***Andrzeja Domańskiego***. I niech to oni nam zazdroszczą, bo trudno znaleźć większego nieszczęśnika niż Domański. Wiadomo, że Andrzej gra teraz ważną rolę w slapstickowej komedii, której tematem jest poszukiwanie autora opinii prawnej w sprawie, której nie da się uzasadnić. To znaczy jeśli ktoś spróbuje to zrobić, będzie z tego kupa śmiechu i na tym polega cały komizm tej burleski.

W serialu o pechowym Andrzeju pojawił się nowy wątek, na pozór mało związany z główną intrygą. ***Krzysztof Bosak*** obraził całą postępową ludzkość, mówiąc, że autorytety prawnicze to prostytutki. My też się oburzamy, bo tak przecież nie można mówić o krakowskich intelektualistach, profesorach dziedzicznych, którzy od kilkunastu pokoleń orzekają, co jest słuszne, a co nie. Tymczasem nasz Jaś Fasola z Ministerstwa Finansów rozumie słowa Bosaka inaczej – a gdzie w tym wada? Chyba jedynie taka, że tym autorytetom trzeba dużo płacić i jeszcze udawać, że się ich szanuje. Trwają zatem negocjacje w sprawie ceny.

Skrajnie prawicowy i populistyczny narodowo-katolicki kandydat na prezydenta, czyli ***Rafał Trzaskowski***, odbył spotkanie z rolnikami. Bardzo ciekawa sprawa. Okazało się, że oni naprawdę istnieją. Rafał był zaskoczony, że chodzą na dwóch nogach, bo nigdy wcześniej nie widział ich na żywo. Tylko w internecie. Na dodatek okazało się, że potrafią mówić i można ich zrozumieć, choć nie mówią „bonjour”.

Dzięki rozmowie z osobami rolniczymi kandydat Rafał dowiedział się wielu ciekawych rzeczy. Np. tego, że wprawdzie mleko jest ze sklepu, ale najpierw musi być krowa. Wiedzieliście?

Może coś o Szymonie Hołowni? Tylko czy jest o czym pisać? No bo Szymon ma jakieś pomysły, ogłasza je, ale nawet Włodek Czarzasty je wyśmiewa i traktuje go jak ostatnią ścierkę. Włodek ma rację, mówiąc o Szymku, że jest rozmemłany. Ale wszyscy to wiedzą, więc po co o tym głośno mówić?

eprasa.pl cdcd0af3d8

Spotkanie z tymi zaskakującymi istotami (rolnikami, krowy nie przyszły) odbyło się na wyspie Wolin. Dziwna jest ta wyspa, jakaś inna niż Zanzibar. Nie ma tam żadnych palm ani Murzynów sprzedających pamiątki na plaży. I w ogóle było zimno, więc Rafał oraz jego sztabowcy uznali, że nie ma sensu tam wracać.

Malkontenci, kręcinoski, jajogłowi i inni zatroskani, którzy piszą do prawdziwie demokratycznych portali, narzekają na metamorfozę Rafała. Że za bardzo wczuł się w przemianę i najwierniejsi, starzy wyborcy – ci, z którymi Rafał chodził na Parady Równości – czują się zdradzeni i zdemobilizowani. Bo może Trzaskowskiemu naprawdę coś się przestawiło w głowie i jeszcze pośle swoje dzieci do pierwszej komunii? „Wyborczynie Lewicy czy wyborcy TD, a nawet i część zwolenników PO, zapytani, na kogo zagłosują w II turze, odruchowo wskażą Rafała Trzaskowskiego i deklarują to szczerze. Jednak może się okazać, że ich entuzjazm osłabnie wraz z kolejnymi odsłonami kandydata KO wychylającego się w prawo" – ostrzegł jeden z tych zatroskanych. Wtedy może nie być już kolejek do urn w Jagodnie i dużej frekwencji w Miasteczku Wilanów. Zwłaszcza że niektórzy już pękają i wspominają, że za PiS żyło im się lżej. Jakby zapomnieli, jak duszna była wtedy atmosfera. I nie daj laicki boże, Rafał przegra, a wtedy system się nie domknie. Jest prawda czasu i prawda ekranu. Dzisiaj Rafał musi być biało-czerwony, aby jutro znowu mógł być tęczowy. Jak Donald z granicą, imigrantami i 100 konkretami.

W związku z tym przedstawiamy genialny koncept Kamili Biedrzyckiej. Wreszcie ktoś podchwycił nasz pomysł, aby zlikwidować wszelkie wybory. Zwłaszcza prezydenckie, bo ten tępy, korzystający z internetów, nieoglądający TVN i nieczytający „Wyborczej", nieeuropejski, roszczeniowy motłoch może wybrać kogoś nieodpowiedniego. Kogoś, kto nie dorósł do standardów demokracji walczącej. Domagamy się od dawna, aby to uchwała rządu albo jeszcze lepiej wpis na platformie X premiera Tuska zdecydował o tym, kto zostanie prezydentem. Dziękujemy osobo Kamilo za wsparcie naszej inicjatywy.

Osoba Kamila przeprowadziła wywiad z ***Grzegorzem Schetyną***. Zwróciła słuszną uwagę na to, że wybory prezydenckie wiążą się ze szkodzącym uśmiechniętej Polsce zamieszaniem. „To może poczekać do 6 sierpnia? Wtedy władzę przejmie marszałek Hołownia" – zaproponowała, ale okazało się, że Schetyna nie dorósł do wyzwań naszych czasów. „Nie robić wyborów?" – pytał spanikowany. „Robić, a potem mieć dwóch zwaśnionych prezydentów?" – skontrowała stanowczo osoba redaktorska z odzyskanej i ciągle likwidowanej TVP.

Na szczęście lewicowa osoba kandydacka Magdalena Biejat rozumie nasze czasy. Zaproponowała zamknięcie internetu, aby pilnować „procesu wyborczego". A jak się nie da zamknąć, to przynajmniej kontrolować. Ta druga propozycja jest fajniejsza, bo pasuje nam praca przy ul. Mysiej. Łatwy dojazd, fajna okolica, no i można skasować tych wszystkich typów, którzy nie mają racji w internecie.

Owsiak Jurek smutną ma twarz. Nasiliły się haniebne ataki na jego cudowne dziecko, czyli fundację Złoty Melon. Tu małe wyjaśnienie: pisze się WOŚP, ale czyta się właśnie Złoty Melon. Źli ludzie chcą zaszkodzić szlachetnej akcji zbierania pieniędzy na billboardy przestrzegające przed sepsą: „Polacy, razem pokonamy to zło". A czas nagli, do 18 maja trzeba je wykupić. Ale za to krakowskie drag queens wspierają Złotego Melona. Judy Chersand, Lisandra, MisStake, Tempera Mental, Lady Tanya, a nawet Valeria Viper! Z tą siłą nikt nie wygra!

À propos terminu wykupu billboardów „Polacy, razem pokonamy to zło". Stała się niedobra rzecz. Druga tura wyborów prezydenckich odbędzie się w Dzień Dziecka. „Chyba ktoś tu pomaga PiS-owi wygrać" – słusznie zaniepokoiła się na ciągle niezablokowanej platformie X osoba poselska Witold Zembaczyński, przestrzegając przed wyborczą inwazją pisowskich pińcsetplusów. Wprawdzie pierwsza tura wypada 18 maja, w urodziny pewnego Karola, ale tego Zembaczyński już nie odnotował. Też słusznie, bo po to mamy rozdział Kościoła od państwa, żeby można było nie znać takich dat.

Radosława Sikorskiego dopadła choroba filipińska. Jakby inna niż w przypadku Aleksandra Kwaśniewskiego, ale nie jesteśmy tego pewni. Okazało się, że filipińskie media to pisowska szczujnia, która twierdzi, że polskie wizy kupuje się tam za łapówki, które mają iść w tysiące dolarów. Po pierwsze, to niemożliwe, żeby u Radka były takie rzeczy. Po drugie, to na pewno jacyś kryptopisowcy. A po trzecie, nie wolno porównywać tego z czasami PiS, bo nie! Zresztą Filipiny to nie Zjednoczone Emiraty Arabskie, żeby opłacało się tam komuś doradzać.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, Julita Szewczyk

eprasa.pl cdcd0af3d8

Rozdarcie ministra

KRZYSZTOF FEUSETTE

Szkolna toaleta, grupka mężczyzn bezskutecznie dobija się do jednej z kabin, z której dochodzi głośny szloch. Wchodzi premier.

Tusk: I jak?

Kierwiński: Nie chce wyjść.

Tusk: Ile już siedzi?

Siemoniak: Osiem dób, za przeproszeniem. Dzieci wróciły do szkoły, to go znalazły.

Tusk: Jadł coś?

Siemoniak: Żona dała mu kanapki, ale podobno ma nie wracać bez decyzji. Tak powiedziała.

Głos z toalety: Nie „nie wracać", tylko „wyp...alać"!

Tusk: Halo! Dzień dobry, panie ministrze, premier z tej strony toalety!

Głos: Wiem, poznałem po „r"...

Tusk: No i fajnie. Jak się pan czuje?

Głos: Mam dosyć.

Tusk: To proszę otworzyć drzwi.

Głos: Nie wyjdę, dopóki nie będę wiedział, co mam robić.

Tusk: Ale z czym?

Głos: Jak to z czym? Jeszcze mnie premier pyta?! Przecież PKW każe mi wypłacić pieniądze pisowcom.

Tusk: W pierwszym akapicie może tak. Ale w drugim nie rozstrzyga, czy Izba Sądu Najwyższego jest Izbą Sądu Najwyższego, czy jakoś tak, bo ja też się już gubię...

Głos: Prawnicy mówią, że ten drugi akapit jest kompletnie nieistotny i że równie dobrze mogliby nie rozstrzygać, czy Ziemia jest płaska. Ja zwariuję. Jedni dzwonią i mówią, że jak nie wypłacę, to będę siedział, a inni, że jak wypłacę, to mnie dorwą bodnarowcy. I to pańscy ludzie!

Tusk: No jak tak można? Ludzi pan w toalecie oczernia?

Głos: Oni sobie tylko głosy zmieniają.

Tusk: Kto na przykład?

Głos: Bobas.

Kierwiński: Słucham?! To jest potwarz! To jest uderzenie w samo jądro walki z zalaną Polską! Ja żądam alkomatu! Dla mnie zawsze sużba i poświęsenie to są sprawy najważniejsze!

Tusk: Proszę cię, chuchaj w drugą stronę, bo mi samochód nie odpali. Dzwoniłeś do pana ministra?

Kierwiński: Nigdy w życiu. Może raz. Góra dwa. Ale nie zmieniałem głosu!

Głos: Zmieniałeś na trzeźwy!

Kierwiński: Bo rano było!

Głos: Ja się nie ugnę. Muszę wiedzieć, co robić.

Tusk: A co panu podpowiada intuicja?

Głos: W d...e mam intuicję! Prawo każe płacić.

Tusk: *(do Hołowni)* A co sądzi druga osoba w państwie?

Hołownia: Uważam, że możemy, a nawet musimy uznać, iż nie widzimy Sądu Najwyższego. Duda odchodzi, chaos przychodzi, a wtedy do głosu dochodzę ja. Jako prezydent rotacyjny.

Siemoniak: Dobrze, że Rafał tego nie słyszy.

Tusk: On w ogóle mało słyszy. Pół Polski kręci z niego bekę, a on udaje rolnika. Zaraz będzie szukał żony.

Hołownia: No, przydałoby się ją podmienić chociaż na czas kampanii. On ściąga krzyże, ona nie puszcza dziecka do pierwszej komunii, nie nadają się i tyle.

Tusk: Szczerze mówiąc, nie o to pytałem, tylko o to, co ma zrobić pan minister...

Hołownia: Opuścić toaletę. Oczywiście wcześniej powinien spuścić wodę...

Głos: Do niczego nie doszło!

Tusk: To przez te nerwy. Mnie się wydaje, że na moje oko, chociaż prawnikiem nie jestem, natomiast prawo, tak jak ja je rozumiem, a dla którego podstaw prawnych szuka minister Bodnar, to jednak mówi jasno: to by było złamanie prawa.

Głos: Ale co? Wypłacenie czy nie?!

Tusk: No właśnie, tu zdania są podzielone. Jedni mówią tak, drudzy siak, a decyzja spada na pana.

Głos: A jak wypłacę, to będzie premier zły?

Tusk: Zależy który, he, he, he. Ja nigdy nie jestem zły, ja tylko co najwyżej mogę się wściec. Natomiast jeśli pan uważa, że PiS może sobie spokojnie prowadzić kampanię prezydencką, a my mamy się temu biernie przyglądać, to proszę płacić. Jako osoba ministerialna sam pan powinien wiedzieć, co będzie najlepsze. Oczywiście nie dla pana, bo panu, jak widać, wystarczy kawałek papieru i szczotka ryżowa. Ale tu chodzi o partię. Panie ministrze, jest pan tam?

Głos: A gdzie mam być? Przecież rurami nie ucieknę.

Tusk: Każdy tak mówi. Pan taki malutki i gabarytowo, i mentalnie, a Houdini wychodził nie z takich opresji. Na szczęście nie trzeba sięgać po takie rozwiązania. Dogadamy się, to pana wypuścimy.

Głos: Jak to wypuścicie?! Przecież sam się zamknąłem! Zasuwa jest z tej strony!

Tusk: A z tej są Kierwiński z Siemoniakiem i trzymają drzwi.

Głos: Lepszy kibel niż kiblowanie w pierdlu!

Tusk: Oj tam. Niesiołowski też siedział, a dopiero na stare lata peron mu odjechał. Nawet gdyby przyszło panu trafić w miejsce odosobnienia, myśli, zarówno moje, jak i ministra Bodnara, byłyby z panem. Pamięta pan jeszcze nasze credo? J...bać PiS! J...bać PiS!

Głos: Nie wyjdę bez jasnych wytycznych.

Tusk: Odeśle pan uchwałę PKW.

Głos: Ale gdzie?

Tusk: Do PKW.

Głos: Po co?

Tusk: Żeby dali wykładnię. Oni znowu napiszą, że trzeba wypłacić, ale w drugim akapicie, że nie rozstrzygają, czy mogą dawać wykładnię...

Głos: Człowieku, czy to się kiedyś skończy?!

Tusk: Jak Rafał wygra, to tak. A jak nie, to się zrobi PKW od nowa.

Hołownia: Ale tylko incydentalnie?

Tusk: Oczywiście. Jeden incydent, jeden prezydent. Dobra, wyłaź pan, bo teraz to już nawet mnie przycisnęło...

eprasa.pl cdcd0af3d8

Kosiniak waleczny

Jeśli wicepremier chce walczyć o wartości chrześcijańskie, to musi zacząć bój od minister Nowackiej

Szef MON, wicepremier i prezes PSL (w jednej osobie) Władysław Kosiniak-Kamysz musiał nieźle zaskoczyć koalicjantów, gdy 6 stycznia podczas spotkania noworocznego z działaczami PSL (dla zmyłki zatytułowanego na Facebooku spotkaniem wigilijnym) w Tarnowie zadeklarował walkę o wartości chrześcijańskie.

„Polska by nie przetrwała czasów zaborów, nie przetrwałaby okupacji, nie odrodziłaby się w 1989 r., gdyby nie te wartości i tradycje chrześcijańskie, ludowe i narodowe zakorzenione w polskich domach. To polskie domy i polskie rodziny zaniosły Polskę do wolności. [...] Będziemy tej kultury bronić. Będziemy bronić prawa do wartości chrześcijańskich, będziemy bronić prawa do wolności, żeby to rodzice decydowali o tym, na ile lekcji religii posyłają dziecko do szkoły, bo to rodzina ma prawo o tym decydować" – zakomunikował poruszony własnymi słowami wicepremier. Deklaracja bardzo piękna, pytanie tylko, czy szefowi PSL wystarczy odwagi, by powtórzyć to samo podczas posiedzenia rządu swojej koleżance z KO Barbarze Nowackiej piastującej zaszczytną funkcję ministra edukacji.

To przecież pani minister rządu, którego Kosiniak-Kamysz jest wicepremierem, zapowiedziała ograniczenie lekcji religii do jednej od września br. To dzięki temu, że religii nie wlicza się już do średniej, a zajęcia z niej mogą być łączone w grupach międzyoddziałowych, młodzież ma coraz mniejszą motywację, by w nich uczestniczyć, a wszystko wygląda jak próba wypchnięcia religii ze szkół. To wreszcie Nowacka chce wprowadzić edukację zdrowotną z komponentem edukacji seksualnej opartej na standardach WHO.

Jeśli wicepremier Kosiniak-Kamysz chce walczyć o wartości chrześcijańskie, to musi zacząć bój od minister Nowackiej. Potem powinna przyjść kolej na inne koleżanki z rządu, np. minister Katarzynę Kotulę, która najchętniej wprowadziłaby aborcję na życzenie. Warto by też stoczyć bitwę z wiceszefem Platformy Obywatelskiej Rafałem Trzaskowskim, który podpisał zarządzenie dotyczące standardów równego traktowania w stołecznym ratuszu. Ten dokument dotyczy osób pracujących w urzędzie miasta. Mowa w nim m.in. o nieeksponowaniu symboli religijnych na biurkach czy ścianach. Z biurek prezydent stolicy później się wycofał, by wreszcie zacząć przekonywać, że nie zdjął żadnego krzyża własnoręcznie. A Jan Grabiec próbował nawet przekonać opinię publiczną, że dokument podpisał jeden z urzędników.

Wreszcie Kosiniak-Kamysz będzie musiał stawić czoło jeszcze jednemu z ministrów rządu, którego jest wicepremierem. Chodzi oczywiście o ministra sportu Sławomira Nitrasa, który podczas jednego z campusów Trzaskowskiego zawyrokował: „To jest państwo, w którym Kościół wykracza świadomie poza prawa zapisane. Korzysta z rzeczy, których nie ma prawa robić. Wypowiedział temu państwu posłuszeństwo i ja nie wiem jako polityk, jako poseł, [...] czy nam jest potrzebny przyjazny rozdział Kościoła i państwa. A może potrzebny jest jakiś wstrząs? A może potrzebna jest jakaś kara? Na przykład czy powinniśmy utrzymać religię w szkołach? Wielu wyborców Platformy mówi: powinniśmy. Dlaczego? Bo jest wygodniej, bo ja chcę... A może powinna być jakaś kara, wprost, za to zachowanie, za to wyłamanie się z pewnej konwencji, za złamanie pewnego paktu społecznego – co wam wolno, a czego wam nie wolno. [...] W perspektywie czasu dojdzie do ograniczenia roli Kościoła w państwie. Powiem więcej: uważam, że dojdzie za naszego życia, może nawet w tym pokoleniu do tego, że katolicy w Polsce staną się mniejszością. [...] Ale dobrze, żeby to się stało w sposób racjonalny, nie na zasadzie pewnej zemsty, ale na zasadzie: to jest uczciwa kara za to, co się stało. To znaczy musimy was opiłować z pewnych przywilejów, dlatego, że jeśli nie, to znowu podniesiecie głowę, jeżeli się cokolwiek zmieni".

Do boju, panie wicepremierze! Musi się pan zmierzyć z prawie całym rządem Donalda Tuska. Chyba prościej byłoby go opuścić.

Dorota Łosiewicz

Koniec „złotego dziecka liberalizmu”

Kanada

Justin Trudeau, premier Kanady od 2015 r., zrezygnował z funkcji premiera i przywódcy Partii Liberalnej, co oznacza, iż kraj czekają przedterminowe wybory parlamentarne. Jego formacja ma małe szanse na odniesienie w nich sukcesu, bo jest rekordowo niepopularna.

Według ostatnich sondaży konserwatyści z Pierrem Poilievrem na czele, którego często określa się mianem „kanadyjskiego Trumpa”, mają ponad 44 proc. poparcia, podczas gdy rządzący liberałowie jedynie 20,1 proc. Trudeau ustąpił głównie ze względów taktycznych – po to, aby jego formacja mogła zyskać na czasie i wybrać nowego lidera. W przeciwnym razie jego mniejszościowemu rządowi groziło votum nieufności.

Kryzys w Partii Liberalnej jest związany z jej polityką migracyjną, która doprowadziła do nadmiernego napływu cudzoziemców. W efekcie Kanada zmaga się z kryzysem na rynku nieruchomości, bo w ciągu ostatnich 10 lat ceny domów wzrosły niemal dwukrotnie. Znacząco pogorszyło się też bezpieczeństwo wewnętrzne, o czym świadczą choćby dane na temat kradzieży samochodów. W 2023 r. w liczącej 38 mln mieszkańców Kanadzie skradziono 127 tys. aut (dla porównania w podobnej liczebnie Polsce było to 6,5 tys.). Na spadek popularności liberałów wpłynęła również ich polityka klimatyczna, która doprowadziła do ograniczenia wydobycia ropy naftowej oraz gazu ziemnego, co wywołało wściekłość mieszkańców prowincji Alberta, gdzie skoncentrowana jest ta branża. Wreszcie obóz rządzący i sam premier byli uwikłani w liczne afery korupcyjne.

Wydaje się jednak, że główną przyczyną upadku Trudeau było wyborcze zwycięstwo Donalda Trumpa i jego zapowiedzi wprowadzenia 25-proc. ceł na produkty importowane z Kanady, chyba że Ottawa zmieni politykę migracyjną i uszczelni granice. Po tych deklaracjach amerykańskiego prezydenta elekta premier Kanady poleciał do siedziby Trumpa na Florydzie, gdzie usłyszał, że najlepszym rozwiązaniem dla jego kraju jest przyłączenie się w charakterze 51 stanu do USA.

To niepowodzenie wywołało ferment wśród liberałów i skończyło się odejściem z rządu Chrystii Freeland, minister finansów i wicepremier, a na dodatek najbliższej politycznej współpracownicy Trudeau, która zarzuciła mu nieprzygotowanie kraju do ewentualnych amerykańskich ceł. Złote dziecko liberalizmu, jak często był określany kanadyjski premier, mimo popularności, jaką cieszył się w europejskich mediach, poniósł więc polityczną klęskę, nie mogąc sobie poradzić z wyzwaniami stojącymi dziś przed jego krajem.

Marek Budzisz

Fot. arindambanerjee/Shutterstock.com

Holandia

Cichy demontaż patriarchatu

Zdaniem feministek system napoleoński, który stanowi podstawę porządku prawnego w wielu krajach Europy, jest „seksistowski” i należy go korygować. Tym razem chodzi o automatyczne dziedziczenie nazwisk ojców przez dzieci.

Tak jest np. w Holandii, gdzie Songül Mutluer, parlamentarzystka lewicowej GroenLinks-PvdA (ugrupowanie Fransa Timmermansa), uznała, że obowiązujące regulacje w tej kwestii są „podręcznikowym przykładem dyskryminacji ze względu na płeć”. Ich wada ma polegać na tym, że nowo narodzone dzieci automatycznie otrzymują nazwisko ojca, chyba że ten zgodzi się na nadanie dziecku nazwiska po matce. „Prawo musi zostać zmienione, aby nie tylko wola jednego rodzica, mężczyzny, była decydująca w powstrzymaniu rejestracji drugiego nazwiska” – nawołuje Mutluer.

Od 1811 r., a więc od wprowadzenia kodeksu Napoleona, dzieci w Holandii przyjmują nazwisko ojca. W 1998 r. uznano to za niezgodne z prawami kobiet i wprowadzono możliwość wyboru nazwiska matki, ale tylko za zgodą ojca. Rok temu weszły nowe regulacje umożliwiające noszenie przez dzieci podwójnego, łączonego nazwiska obojga rodziców. Do tego również konieczna jest zgoda obojga rodziców, jednak z tej możliwości mogą korzystać wyłącznie rodzice, których pierwsze dziecko urodziło się po 1 stycznia 2024 r. Na razie podwójne nazwisko otrzymało tylko 6 proc. dzieci. Z tej możliwości nie mogły jednak skorzystać rozwódki, które nie uzyskały na to zgody byłego męża. W ub.r. kilkanaście z nich skierowało sprawę do sądu, którą oczywiście przegrały.

Tę marginalną sprawę nakręcają organizacje wojujące o prawa kobiet, które uznały, że nawet tak liberalne regulacje są sprzeczne z art. 13. Europejskiej konwencji praw człowieka gwarantującym prawo do „skutecznego środka odwoławczego”, pośrednio dyskryminują matki i są oparte na „stereotypach płciowych”. Domagają się teraz, żeby domyślną opcją było otrzymywanie przez dziecko nazwiska obojga rodziców.

Jak jednak widać, logika zmian forsowanych przez lewicę nieustannie rozszerzającej interpretację praw człowieka za pomocą antydyskryminacyjnego sztafażu przesuwa obowiązującą granicę w kierunku automatycznego dziedziczenia nazwiska matki. Bo faktycznie grupą dyskryminowaną stają się ojcowie. I to biały, heteroseksualny mężczyzna jest w istocie celem tych zmian.

Maciej Walaszczyk

Fot. Nikola Fific/Shutterstock.com

eprasa.pl cdcd0af3d8

Rosja

Gospodarka na hamulcu

Rosyjska gospodarka, której udało się przetrwać w całkiem niezłej kondycji trzy lata wojny i zachodnich sankcji, dziś zaczyna zwalniać.

Według oficjalnych danych sytuacja nie wygląda źle. Rosyjskie ministerstwo gospodarki przewiduje, że w 2025 r. produkt krajowy brutto wzrośnie o 2,5 proc, co oznacza niewielkie spowolnienie w stosunku do ub.r. Znacznie gorzej wyglądają prognozy Międzynarodowego Funduszu Walutowego. MFW ocenia, że w 2025 r. rosyjskie PKB podskoczy jedynie o 1,3 proc.

Rosyjska gospodarka dotrwała do tego momentu dzięki splotowi kilku czynników. Panikę finansową, która wybuchła w Rosji tuż po wybuchu wojny na Ukrainie, udało się stłumić dzięki dwukrotnej podwyżce stóp procentowych oraz ograniczeniu transakcji walutowych. Pomimo sankcji utrzymano także wysokie zyski ze sprzedaży surowców. W efekcie kasa Kremla ciągle była zasilana strumieniem pieniędzy, co pozwoliło zwiększyć produkcję zbrojeniową. Spodziewany krach przerodził się ostatecznie w spadek o niewiele ponad 1 proc., a zaraz potem nastąpiło odbicie.

Jednak przedłużająca się wojna zaczyna już ciążyć gospodarce. Ogromne wydatki zbrojeniowe i ochrona przedsiębiorstw przed zachodnimi sankcjami rozsadzają rosyjski budżet. Rośnie inflacja, która według oficjalnych danych wyniosła w listopadzie prawie 9 proc. Pojawiły się także obawy przed stagflacją – połączeniem spowolnienia gospodarczego i wzrostu cen.

O pogarszających się perspektywach rosyjskiej gospodarki świadczy nerwowość w środowiskach politycznych i biznesowych skupionych wokół Kremla. Obwiniają one za obecną sytuację nadmierny, ich zdaniem, fiskalizm szefowej rosyjskiego banku centralnego Elwiry Nabiulliny, która walczy z kryzysem, podnosząc stopy procentowe. W ub.r. podniesiono je do 21 proc., a na horyzoncie majaczy już kolejna podwyżka – nawet do 24 proc.

Rosyjski biznes skarży się, że taka polityka hamuje inwestycje. Siergiej Czemiezow, szef konsorcjum zbrojeniowego Rostiech, ostrzegł, że doprowadzi to do wstrzymania eksportu i grozi bankructwem „prawie większości naszych przedsiębiorstw". Z kolei Igor Sieczin, stojący na czele koncernu naftowego Rosnieft, stwierdził, że podwyżki stóp procentowych uderzają w przemysł wydobywczy.

Nabiullina balansuje na granicy. Zacieśnianie polityki pieniężnej może wpędzić gospodarkę w recesję i wywołać falę bankructw. Obniżka stóp procentowych podważyłaby wiarygodność banku i wywołała dalszy spadek wartości rubla, z kolei bezczynność grozi stagflacją.

Putin na razie milczy. Wydaje się jednak mało prawdopodobne, że poświęci swoje cele wojenne dla ratowania gospodarki. Zamiast tego będzie pewnie dążył do szybkich rozstrzygnięć na froncie.

Konrad Kołodziejski

Są tacy kapłani

Chiny

W Chinach zmarł najstarszy kapłan w tym kraju: 105-letni werbista ks. Joseph Guo Fude, którego życiorys doskonale ilustruje losy Kościoła katolickiego w Państwie Środka. Urodził się w 1920 r. (tak jak Karol Wojtyła), a święcenia kapłańskie przyjął w 1947 r., jeszcze przed utworzeniem Chińskiej Republiki Ludowej. Później został wysłany przez swojego biskupa na studia do Manili. Mógł pozostać na Filipinach, jednak w 1950 r. wrócił do ojczyzny. Wiedział, że władze komunistyczne prowadzą bezwzględną walkę z Kościołem, a mimo to uznał, że w trudnych chwilach nie może pozostawić swojego ludu.

Choć wielokrotnie proponowano mu współpracę z reżimem, nigdy nie zgodził się na kolaborację. W 1959 r. został aresztowany po raz pierwszy, spędził w więzieniu 8,5 roku za „antypaństwową działalność wywrotową". Ledwo wyszedł na wolność, a już został ponownie zatrzymany i skazany podczas rewolucji kulturalnej w 1967 r. jako „zagraniczny szpieg". Tym razem przesiedział w celi 12 lat. Kolejny wyrok za nielegalne szerzenie wiary dostał w 1982 r. Łącznie spędził w więzieniach 25 lat.

Obchodząc 100-lecie urodzin, ks. Guo Fude pisał: „Patrząc wstecz na swoje życie, widzę, że więzienie stało się miejscem, w którym mogłem się zastanowić, modlić i wzrastać duchowo. Moje uwięzienie dało mi siłę, aby stawić czoła trudnościom życia i nadal służyć Bogu ze świadomością, że każda próba jest częścią jego boskiego planu. Doświadczenia więzienne nauczyły mnie, że bogactwa ziemskie są ulotne, a jedynym prawdziwym bogactwem jest wiara w Boga".

Ks. Guo Fude zostawił przesłanie młodym duchownym, w którym pisał: „Kapłaństwo nie jest zajęciem światowym, ale łaską daną przez Boga. Trzeba służyć ludziom, ale bez skażenia światowym duchem; musicie kochać wszystkich, ale nie szukać niczego dla siebie; trzeba się najpierw nauczyć pochylać i obmywać nogi innym, aby być godnym przystępowania do ciała i krwi Chrystusa".

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock

eprasa.pl cdcd0af3d8

Nie wróży to dobrze ani przemysłowi, ani rolnikom, ani domowym budżetom

Polska po raz drugi w historii objęła sześciomiesięczne przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej, tym razem w czasie szczególnym politycznie. Europa stoi przed wyzwaniami, z jakimi się jeszcze nie mierzyła. Codziennie czytamy o zamykanych fabrykach, w kolejnych krajach do władzy dochodzą przeciwnicy klimatycznego oszołomstwa, z wielu rządów płyną oczekiwania poluzowania unijnych przepisów oraz pilnej rewizji najkosztowniejszych dyrektyw i rozporządzeń

Nowa Komisja Europejska ma ogłosić gospodarcze plany ratunkowe i, co równie ważne, sposoby ich finansowania. Europejczycy są coraz bardziej niechętni idei Zielonego Ładu, widząc związane z nim lawinowo rosnące koszty i właściwie żadnych korzyści. Dobitnie pokazały to wyniki letnich wyborów do Parlamentu Europejskiego. Wydawałoby się więc oczywiste, że kraj sprawujący prezydencję w takim czasie będzie gotowy wspierać takie zmiany i położy na stole konkretne propozycje.

Niestety. Ogłoszone priorytety to polityczne pustosłowie i garść oklepanych frazesów sprowadzających się do zapewnienia „bezpieczeństwa" – w tym energetycznego – Europie. Jak? Tego już nie napisano.

Nie wiadomo też, jak Polska chce walczyć z wysokimi cenami energii – w programie znajdują się jedynie ogólne stwierdzenia. Biorąc pod uwagę koalicyjne „sukcesy" w tym zakresie na niwie krajowej, może to i lepiej.

Brakuje też konkretów w zakresie urealnienia polityki klimatycznej. W programie prezydencji nie ma nic o potrzebie rewizji najbardziej kontrowersyjnych i najtrudniejszych dla Polski regulacji właśnie przyjętego megapakietu „Gotowi na 55" – nic o ETS2, dyrektywie budynkowej, ani słowa o zakazie samochodów spalinowych od 2035 r., ani zdania o koniecznej reformie ETS czy niedziałającym podatku granicznym CBAM. Najwyraźniej obecnemu polskiemu rządowi podoba się unijna polityka klimatyczna.

Potwierdza to zresztą jedyny w przestrzeni publicznej konkret – przed świętami polski rząd w ramach tzw. uzgodnień trzech najbliższych prezydencji UE (wraz z duńską i cypryjską) przyjął dokument, który nawołuje do przyjęcia paktu migracyjnego oraz szybkiej implementacji Zielonego Ładu.

Podobnie rzecz się ma z innymi obszarami merytorycznymi. O sprzeciwie wobec umowy z Mercosur mordującej polskie rolnictwo też nie ma ani słowa w polskich dokumentach.

Podsumowując – zamiast merytorycznych konkretów dostaliśmy listę deklaratywnych ogólników okraszonych, gdzie się da, rzeczownikiem „bezpieczeństwo". Nie wróży to dobrze ani przemysłowi, ani rolnikom, ani domowym budżetom.

A na koniec wisienka na torcie – polska prezydencja chce wzmacniać współpracę Unii Europejskiej ze Stanami Zjednoczonymi. To karkołomne wyzwanie, biorąc pod uwagę wiele skandalicznych i obraźliwych publicznych wypowiedzi aktualnego premiera i ministra spraw zagranicznych o nowo wybranym amerykańskim prezydencie Trumpie oraz wymowny brak zaproszeń dla rządzących Polską polityków na nadchodzącą inaugurację jego prezydentury.

Daniel Obajtek

eprasa.pl cdcd0af3d8

Stop nielegalnej migracji

Marta Kaczyńska-Zielińska

Koniec 2024 r. przyniósł kolejny zamach terrorystyczny na bożonarodzeniowy jarmark w Niemczech. W pierwszych dniach nowego roku dotarły informacje o strzelaninie za naszą zachodnią granicą, a z Wielkiej Brytanii spływają coraz nowe przerażające wiadomości o tuszowaniu od co najmniej dekady przez brytyjski wymiar sprawiedliwości, organa ścigania, a także poprawne politycznie media potwornych gwałtów, których dopuszczało się w sumie kilkadziesiąt imigranckich gangów wobec dziewczynek pochodzących ze środowisk robotniczych. Europejskie statystyki dotyczące liczby gwałtów na 100 tys. mieszkańców przedstawiają się następująco: Wielka Brytania – 52,99, Szwecja – 88,98, Francja – 52,56, Niemcy – 12,48, Polska – 1,52.

W 2010 r. liczba wyznawców islamu w Niemczech wynosiła ok. 3,5 mln osób, obecnie może być to nawet 5 mln. Korelacje pomiędzy migracją a obniżeniem poziomu bezpieczeństwa są w RFN bezdyskusyjne. Zdaniem amerykańskiego eksperta Roberta Leikena „imigracja i terroryzm są ze sobą powiązane nie dlatego, że wszyscy imigranci są terrorystami, ale ponieważ wszyscy lub prawie wszyscy terroryści na Zachodzie byli imigrantami". Leiken udowadniał, że terroryści uwzględniają wykorzystanie imigracji ze strategicznego punktu widzenia celem pozyskania dostępu do obszaru państwa wytypowanego jako potencjalny cel zamachu. Wskazał na strategie umożliwiające realizację takiej koncepcji. Pierwsza polegała na wykorzystaniu grup uderzeniowych, które przeniknęły na terytorium państwa z zakładanym zamiarem zorganizowania tam zamachu terrorystycznego. Druga polega na wykorzystaniu uśpionych komórek na obszarze państwa będącego celem. Warto dodać, że współcześni terroryści zaczynają korzystać ze sprawdzonych, nowoczesnych taktyk pola walki, często wykorzystując technologię podwójnego zastosowania – cywilną i wojskową.

Dżihadystyczny terroryzm pozostaje głównym zagrożeniem dla państw UE. Islamskie grupy terrorystyczne, sieci online i aktorzy indywidualni są rozproszeni, bez scentralizowanego przywództwa, ale posiadają powiązania regionalne i transnarodowe bazujące na wspólnym pochodzeniu lub języku członków. Z opracowania EU TE-SAT 2024 wynika, że środowiska terrorystyczne i ekstremistyczne nieustannie ewoluują. Europol kolejny rok z rzędu potwierdza, że zagrożeniem dla bezpieczeństwa wewnętrznego krajów UE jest terror gangów kryminalnych.

W październiku 2024 r. media obiegła wiadomość, że w Polsce ma powstać 49 centrów integracji cudzoziemców (CIC) w całym kraju, w zasadzie we wszystkich największych polskich miastach. 11 grudnia ub.r. przedstawiciele rządu Donalda Tuska w ramach konsultacji pomiędzy prezydencjami przyjęli dokument nawołujący do przyjęcia paktu migracyjnego oraz szybkiej implementacji Zielonego Ładu. Wejście w życie unijnych rozwiązań oznacza otwarcie naszych granic na bliżej nieokreśloną liczby migrantów (według Instytutu Ordo Iuris nawet 100 tys. rocznie), o których przekazaniu Polsce zadecydują brukselscy urzędnicy.

Wśród migrantów, których od kilku miesięcy przysyłają nam Niemcy, często znajdują się osoby z wyrokami, notowane, a wśród nich zapewne potencjalni terroryści. Polsko-niemiecka granica jest nieszczelna – to bezprecedensowy przypadek, gdy jedno państwo wyrzuca ze swego terytorium znajdujące się na nim osoby, z tego, co wiemy, nie próbując nawet udowodnić, że przedostały się do niego bezpośrednio z państwa, do którego są odsyłane, co byłoby zgodne z obowiązującymi przepisami prawa międzynarodowego. Polityka obecnego rządu może dać terrorystom wiele możliwości przeniknięcia na terytorium Polski. Niemieckie media nieprzypadkowo z entuzjazmem piszą o tym, że pozbędą się zagrożenia z własnego kraju, eksportując je do Polski. W opisanej sytuacji, jeśli nie zatrzymamy paktu migracyjnego, czeka nas to samo, co od lat dzieje się w państwach, do których przybyli migranci. To jak wyrok śmierci dla naszej suwerenności i bezpieczeństwa całego społeczeństwa.

Otoczony opieką rodziny odszedł

ANDRZEJ KLIMCZAK

wybitny Artysta, śpiewak operowy,
reżyser, współtwórca i wieloletni dyrektor
Polskiej Opery Królewskiej.
Patriota i Chrześcijanin.
Ciepły, skromny dobry człowiek. Przyjaciel.

Cześć Jego Pamięci!

Piotr Gliński

5/0125/F

eprasa.pl cdcd0af3d8

Walizka Marcina Dzieniszewskiego

grafika, fotografa, miłośnika stolarki i wspinaczki

Moje podróżowanie po świecie zaczęło się w 2006 r., gdy dzięki wyróżnieniu w prestiżowym konkursie graficznym zostałem zaproszony do pracy w kanadyjskim studiu. Potem była Irlandia i Anglia, chwilowy powrót do Polski, by znowu wyjechać – tym razem do Niemiec. W Berlinie dopadł mnie kryzys. Czułem, jak praca w reklamie wypala mnie od środka. Chciałem rzucić wszystko w diabły, kupić kampera i podróżować po świecie, żyjąc z pasji – fotografii. Plany jednak uległy zmianie. Całkowicie przez przypadek odkryłem fotografię ambrotypową. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Natychmiast zacząłem zgłębiać arkana procesu, gromadzić sprzęt i odczynniki. Ponieważ znam się na stolarce, postanowiłem zbudować własny aparat, wzorując się na modelach z epoki wiktoriańskiej. Jako że ambrotypia została wynaleziona przez londyńczyka, zrodziło się we mnie nowe marzenie – butikowe studio portretowe właśnie w Londynie. Było pod górkę, ale w końcu się udało i dziś prowadzę jedną z niewielu takich pracowni na świecie. Do mojej klienteli należą aktorzy, muzycy, przedsiębiorcy – ludzie poszukujący rzeczy wyjątkowych, zmęczeni nudą i sztampowością mainstreamu.

APARAT ULTRAWIELKOFORMATOWY

Zbudowałem go z drewna czereśniowego. To typowo studyjna bestia o formacie 30 × 30 cm. Razem ze stojakiem waży trochę więcej niż telefon komórkowy... bo prawie 40 kg. W fotografii kolodionowej zwykle nie robimy powiększeń. Płyta, która jest naświetlana w aparacie, to jedyny egzemplarz. Jeśli chcemy większy portret, potrzebujemy większego aparatu, który tę płytę pomieści. Stąd te absurdalne gabaryty.

SKRZYNKA

Mojej konstrukcji. To prosta forma z intrykatnymi połączeniami drewnianych elementów. W podobnych skrzynkach wiktoriańscy fotografowie archiwizowali swoje zdjęcia.

eprasa.pl cdcd0af3d8

UBIÓR

To Berlin sprawił, że wyrosłem z trampek i T-shirtów. Zapuściłem brodę, a szafę zapełniłem kraciastymi koszulami, tweedami i garniturami. Na nogi tylko brogsy... Zresztą jak bym wyglądał przy takim aparacie w sneakersach?

STARE APARATY

Okazjonalnie kolekcjonuję stare aparaty. Nie ma w tym metody – po prostu czasem coś wpadnie mi w oko, czy to na pchlim targu, czy w antykwariacie.

FOTOGRAFIA KOLODIONOWA

• Wynaleziona w 1851 r. była jedną z pierwszych technik fotograficznych. Portrety kolodionowe wykonane na szkle nazywamy ambrotypami (z greckiego: *ambrotos* – niezniszczalna, *typos* – impresja).

• W 1851 r. angielski fotograf i rzeźbiarz Frederick Scott Archer wynalazł fotograficzny proces kolodionowy.

• Na początku zdjęcie wykonane tą metodą było warte dobrą miesięczną pensję. Mniej więcej dekadę później szkło zastąpiono cienką metalową płytką, a technikę zaczęto nazywać ferrotypią.

• W czasach wojny secesyjnej takie portrety, niejednokrotnie wielkości znaczka pocztowego, kosztowały już tylko kilka centów i potocznie nazywano je „blaszkami" (tintype).

• Każdy ambrotyp to unikat. Jak my – każdy jest wyjątkowy i nigdy doskonały. Taka szklana fotografia to również niezwykły prezent – sesja sama w sobie jest niepowtarzalnym doświadczeniem. Więcej prac można obejrzeć na stronie *ambrotypista.london*

RAMY

To moja nowa pasja, która łączy miłość do staroci i majsterkowania. Kolekcjonuję je dla najbardziej wymagających klientów. Najbliższe wakacje spędzę pewnie na warsztatach z renowacji i pozłacania.

BUTELECZKI

A w nich niektóre z substancji niezbędnych w ambrotypii: emulsja kolodionowa, lakier i płatki szelaku, z którego jest zrobiony. Ambrotypista nigdy nie miał (i nie ma) łatwej pracy. To piękny proces, ale trzeba mieć w sobie coś z szaleńca, by mu się całkowicie oddać.

WSPINACZKA

Metoda, by nie zwariować. Wbrew powszechnym opiniom wspinaczka nie jest stricte sportem adrenalinowym. Dlaczego? Bo żeby się wspinać prawidłowo, trzeba się odprężyć i maksymalnie skupić. To trochę jak medytacja. Mimo że objechałem pół świata, wciąż kocham wspinaczkę w Górach Sokolich i Tatrach.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Marcin Dzieniszewski

eprasa.pl cdcd0af3d8

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dwa plemiona?

Jan Pietrzak

Zbyt często jak na moją cierpliwość spotykam w publicystyce sformułowanie o dwóch plemionach zamieszkujących Polskę. Pozwolę sobie na polemikę. Otóż na moje oczy (w liczbie dwóch) nie ma tu dwóch plemion. Mieszkają tu Polacy, a między nimi zdarzają się renegaci, odszczepieńcy, agenci, kosmopolici, również, niestety, regularni zdrajcy. Osobisty przypadek sprawia, że mam rodzaj testu w tej materii. Polacy chętnie przywołują pieśń „Żeby Polska była Polską", a zdrajcy od pół wieku wyrzucają ją ze sfery publicznej, łącznie z autorem! Stąd mój prywatny, nieobowiązujący pogląd, niepoparty kompetentnymi badaniami. Ale już statystyka na temat ojkofobii jest ważniejszym argumentem.

Natknąłem się na takie dane, że 17 proc. obecnych „formalnych" Polaków nie lubi swego kraju, lekceważy go i znieważa. Natomiast 83 proc. myśli o Polsce pozytywnie, w mniejszym lub większym stopniu kocha, lubi, szanuje... Nie jest tak źle, jak wynikałoby z niemieckich mediów po goebbelsowsku atakujących nasz kraj.

Od dawna wiemy, że kręcą się między nami nienawistnicy, którym zależy na szkodzeniu Polsce. Właśnie ogłoszono, że Niemcom sprzedano port w Szczecinie. Czy jest możliwe, by jakikolwiek Polak podjął taką decyzję? Taki szwindel z polskiej strony musiał wykombinować jakiś skorumpowany drań mający w nosie troskę o nasz kraj. Czyli wróg, bo tak postępują wrogowie.

Jak powszechnie wiadomo, od blisko trzech wieków nasi sąsiedzi ze wschodu i zachodu nie potrafią funkcjonować bez poniżania Polski. W tym celu organizują rozbiory, wszczynają wojny, grabią ziemie, lasy, fabryki, wszystko, co się da. Przede wszystkim hurtowo mordują ludność. Wywózki na Sybir, rugi pruskie, doły śmierci, obozy koncentracyjne, przymusowe roboty... i jedni, i drudzy mają wielkie sukcesy na tym polu. Nie wiem, czy ktoś oszacował straty ludzkie, jakich Polska doznała od pierwszego rozbioru do ostatniej okupacji niemieckiej i rosyjskiej. Ich drobną część, dotyczącą jedynie II wojny światowej, obliczył zespól posła Arkadiusza Mularczyka.

Niemcy uważają, że to ich nie dotyczy. Tak samo Rosjanie. To są dwa agresywne plemiona, przed którymi musimy się stale bronić, jeżeli chcemy przetrwać. Właśnie znalazły się w głębokim kryzysie spowodowanym własną głupotą i wciągają Europę w czarną dziurę, której by nie było bez ich bezsensownej polityki energetycznej, imigracyjnej, militarnej i każdej pochodnej. Polityki wynikającej z gangsterskiej, bezrefleksyjnej potrzeby agresji.

Polskie plemię wyrozumiałe, tolerancyjne, dobrotliwe nie sprawia Europie żadnych kłopotów. Niemcy i Rosjanie są nieustannym źródłem europejskich nieszczęść i dramatów. Tak wygląda problem dwóch plemion w naszej okolicy.

Opiniorządność

Samuel Pereira

Wyobraźmy sobie mecz piłkarski, podczas którego w połowie gry sędzia ogłasza, że bramki przeciwnika zostały unieważnione, bo „takie są opinie ekspertów". Absurd? Tak, ale podobnie wygląda sytuacja, gdy minister finansów blokuje wypłatę należnych dotacji dla opozycji mimo jasnej uchwały Państwowej Komisji Wyborczej. Polityki nie można prowadzić, zmieniając zasady w trakcie gry – szczególnie gdy stawką jest stabilność państwa.

Minister Domański argumentuje swoją decyzję „niejasnościami" w uchwale PKW i opiniami ekspertów, ale czy prawo pozwala mu na taki manewr? Nie. Uchwała PKW jest zgodna z kodeksem wyborczym – na podstawie wyroku Sądu Najwyższego komisja przyjęła sprawozdanie finansowe PiS i wskazała precyzyjną kwotę dotacji. Minister otrzymał wszystkie dokumenty, a przepisy wykluczają ocenianie ich treści. Jego obowiązkiem jest jedynie wykonanie uchwały.

Stawianie opinii – swoich, ekspertów czy polityków – ponad prawem prowadzi do niebezpiecznego precedensu. Skoro minister może zablokować fundusze dla opozycji, co powstrzyma innych urzędników przed blokowaniem np. emerytur czy świadczeń, powołując się na „wątpliwości"? Takie działanie podważa fundament państwa prawa, w którym przepisy obowiązują wszystkich jednakowo. Gdy obywatele widzą, że równość wobec prawa jest fikcją, że to oni muszą przestrzegać przepisów, płacić podatki i podporządkowywać się wyrokom, podczas gdy władza może ignorować te same reguły, w społeczeństwie rodzi się gniew. Taka niesprawiedliwość podważa fundamenty państwa demokratycznego, które opiera się na przekonaniu, że wszyscy są równi wobec prawa, a władza jest zobowiązana działać w granicach przepisów. Gdy obywatele zaczynają dostrzegać, że ich głos w wyborach nie ma znaczenia, bo rządzący mogą dowolnie manipulować regułami gry, odbierając środki opozycji czy ignorując wyroki, tracą wiarę w państwo jako wspólne dobro. Taki brak zaufania może doprowadzić do eskalacji konfliktów społecznych, wybuchu masowych protestów, a nawet otwartego buntu. Co wtedy będzie chronić władzę? Prawo, które sama łamie? Czym się zasłoni? Opiniami?

eprasa.pl cdcd0af3d8

Transakcyjność w obliczu śmierci milionów

Decyzja włoskiego sądu o wypłaceniu odszkodowania spadkobiercom mężczyzny zamordowanego podczas niemieckiej masakry w Toskanii w 1944 r. udowadnia, że rozliczenie historycznych krzywd jest możliwe, jeśli państwo i obywatele wykażą determinację i odwagę. Włoski przykład pokazuje, że walka o sprawiedliwość może się zakończyć sukcesem, gdy istnieje wola polityczna.

W Polsce temat reparacji od Niemiec pozostaje tabu. Donald Tusk twierdzi, że poruszanie tej kwestii mogłoby zaszkodzić relacjom z naszym zachodnim sąsiadem. Takie stanowisko przypominające rzecznika niemieckich interesów jest przejawem politycznego oportunizmu i policzkiem wymierzonym ofiarom II wojny światowej. W imię świętego spokoju Tusk rezygnuje z obrony polskich interesów, co jest równoznaczne z kapitulacją wobec niemieckiego cynizmu.

Historia uczy, że niewyjaśnione i nierozliczone sprawy zatruwają relacje na pokolenia. Niemcy zdają sobie z tego sprawę, dlatego podejmują działania mające na celu rozliczenie kolonialnych zbrodni w Afryce – wypłacając zadośćuczynienie Namibii za ludobójstwo ludów Herero i Nama czy zwracając zagrabione dzieła sztuki z Nigerii, Kamerunu i Tanzanii. Dlaczego temat reparacji wobec Polski jest uznawany za „zbyt delikatny"?

Przykłady z Włoch i Afryki dowodzą, że walka o odszkodowania jest możliwa. To sygnał dla Polski, by podjąć działania w tej sprawie. Państwo ma moralny obowiązek stanąć po stronie obywateli, którzy wciąż czekają na uznanie strat materialnych i moralnych. Domaganie się reparacji i zadośćuczynienia dla obywateli nie niszczy relacji międzynarodowych – wręcz przeciwnie, buduje je na fundamencie prawdy i sprawiedliwości.

To, że temat reparacji pozostaje żywy w innych krajach, pokazuje, że Polska nie powinna go porzucać. Czy Francuzi zrezygnowaliby z rozliczeń za niemiecką okupację? Czy Izrael przemilczałby Holokaust w imię „sąsiedzkiego spokoju"? Oczywiście, że nie. Dlaczego Polska miałaby stosować inną logikę? Czy dlatego, że premier kraju traktuje narodową krzywdę w sposób transakcyjny? Czy Tusk kończy temat reparacji w zamian za osobiste korzyści? Narodowa godność nie może być mniej warta niż partykularne układy i dyplomatyczny komfort Niemiec.

Nie chodzi wyłącznie o kwestie finansowe, ale przede wszystkim o moralny obowiązek wobec tych, którzy cierpieli i zginęli oraz wobec przyszłych pokoleń. Budowanie relacji międzypaństwowych bez prawdy i rozliczeń przypomina stawianie domu na fundamentach z gruzu. Historia Polski nie może być zamknięta w muzeach i rocznicowych przemówieniach. Walka o reparacje to nie tylko symboliczny gest, lecz także fundament przyszłości opartej na prawdzie, sprawiedliwości i wzajemnym szacunku.

Arkadiusz Mularczyk

„Dziewczyna z igłą" już w polskich kinach

Z reżyserem Magnusem von Hornem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Na festiwalu w Gdyni w 2024 r. „Dziewczyna z igłą", czarno-biała duńsko-polsko-szwedzka koprodukcja, rozbiła bank. Liczył pan zdobyte nagrody?

Magnusem von Hornem: Było ich 11, w tym 6 w głównym konkursie: Srebrne Lwy, scenografia Jagny Dobesz [uhonorowana także Europejską Nagrodą Filmową – przyp. red.], kostiumy Małgorzaty Fudali, muzyka – Puce Mary, drugoplanowa rola kobieca – Trine Dyrholm, zdjęcia – Michał Dymek [również Złota Żaba na Camerimage 2024 – przyp. red.]. Bardzo się cieszę z tych nagród, bo pokazują, jak dobrą i zgraną mamy ekipę. Ten film to sukces wielu osób.

Która z gdyńskich nagród była dla pana najważniejsza?

Srebrne Lwy. Już drugie, bo pierwsze odebrałem w 2020 r. za film „Sweat". To kolejne uhonorowanie naszej współpracy z producentem Mariuszem Włodarskim. Znamy się od 20 lat, zrobiliśmy razem wszystkie filmy, które reżyserowałem. Nagroda stanowi dowód, że ta współpraca się sprawdza, daje dobre efekty.

Realizowaliście zdjęcia w miejscach, które ucierpiały w ubiegłorocznej powodzi.

Kiedy dowiedzieliśmy się o tej tragedii, byliśmy ogromnie poruszeni, bo Bystrzyca Kłodzka i Kłodzko bardzo nas wspierały w realizacji filmu, a nie jest łatwo mieć ekipę filmową w mieście. Trzeba zamknąć ulice, są utrudnienia dla mieszkańców... A potem przychodzi taka informacja, serce pęka.

„Dziewczyna z igłą" nawiązująca do historii, która 100 lat temu wstrząsnęła Danią, trafia właśnie do naszych kin. Jakiego odbioru się pan spodziewa?

Myślę, że w Polsce ten film będzie mocniej rezonował niż np. w Danii, bo kraj jest inny i polityka też, ale emocje widzów będą podobne.

„Dziewczyna z igłą" (zrealizowana w języku duńskim, z duńskimi aktorami) była nominowana do tegorocznych Złotych Globów w kategorii produkcja nieanglojęzyczna. 17 stycznia poznamy nominacje do Oscarów (film został zgłoszony przez Danię).

Fot. FPFF Gdynia

eprasa.pl cdcd0af3d8

TRENDY I OWĘDY

Kontrolerzy treści

Ryszard Makowski

Właściciel Mety Mark Zuckerberg jest kolejną ofiarą zwycięstwa Donalda Trumpa. Sam z siebie nie ogłosiłby, że platformy zwane dla żartu społecznościowe, Facebook i Instagram, „drastycznie zmniejszą cenzurę”. Jak to? To była cenzura? W państwie przodującym w eksporcie demokracji, czyli w USA? W Chinach, Korei Północnej – wiadomo, ale żeby pod Statuą Wolności odstawiano takie brewerie? Okazało się, że „kontrolerzy treści Mety byli po prostu zbyt stronniczy politycznie”. Nie udało się przepchnąć nachalnie demokratów, to niech żyją republikanie.

Żeby jeszcze ta cenzura Mety chroniła użytkowników przed drastycznymi treściami. Ależ skąd! Wprost przeciwnie, chodzi o formatowanie opinii publicznej wokół nowych świętości typu LGBT+ czy multi-kulti. Przejęto moje konto na Facebooku. Rozsyłane są treści parapornograficzne. Zgłaszanie do Mety nic nie daje. Zgłosiłem sprawę na policję, bo kradzież to kradzież, ale efekt także żaden. Jakbym napisał szczerze, co sądzę o filmach na Netfliksie, to reakcja byłaby w 15 min.

Bruksela chce stworzyć Europejską Tarczę Demokracji. Kolejna orwellowska zagrywka. Tarcza ma na celu, uwaga, „kontrolowanie i nadzorowanie mediów społecznościowych celem ochrony wolności słowa”. Wzruszające! Czyli o Zielonym Ładzie czy pakcie migracyjnym tylko dobrze, a o Ursuli von den Leyen bardzo dobrze.

U nas „kontrolerzy treści” będą teraz mieli pełne ręce roboty, żeby w wyniku „akcji dezinformacyjnej” np. na TikToku nie było tak jak w Rumunii. Żeby wyborów prezydenckich nie wygrał ten kandydat, co trzeba. A wiele na to wskazuje.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, ANDRZEJ WIKTOR, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN, SHUTTERSTOCK/RUNAWAYPHILL, VOYAGERIX, KUBA PUCHAJDA, MAXX-STUDIO

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl cdcd0af3d8

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy, że jesteście z nami. To z myślą o Was co tydzień przygotowujemy nowe wydanie „Sieci", abyście mogli:

- wygodnie śledzić najważniejsze informacje z Polski i ze świata,
- czytać ekskluzywne wywiady z najważniejszymi postaciami polskiej polityki, biznesu, nauki i sztuki,
- poznawać mocne i wyraziste opinie redakcji, analizy ekspertów i komentarze naszych publicystów.

Zachęcamy do wykupienia prenumeraty dla siebie albo bliskiej osoby. Dzięki wsparciu naszych Prenumeratorów będziemy mogli nadal publikować wysokiej jakości materiały oraz dbać o rzetelność i patriotyzm w polskiej publicystyce.

Życzymy dobrej lektury każdego numeru tygodnika „Sieci"!

Serdecznie pozdrawiamy,
Zespół tygodnika „Sieci"

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
118 zł	207 zł	375 zł

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00
(poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:
Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.
Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
Tytuł wpłaty: .....
.....
(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)
Kwota: .....
(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-cdcd0af3d8

Owsiak na wojnie z sepsą

Wszystkie środki zebrane dotąd podczas finałów WOŚP stanowią zaledwie 1 proc. rocznego budżetu NFZ. To nawet nie jest kropla w morzu potrzeb. Przy całej hojności darczyńców to prawie nic. Trudno się zatem dziwić, że coraz częściej pojawiają się pytania o sens działalności Owsiaka oraz o to, czemu ona właściwie służy

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Dzień po święcie Trzech Króli zajrzałem do jednej z sieciowych piekarni działających w Warszawie. Nie liczyłem na zbyt wiele, bo po pierwsze, było późne popołudnie, a po drugie, skończyły się ferie świąteczne, więc półki zostały już solidnie przetrzebione. Z jednym wyjątkiem – orkiszowych bułek po 2,33 zł za sztukę. Były to tzw. finałówki, nazwane tak od finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, ponieważ dochód z ich sprzedaży zasila konto fundacji Jerzego Owsiaka.

Okazało się, że finałówki nie cieszą się powodzeniem. Być może to kwestia ich smaku, a może – co wydaje mi się bardziej prawdopodobne – coraz chudszych portfeli Polaków i rosnącej niechęci do wspierania inicjatywy Owsiaka.

WYMUSZONE ZRZUTKI

Pod koniec stycznia w Warszawie odbędzie się 33. Finał WOŚP. Przez ponad 30 lat stosunek do zbiórki organizowanej przez Owsiaka wyraźnie się zmienił. Całkiem dobrze pamiętam początki WOŚP, gdy młodzi, niekiedy nastoletni wolontariusze natrętnie nagabywali przechodniów o datki do puszek. Bywało, że osoby bez naklejonego w widocznym miejscu serduszka były ganiane na ulicy do chwili, gdy wyjmą z portfela parę złotych. Dość powszechnie uważano wtedy, że od-

eprasa.pl cdcd0af3d8

Fot. Ludmyla Skwarczyńska, Fratria

mowa wpłaty na Owsiaka jest czynem moralnie nagannym i przynoszącym wstyd.

Potem się trochę uspokoiło. Nie było już ulicznych gonitw, zbierający datki nie „molestowali" przechodniów i spokojnie odchodzili, gdy im odmówiono. Fanatyzm zaczął ustępować miejsca normalności.

Dziś weszliśmy w kolejną fazę – gwałtownej polaryzacji, która m.in. za sprawą samego Owsiaka, niekryjącego się zbytnio ze swoimi sympatiami politycznymi, z pełną mocą uderzyła w jego własną inicjatywę. Wpłata na WOŚP stała się rodzajem deklaracji światopoglądowej, a nawet politycznej. Wyznawcy obecnego reżimu zachłystują się Owsiakiem, podczas gdy druga strona otwarcie przyznaje, że nie da mu ani grosza.

To duża zmiana jakościowa. Kilkanaście lat temu byłoby bowiem nie do pomyślenia, aby ktokolwiek bez narażania się na ostracyzm publicznie nawoływał do bojkotu WOŚP. Teraz taka postawa staje się coraz bardziej powszechna i akceptowana. Szantaż emocjonalny Owsiaka wskutek jego nonszalancji, nadmiernych ambicji i wielu innych błędów przestaje działać.

Na kwestie światopoglądowe nakładają się jeszcze dwa inne czynniki. Pierwszy z nich to zubożenie społeczeństwa, mocno kontrastujące z propagandowym bajdurzeniem o „uśmiechniętej Polsce". Drugim jest natrętna promocja Owsiaka. Wprawdzie dziś nie ma już pościgów za przechodniami, ale znów powróciło przymuszanie ludzi do wpłat. Oprócz tych dokonywanych z własnego wyboru, gdy wrzucamy pieniądze do puszki, są bowiem wpłaty automatyczne, a zatem nie zawsze dobrowolne. Wystarczy, że opłacimy rachunek za telefon, mamy konto w banku, ubezpieczymy się, zatankujemy samochód albo zrobimy zakupy w sklepie – w każdej z tych sytuacji istnieje duża szansa na to, że część naszych pieniędzy trafi na rachunek WOŚP. Wiele firm, niekiedy nie pytając nas nawet o zdanie, przekazuje środki na prywatną inicjatywę Owsiaka. W rezultacie zrzucamy się wszyscy, niezależnie od tego, czy tego chcemy, czy nie.

> Owsiak wykazuje duże podobieństwo do swojego politycznego przyjaciela, którym jest Tusk. Obaj nie tolerują krytyki, obaj są przyzwyczajeni do hołdów, wreszcie obaj szczerze nie znoszą prawicy

SZTUKMISTRZ TUSKA

Pieniądze zebrane podczas najbliższego 33. Finału WOŚP mają zostać przeznaczone na onkologię i hematologię dziecięcą. Rok temu Donald Tusk obiecał, że przekaże na ten cel 3 mld zł z budżetu państwa, ale nie dotrzymał słowa. Zamiast tego pieniądze poszły na dofinansowanie propagandy. TVP w likwidacji ma dostać od rządu 3,54 mld zł. Dla porównania: WOŚP przez ponad 30 lat zebrała łącznie zaledwie 2 mld zł. Tegoroczna zbiórka będzie więc ułamkiem tej kwoty i zaledwie promilem tego, co Tusk obiecywał chorym dzieciom. Ale jakaś część Polaków po raz kolejny uwierzy, że wpłatami na Owsiaka uratowała służbę zdrowia i poczuje się moralnie spełniona. Przynajmniej do następnego roku.

Podczas wszystkich liberalnych rządów (również teraz) Owsiak odgrywał rolę kogoś w rodzaju ministra spraw socjalnych. Jego zadaniem miało być łagodzenie antyspołecznego oblicza tych reżimów, dawanie iluzji wspólnoty, solidarności i walki o szczytny cel. Dzięki temu stworzył on wokół siebie aurę samarytanina, świeckiego kapłana spieszącego z pomocą ubogim. W budowie tego wizerunku wydatnie pomogły mu liberalne media, przeciwstawiając Owsiaka rzekomo pazernemu i zepsutemu Kościołowi katolickiemu, a także narzucając społeczeństwu moralny imperatyw popierania „Jurka". Wokół inicjatywy Owsiaka wytworzyła się na wpół religijna grupa fanatyków zaciekle broniących swojego guru. Ich sposób działania oraz niebywały poziom agresji wobec oponentów wykazuje duże podobieństwa do sekty ośmiu gwiazdek, co skłania do przypuszczenia, że obie grupy wzajemnie się przenikają. Przy czym fanatycy Owsiaka byli pierwsi – to oni wytyczyli szlak swoim następcom.

Antyklerykalizm, prostacki nihilizm oraz nienawiść do prawicy właściwie zawsze towarzyszyły promocji Owsiaka. Jednak równie ważne było wykorzystywanie go w roli osłony dla antyspołecznej polityki liberalnych rządów. Zadania państwa miały być przerzucane na prywatne podmioty, jakoby bardziej skuteczne i lepiej zarządzane, a finansowanie publicznej służby zdrowia miało być zastąpione publiczną żebraniną. Ten zabieg, choć wydaje się rodem z dzikiego kraju na końcu świata, w dużym stopniu się powiódł, skoro do dziś znajdziemy w Polsce wiele osób, które są święcie przekonane, że publiczna służba

eprasa.pl cdcd0af3d8

zdrowia utrzymuje się przy życiu wyłącznie dzięki Owsiakowi. W rzeczywistości 32 zorganizowane przez niego zbiórki przyniosły łącznie 2 mld zł, podczas gdy budżet NFZ na 2025 r. ma wynieść 200 mld zł. To oznacza, że wszystkie środki zebrane dotąd podczas finałów WOŚP stanowią zaledwie 1 proc. wydatków państwa na służbę zdrowia w tylko jednym roku. To nawet nie jest kropla w morzu potrzeb. Przy całej hojności darczyńców to prawie nic.

W okresie rządów PiS Owsiak nieprzypadkowo nieco znikał z pola widzenia, przy czym nie chodziło wyłącznie o polityczną wrogość. Po prostu rządy prawicy nie musiały korzystać z jego usług, aby przykryć w ten sposób cięcia w służbie zdrowia. Państwo działało lepiej i wykonywało swoje zadania, więc żaden sztukmistrz nie był potrzebny.

Trudno się zatem dziwić, że coraz częściej pojawiają się pytania o sens działalności Owsiaka oraz o to, czemu ona właściwie służy. Z analizy przedstawionej na platformie X przez profil „Polityka w sieci" widać, że WOŚP przechodzi największy wizerunkowy kryzys w swojej historii. „Z analizowanych komentarzy wynika, że aż 60 proc. treści [w mediach społecznościowych] wyraża negatywny stosunek do fundacji" – czytamy. Dominujące wątki krytyczne obejmują zarzuty dotyczące m.in. braku przejrzystości finansowej, nadmiernych kosztów organizacyjnych, upolitycznienia działań WOŚP oraz osobistych korzyści czerpanych przez Owsiaka, co wywołuje „falę negatywnych emocji".

Wychodzi więc na to, że po ponad 30 latach nieustannej promocji Owsiaka w mediach większość Polaków nabiera wątpliwości co do jego intencji.

ZMIERZCH PÓŁBOGA

W ostatnim czasie Owsiak najbardziej zaszkodził sobie dwoma rzeczami. Najpierw tuż przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. niemal otwarcie zaangażował się w politykę i oblepił całą Polskę plakatami nawołującymi do walki z sepsą, co było wyraźną aluzją do rządów PiS, a ponad rok później przyjął od Tuska zlecenie zorganizowania pomocy ofiarom powodzi na Dolnym Śląsku, na czym kompletnie poległ wizerunkowo.

Zacznijmy jednak od plakatów. Ta akcja wzbudziła zrozumiałe oburzenie wśród elektoratu prawicy, który poczuł się urażony porównaniem do zarazy. Niesmak wywołało także wykorzystanie pieniędzy WOŚP na szeroko zakrojoną kampanię polityczną wspierającą obóz Tuska. Po czymś takim trudno było udawać jakąkolwiek bezstronność. Zresztą Owsiak nawet tego nie robił. W rozmowie z dziennikarzem nie krył się z tym, że cieszy go zmiana władzy w Polsce. „Wszystkie drzwi się otwierają" – wyjaśnił z uśmiechem.

> WOŚP przechodzi największy wizerunkowy kryzys w swojej historii. Po ponad 30 latach promocji Owsiaka w mediach większość Polaków nabiera wątpliwości co do jego intencji

I rzeczywiście, drzwi się otwierały. Nie tylko do ministerstw, instytucji publicznych, lecz także do spółek skarbu państwa. Według dziennikarza śledczego Piotra Nisztora pod koniec listopada PKN ORLEN podpisał umowę na sponsoring trzech najbliższych finałów WOŚP. Ustalono także, że na Orkiestrę trafi co najmniej złotówka od każdej kawy sprzedanej na stacjach ORENU.

Takie kawy sprzedawane w kubeczkach z czerwonym serduszkiem są już hałaśliwie reklamowane przez polityków PO. „Pyszna kawa z ORLENU i szczytny cel" – ekscytowała się na platformie X Kamila Gasiuk-Pihowicz, która jeszcze w 2021 r. bojkotowała koncern i pisała, że jest on „wytwórcą paliwa politycznego dla PiS". Oczywiście nie przeszkadza jej to, że ORLEN, którego zyski pod rządami Tuska spadły aż o 95 proc., dopieszcza dziś inicjatywy zupełnie niezwiązane z branżą. Sprowokowało to posła PiS Radosława Fogla do postawienia ostrożnego pytania, czy nie jest to przypadkiem rekompensata dla Owsiaka za jego walkę z sepsą. Takie spekulacje pojawiły się już wtedy, gdy fundacja Owsiaka przyjęła od Tuska rolę pośrednika w udzielaniu pomocy powodzianom. Wydawało się dziwne, że rząd nie potrafi działać samodzielnie i musi się posiłkować wsparciem z zewnątrz.

Premier wyjaśniał to po swojemu. Jego zdaniem Jerzy Owsiak jest „najwybitniejszym w świecie specjalistą od szybkiej, dobrej pomocy dla ludzi" i dlatego zadanie niesienia pomocy powodzianom powierzono właśnie jemu. Owsiak przyjął zlecenie od Tuska i zapowiedział uruchomienie 40 mln zł ze środków fundacji oraz otwarcie zbiórki na rzecz powodzian.

Jak wynika z pisma, które pod koniec listopada Fundacja WOŚP wysłała do polityków PiS w odpowiedzi na ich wniosek o dostęp do informacji publicznej, walkę ze skutkami powodzi hojnie wsparły fundacje związane ze spółkami skarbu państwa. Z listu dowiadujemy się, że spośród blisko 70 podmiotów zaangażowanych we współpracę z WOŚP „w związku z walką ze skutkami powodzi" najwyższe datki przekazała Fundacja ORLEN (4,2 mln zł), Fundacja PZU (2,5 mln zł) i Fundacja Banku Pekao (1 mln zł) – łącznie 7,7 mln zł. Najwięksi prywatni darczyńcy: The Coca-Cola HBC Foundation oraz mBank przekazali łącznie 2,08 mln zł.

Problem pojawił się w chwili, gdy Owsiak pytany przez dziennikarzy niezależnych mediów (w tym reportera telewizji wPolsce24 Rafała Jarząbka) o szczegóły wydatków dla powodzian nie potrafił udzielić precyzyjnej odpowiedzi, zaprzeczał, że otrzymuje publiczne pieniądze i w końcu poirytowany uciekł do swojego gabinetu. Co więcej, jak wynika z wypowiedzi mieszkańców zalanych terenów, pomoc WOŚP nie dotarła do wielu miejsc. Nic więc dziwnego,

eprasa.pl cdcd0af3d8

że mnożyły się wątpliwości. Jednak Owsiak zamiast odpowiadać na pytania, próbował je zbywać okazywaniem złości lub wzruszeniem ramion. Najwyraźniej nie zauważył, że czasy się zmieniły i jego dotychczasowy status półboga zaczyna być kwestionowany.

> Jerzy Owsiak pełni rolę kogoś w rodzaju ministra spraw socjalnych. Jego zadaniem jest łagodzenie antyspołecznego oblicza reżimu, dawanie iluzji wspólnoty, solidarności i walki o szczytny cel

NOWA KAMPANIA

Na początku roku fundacja Owsiaka opublikowała na swojej stronie internetowej rozliczenie pomocy powodzianom, która do 3 stycznia miała wynieść 39 mln zł. „Kochani, nigdy do głowy by nam nie przyszło, że spotkamy się z tak nieprawdopodobnym festiwalem kłamstw i obrażania nie tylko naszej Fundacji, ale wszystkich, którzy pomagali przy powodzi" – napisał rozżalony Owsiak na Facebooku.

To jednak było dopiero preludium. Następnego dnia Owsiak poinformował swoich czytelników, że otrzymuje groźby śmierci. „Od kilku dni jest podobnie. Groźby bardzo konkretne, z bombą w tle i utylizacją mojej osoby. Szczucie w wykonaniu Telewizji Republika i wPolsce24 podobne do tych manipulacji i szczucia skierowanego w stronę Prezydenta Gdańska Pana Pawła Adamowicza, a wiemy, jak to się skończyło" – stwierdził, sugerując tym samym, że zadawanie mu pytań przez niezależne media jest w istocie podżeganiem do jego śmierci. „Jeżeli dożyję jutra – to nie jest śmieszne – to nadal ja i Fundacja będziemy robić swoje, czyli przygotowywać się do 33. Finału dla onkologii i hematologii dziecięcej, gdzie pracy jest ogrom, a także dokonywać kolejnych, powtarzam, kolejnych powodziowych zakupów" – zapewnił, po raz kolejny wracając do tematu powodzi.

Byłoby jednak błędem wyśmiać wyznanie Owsiaka lub uznać je za ględzenie starego histeryka. Groźby pod jego adresem są sprawą poważną i wymagającą wyjaśnienia. Inna rzecz, że szef WOŚP w zupełnie nieuprawniony sposób kieruje obrzydliwe sugestie w stronę niezależnych mediów. Tak jakby chciał rozpętać przeciwko nim kolejną kampanię walki z sepsą. Jeżeli jego zdaniem zadawanie „niewłaściwych" pytań jest przejawem hejtu, to nie da się wykluczyć, że tak naprawdę chodzi o znalezienie pretekstu do przyszłego uderzenia w te media.

Pod tym i wieloma innymi względami Owsiak wykazuje duże podobieństwo do swojego politycznego przyjaciela, którym jest Tusk. Obaj nie tolerują krytyki i niewygodnych pytań, obaj są przyzwyczajeni do publicznych hołdów i aplauzu, wreszcie obaj szczerze nie znoszą szeroko rozumianej prawicy i chcą zemsty. Dlaczego więc nie mieliby się z nią wspólnie rozprawić, tak jak podczas „walki z sepsą" w 2023 r.?

Okazja może się nadarzyć już w tym roku, jeżeli oczywiście obecnemu reżimowi uda się „domknąć system" i przejąć urząd prezydenta. Wtedy Owsiakowi nikt już nie będzie zadawał żadnych pytań. Nikt też nie będzie pytał Polaków, czy chcą wspierać jego fundację. Po prostu potrącą nam datki z bieżących wydatków w ten czy inny sposób.

SPROSTOWANIE

W związku z treścią artykułu pt. „Tak doją państwo" (Sieci nr 31/2024) prostujemy jak następuje: Prezes ARP Michał Dąbrowski z dniem 07.06.2024 r. (przed publikacją ww. artykułu) zrezygnował z dofinansowania apartamentu w Warszawie i nie „zażyczył" sobie sprzętu IT wartości 30000 zł ani zmiany auta. W 2024 roku gdy ARP sponsorował kongres Industry in Transision partnerka Michała Dąbrowskiego nie była wiceprezesem RIG w Katowicach. W dniu 26.07.2024 r. do Prokuratury Krajowej złożono zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa na szkodę ARP.

Michał Dąbrowski – Prezes ARP
Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

Fot. Longfin Media/Shutterstock.com

eprasa.pl cdcd0af3d8

JAN ROKITA

Rok Tuska

Nie ma wątpliwości, że 2024 r. był w polskiej polityce rokiem Donalda Tuska. Bez obawy o przesadę można powiedzieć, iż od odzyskania niepodległości w 1989 r. żaden szef rządu nie odcisnął aż tak silnego osobistego piętna na całości polskiego życia publicznego

Niemal dwie dekady temu, w 2008 r., analizując nowatorski profil władzy Tuska po roku jego pierwszej premierowskiej kadencji (nazwijmy go Tuskiem I), stawiałem tezę, iż nowy naonczas premier stworzył podwaliny „systemu rządów osobistych". Charakteryzuje się on tym, że każda instytucja publiczna od administracji i samorządów poprzez sądy, trybunały, aż po bank centralny i wielkie media musi uznawać całkowitą zależność od jednego człowieka, który nominalnie pełni tylko urząd szefa rządu, mocno ograniczonego przez konstytucję. Porównywałem wówczas ów rodzący się model Tuskowego ustroju do rzymskiego pryncypatu, w którym niby istnieją wszystkie instytucje republikańskie, ale tak naprawdę są one tylko własnymi cieniami. W styczniu 2025 r., a więc po roku trzeciej kadencji Tuska jako premiera (nazwijmy go Tuskiem II), muszę poddać tamten opis dwojakiej korekcie.

RÓŻNICA MIĘDZY TUSKIEM II A TUSKIEM I

Rzecz pierwsza, że Tusk II nie miał na razie dość mocy, aby uzależnić od siebie całość państwa, gdyż poza zasięgiem jego kontroli pozostawało wiele instytucji ciągle obsadzonych przez poprzednie rządy. A wobec natężenia skali politycznej wrogości panującej w kraju z reguły są one mniej lub bardziej otwarcie nieprzyjazne rządom Tuska.

Tym samym łagodny sposób ponownego zaprowadzenia rządów osobistych wzorem pierwszej dekady XXI w. przestał się sprawdzać. Kluczowa zmiana podejścia Tuska polegała zatem na tym, iż postanowił on delegitymizować wszystkie instytucje publiczne niepoddające się jego osobistej władzy, wymuszając ich uległość za pomocą aktów bezprawia albo po prostu siłą. Wykorzystał do tego dwie bardzo korzystne dlań okoliczności. Tę, że mniej więcej w połowie polskiego ludu istnieje ugruntowana ideologiczna nienawiść do prawicy oraz tę, iż rządy oraz wielkie media Europy Zachodniej oczekiwały i nadal oczekują od niego trwałego zniszczenia polskiej prawicy wszelkimi dostępnymi metodami.

Ważne, by tu nie ulegać jakimś iluzjom: międzynarodowy mandat w tej materii dla Tuska jest mocny i przynajmniej w Europie (Bruksela, Berlin, Paryż, Londyn, Madryt) na razie niewzruszalny.

Tak dostrzegamy drugą kluczową różnicę w sposobie sprawowania władzy przez Tuska I i Tuska II. Do 2010 r., czyli tragicznej śmierci prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jedynym urzędem publicznym niepodporządkowanym władzy Tuska był urząd głowy państwa.

To wtedy właśnie premier podjął pierwsze próby przełamania porządku konstytucyjnego, tak by *de facto* pozbawić prezydenta kluczowych uprawnień, choćby w kształtowaniu polityki zagranicznej państwa. Były to jeszcze działania względnie nieśmiałe (przynajmniej patrząc z dzisiejszej perspektywy) i trochę szelmowskie, jak choćby słynna próba obrócenia w groteskę kompetencji konstytucyjnych głowy państwa w sprawach międzynarodowych poprzez... zablokowanie prezydentowi dostępu do samolotu. W każdym razie była już w tym zapowiedź tego, co następuje dopiero teraz. By zmusić prezydenta do uległości, Tusk I już wtedy działał metodą faktów dokonanych, bez zważania na konstytucyjne reguły „balance of power".

W 2024 r. Tusk II uznał, że swoją wolą może zawieszać ustawy, których nie jest w stanie albo zwyczajnie nie chciałby nowelizować (przypadki telewizji, prokuratury, subwencji budżetowej PiS czy wielu nominacji w trakcie trwających kadencji).

Ostatnio – w grudniu 2024 r. – przekroczył kolejną czerwoną linię, skłaniając swój rząd do sformalizowania w trybie tzw. uchwały 162 zawieszenia mocy co najmniej 11 norm konstytucji z 1997 r. I tak system rządów osobistych został uzupełniony o nieznaną w ciągu ostatniego trzydziestolecia metodę rządzenia za pomocą stanu wyjątkowego.

46/1224/F

eprasa.pl cdcd0af3d8

Innymi słowy – nieformalnego z początku, a pod koniec roku sformalizowanego zawieszania niewygodnych dla władzy norm konstytucyjnych i ustawowych na mocy nagich aktów woli jednego człowieka.

STAN WYJĄTKOWY 2024

W bilansie polskiej polityki za 2024 r. ta fundamentalna przemiana góruje nad wszystkimi innymi kwestiami krajowymi i zagranicznymi, w jakimś sensie podobnie, jak przed niemal 100 laty zamach majowy górował i nadal historycznie góruje nad wszystkim innymi zjawiskami politycznymi w Polsce 1926 r.

Rządy za pomocą stanu wyjątkowego służą oczywiście przede wszystkim koncentracji pełni władzy w rękach polityka, który nie kryje już tego, że rozumie swoją rolę jako rolę wodza narodu. Tyle że taki argument sformułowany wprost nie wyglądałby dobrze. Więc za uzasadnienie niezwykłych uprawnień przyznanych przez premiera samemu sobie ma służyć oczekiwane przez Zachód i krajowych rewanżystów trwałe zniszczenie prawicowej opozycji, tak by w przewidywalnej przyszłości nie była ona zdolna do demokratycznego odzyskania władzy.

Temu służyły w ub.r. zabiegi z dziedziny „inżynierii społecznej" (takie choćby jak słynna sprawa kradzieży 100 mld) mające formować fałszywą świadomość ludu na temat prawicy i jej poszczególnych liderów i akcja nasilających się aresztowań polityków prawicy, wprost wynikająca z logiki rządów za pomocą stanu wyjątkowego. Jak dobrze wiemy z nie tak znów dawnej polskiej historii, warszawski maj 1926 r. nieuchronnie prowadzi do brzeskiego września 1930 r.

Ale jeśli patrzeć na 2024 r., to trzeba przyznać, iż akcja aresztowań okazała się mało skuteczna. Są dwie racjonalne hipotezy, które mogą tłumaczyć dotychczasową nieskuteczność tego kluczowego elementu planu politycznego Tuska II na całe czterolecie 2024–2027.

Jedna upatruje przyczyny w typowej dla rządów Tuska ogólnie niskiej sprawczości państwa i jego aparatu, co rzuca się w oczy zwłaszcza w kontraście do niezłych (jak na polskie standardy) umiejętności zarządczych poprzedniego szefa rządu – Morawieckiego.

Warto pamiętać, jak Tusk I w 2007 r. nie wiedział np., jak wypełnić swe szczere i solenne zobowiązanie redukcji biurokracji o 10 proc., więc po roku „redukcyjnych" wysiłków jego administracja znacząco urosła siłą inercji. Gdy idzie o aresztowania, przypadek posła Romanowskiego i związane z tym groteskowe perypetie wskazywałyby właśnie na taki powód: inercję i brak umiejętności zarządczych.

Z kolei przypadek uwolnienia z więzienia posłów Kamińskiego i Wąsika wskazywałby raczej na drugą hipotezę. Tusk ciągle nie jest zdecydowany na bardziej drastyczne działania, gdyż nie ma pewności, czy i jak wpłynie to na zmiany opinii publicznej, niebezpieczne w obliczu bliskich wyborów prezydenckich. W każdym razie obie hipotezy można dziś stawiać zasadnie, a to, która z nich okaże się trafniejsza, rozstrzygną zapewne wydarzenia 2025 r.

„POMYŚLĘ O TYM JUTRO"

Ów brak umiejętności zarządczych jest jeszcze bardziej uderzający w sferze finansów publicznych, gdzie minister Domański występuje w roli politycznej marionetki premiera (samo w sobie nie musi to być złe, a taki model resortu z ul. Świętokrzyskiej został już ukształtowany przez Morawieckiego i do czasu Tuska okazywał się dość funkcjonalny.)

I tak początek 2024 r. stał pod znakiem rozpędzonego naśladownictwa rządów PiS, przy każdej okazji zrzucających pieniądze z helikopterów dla różnych grup elektoratu. Taki charakter miały jeszcze wiosenne olbrzymie podwyżki płac dla nauczycieli i świata akademickiego, skądinąd obiecane przez Tuska w kampanii wyborczej.

Tyle że chwilę potem ujawnił się najpoważniejszy od czasu rządu Buzka kryzys budżetu państwa, który jako żywo nigdy nie przytrafił się rządom PiS. Wedle uchwalonej w grudniu 2024 r. nowej ustawy budżetowej aż

REKLAMA

eprasa.pl cdcd0af3d8

jedna trzecia całości wydatków publicznych ma pochodzić z rosnącego długu państwa (!), co oznacza, że Polska ma mieć w Europie drugi od końca najgorszy bilans swoich finansów. Drugi od końca, bo gorzej wyglądają jedynie założenia budżetowe zbankrutowanej Ukrainy. Dużo lepiej wygląda planowany bilans budżetowy pogrążonej w politycznym chaosie Francji, jak i Rosji, która prowadzi wielką wojnę.

Co prawda Tusk, który dysponuje unikalnym, jak na obyczaje polityczne, wsparciem Europy, bez wielkich trudów uzyskał od Brukseli przyzwolenie na odłożenie naprawy finansów na czas po majowych wyborach prezydenckich. Więc z perspektywy doraźnego zarządzania stanem narastającego kryzysu załatwia to problem na kilka najbliższych miesięcy. Jak wiadomo, w takich kłopotliwych sytuacjach Scarlett O'Hara mawiała: „Ach! Pomyślę o tym jutro".

> Rządy za pomocą stanu wyjątkowego służą przede wszystkim koncentracji pełni władzy w rękach polityka, który nie kryje już tego, że rozumie swoją rolę jako rolę wodza narodu

Jednak jutro, czyli po majowych wyborach prezydenckich, Tusk znajdzie się na najlepszej ścieżce ku poważnej kolizji z rynkami finansowymi. A to może go kosztować nie tylko utratę dotychczasowej reputacji, lecz także całkiem wymierny wzrost kosztów dalszego zadłużania kraju, czyli mniejszą lub większą powtórkę z kryzysu grecko-włoskiego z początku naszego wieku.

Z punktu widzenia samego Tuska bilans pierwszego roku jego rządów w kwestiach fundamentalnych musi być więc mocno niepokojący. Z jednej strony polityka stanu wyjątkowego i nieustannego szukania metod zniszczenia prawicy zaczyna skutkować anarchizacją coraz to nowych segmentów państwa, wykraczając poza zdewastowany już wymiar sprawiedliwości. Z drugiej zaś złe zarządzanie finansami publicznymi popycha kraj w stronę poważnych kłopotów z przyszłym finansowaniem długu.

Najważniejsze pytanie polityczne, jakie należy postawić dziś w Polsce, brzmi zatem: czy premier ma na to wszystko jakąś inną odpowiedź niźli dalsze poszerzanie stanu wyjątkowego i zaostrzanie represji wobec przeciwników? Bo jeśli nie, to nietrudno przewidzieć, iż na końcu tej ścieżki jest już tylko narastanie przemocy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cdcd0af3d8

Gen. Jarosław Stróżyk

W oparach absurdu

PIOTR GURSZTYN

Antoni Macierewicz ma usłyszeć zarzut zdrady dyplomatycznej. Pretekst do oskarżenia jest tak wydumany i absurdalny, że aż szokuje. Albo bezczelnością, albo głupotą. Czy to efekt prowadzonej przez Donalda Tuska polityki „na wyrwę"? Czy może wynik skrajnej desperacji, bo oskarżająca Macierewicza komisja gen. Stróżyka nie potrafi się wykazać jakimikolwiek osiągnięciami? A czas płynie

„Kto, będąc upoważniony do występowania w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej w stosunkach z rządem obcego państwa lub zagraniczną organizacją, działa na szkodę Rzeczypospolitej Polskiej, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat 10" – tak brzmi art. 129 Kodeksu karnego, z którego ma być oskarżony Antoni Macierewicz za jedną z decyzji, którą podjął jako minister obrony narodowej. Śledztwo w sprawie „podejrzenia przestępstwa" wszczęła Prokuratura Krajowa na wniosek gen. Jarosława Stróżyka, przewodniczącego komisji powołanej przez Donalda Tuska do badania wpływów rosyjskich.

Prokuratura ogłosiła, za co chce ścigać Macierewicza: „Czyn będący przedmiotem zawiadomienia polegał na doprowadzeniu do nieprzystąpienia Polski do międzynarodowego programu zakupu samolotów do tankowania w powietrzu znanego jako »Karkonosze«. Niepozyskanie powyższych samolotów miało skutkować obniżeniem zdolności Sił Zbrojnych RP i negatywnie wpłynąć na strategiczne bezpieczeństwo państwa".

Chodzi o program, do którego Polska przystąpiła w 2014 r., za czasów Tomasza Siemoniaka jako szefa MON. Miał to być wspólny z kilkoma państwami NATO zakup samolotów Airbus 330MRTT. Program tworzyły Niemcy, Holandia, Belgia, Luksemburg, Norwegia i Czechy. Macierewicz zrezygnował z udziału w nim w 2016 r. Argumentował to jego wysokimi kosztami oraz faktem, że zgoda na użycie wspólnych tankowców zależałaby od decyzji pozostałych państw, korzyści dla polskiego lotnictwa byłyby zatem ograniczone, a co gorsza niepewne.

W tamtym czasie Polska miała jedynie 48 samolotów wielozadaniowych F-16 zdolnych do tankowania w powietrzu. Posowieckie MiG-29 i Su-22, które stanowiły drugą część naszej floty powietrznej, nie miały takich zdolności. Wydatek na udział w programie tankowców był zasadny, ale bardzo kosztowny. A w kwestii zakupów wojsko kieruje się

Fot. KPRM

eprasa.pl cdcd0af3d8

zasadą coś za coś: sfinansowanie jednego programu zbrojeniowego oznacza cięcia w innych. Szczególnie dotyczyło to okresu sprzed 24 lutego 2022 r., kiedy ani opinia publiczna, ani cała klasa polityczna z ówczesną opozycją na czele nie uznawały wydatków na obronność za priorytetowe. Tankowce nie mogły być priorytetem, gdy wojsku brakowało sprzętu czysto bojowego. Takiego, który strzela, a nie służy obsłudze.

Ciekawe jest zresztą to, że w momencie podejmowania tamtej decyzji nie było jakichś gwałtownych protestów ze strony opozycji ani w ogóle jakiegokolwiek zainteresowania. Rezygnacja przeszła wtedy bez echa. W tamtym czasie opozycja nie dostrzegła w niej potencjału do ogłoszenia jej zdradą dyplomatyczną ani nawet skandalem.

PRZYPADEK KLICHA

„Mogę z całą kategorycznością stwierdzić, że komisja dotychczas zidentyfikowała szereg działań, które wypełniają cele polityki zagranicznej Rosji i Republiki Białorusi oraz wpisywały się w *modus operandi* służb specjalnych tych państw w zakresie inicjatyw wymierzonych w osłabienie potencjału Rzeczpospolitej Polskiej oraz jej pozycji na arenie międzynarodowej" – grzmiał jesienią na pierwszej i jedynej do tej pory konferencji komisji Stróżyk. Komisja powołana przez Tuska z propagandowym przytupem istnieje już siedem miesięcy, ale mimo gromkich słów Stróżyka, nie wykazała się żadnym efektem pracy.

Doniesienie na Macierewicza ma być pierwszym spektakularnym znakiem działań komisji. Ale w rzeczywistości Stróżyk i jego drużyna stworzyli coś, co może być kijem na platformerskich poprzedników Macierewicza ze szczególnym uwzględnieniem byłego szefa MON Bogdana Klicha. Od razu się okazało, że w grudniu 2008 r. podjął on podobną decyzję, co błyskawicznie wytknął Mariusz Błaszczak. Klich oznajmił wówczas, że rezygnuje z zakupu dwóch samolotów do tankowania w powietrzu, mimo że wojsko miało na to odłożone pieniądze. Cysterny nie zostały nabyte, a pieniądze wróciły do budżetu państwa, bo Klich nie kupił za to nic innego. Zresztą gdy zajrzymy do przywołanego przez Błaszczaka doniesienia prasowego z informacją o tamtej decyzji, znajdziemy jeszcze jeden ciekawy *passus*. Ówczesny szef MON przyznał się wtedy, że nie przyjął propozycji ministra obrony RFN, aby dokupić kolejne czołgi Leopard, mimo że jak sam powiedział, propozycja była „bardzo ciekawa". Czy nie jest to działanie na szkodę Rzeczypospolitej w stosunkach z przedstawicielem innego państwa?

I czy nie jest obniżeniem zdolności Sił Zbrojnych RP kolejna decyzja Klicha z tego samego 2008 r.? Wtedy ówczesny szef MON odrzucił amerykańskie zaproszenie do programu F-35. Gdyby zostało ono przyjęte, Polska otrzymałaby te maszyny szybciej i za niższą cenę. Tak wówczas zrobiły Norwegia, Australia, Kanada i Dania (na początku także Turcja, ale została wykluczona z programu po tym, jak kupiła rosyjskie systemy OPL S-400). Dzięki przystąpieniu do programu norweski koncern Kongsberg produkuje dzisiaj podzespoły do tych samolotów najnowszej generacji.

Klich nie odniósł się do zarzutu w sprawie odrzucenia amerykańskiej propozycji, co może oznaczać, że nie ma dobrej na niego odpowiedzi. Z kolei Siemoniak bronił się, pisząc: „Jaki sens miał akces do F-35, gdy dopiero co weszły F-16? Skąd dodatkowe środki?". Sens był, bo wiadomo było, że liczba polskich F-16 jest niewystarczająca na potrzeby obrony kraju, a Polska będzie potrzebowała samolotów piątej generacji, czyli F-35. Jego obrona ma ponadto tę słabość, że pod koniec swojej pracy w MON sam publicznie opowiadał o zamiarze kupna tych maszyn. Siemoniak twierdził też, że ważniejsza dla niego była budowa naziemnej obrony powietrznej, czyli programy „Wisła" i „Narew". Ale jego osiągnięcia w tej materii ograniczają się do rozpoczęcia tzw. dialogu technicznego. To osławione i wyśmiane określenie, za pomocą którego MON przed czasami Błaszczaka próbował odpowiadać na najprostsze pytania, dlaczego jakiś sprzęt nie został kupiony, skoro przygotowania do zakupu trwają już od wielu lat.

BILANS POPRZEDNIKÓW

Zarzut wobec Macierewicza o to, że osłabił polskie zdolności obronne, od dawna jest stawiany przez KO i jej sojuszników. Nowość stanowi próba wykorzystania Kodeksu karnego. Ale przy tej okazji należy się też odnieść do tego ogólnego zarzutu. Jedyną wymierną oceną będzie porównanie bilansu ministerialnej pracy Macierewicza z osiągnięciami jego dwóch poprzedników.

Klich jest nazywany najgorszym szefem MON w III RP nie tylko przez prawicę. To przede wszystkim powszechna ocena w wojsku. Zredukował on armię do niebezpiecznie małych rozmiarów, zrujnował system odtwarzania rezerw, a na dodatek utrwalił wszystkie patologie w dowodzeniu i zarządzaniu. „Pomnikiem" jego działalności są Wojskowe Oddziały Gospodarcze zwane przez żołnierzy „wrogimi oddziałami gospodarczymi". To symbol wojska z czasów „profesjonalistów" sprzed 2016 r. – instytucji, w których żołnierz jest obcesowo traktowanym petentem, jak klient w PRL-owskich sklepach. Dosłownie takich, jak z komedii Stanisława Barei. „Tam, gdzie zaczyna się MON, tam kończy się logika" – tak to sarkastycznie nazywają sami żołnierze.

Idąc drogą gen. Stróżyka, w przyszłości ktoś będzie mógł postawić Klichowi zarzuty, choć z innego paragrafu niż zdrada dyplomatyczna, za zlikwidowanie wielu jednostek liniowych. A szczególnie za wypchnięcie z wojska tysięcy zawodowych żołnierzy, dla których zabrakło etatów. Klich wyrzucił ich, gdy bezrobocie wynosiło 12 proc. Niewątpliwie było to osłabianie zdolności obronnych kraju, czyli to, co teraz prokuratura za wskazaniem Stróżyka próbuje zarzucić Macierewiczowi. „A jest z czego ciąć, bo polskie wojsko cały czas trzyma bazę na ponad 400 tys. ludzi na wypadek mobilizacji" – pisał na początku 2010 r. tygodnik „Polityka", chwaląc wtedy likwidatorską działalność ministra Klicha. Dzisiaj brzmi to jednak jak poważne oskarżenie.

Tak samo bezsprzecznym osłabianiem bezpieczeństwa Polski było to, że przez trzy lata – za czasów Klicha i jego następcy Siemoniaka – MON oddawało

eprasa.pl cdcd0af3d8

do budżetu państwa niewykorzystane pieniądze. W tym samym czasie, gdy na bruk byli wyrzucani doświadczeni żołnierze! Szacunki za lata 2008–2012 mówią o sumach 6–8 mld zł, których MON nie potrafiło wydać. Trzeba przy tym pamiętać, że jednocześnie ówczesny rząd PO-PSL co roku ciął wydatki na wojsko. W 2008 r. nakłady na armię nie przekroczyły 1,67 proc. PKB, a w 2009 r. – 1,7 proc.

Popatrzmy na liczby dotyczące stanów osobowych. Klich zastał armię liczącą 130 tys. ludzi. Po przeprowadzonej przez niego „profesjonalizacji" zostało 99 tys. Taką liczebność na początku 2011 r. zastał Siemoniak. Gdy oddawał ministerstwo po przegranych wyborach, Polska dysponowała 95-tys. armią. Trzeba przy tym pamiętać, że tylko pewien procent z tej liczby można było nazwać wojskiem liniowym. Reszta to urzędnicy w mundurach, logistyka, obsługa baz i tym podobna obsada tyłów oraz instytucji MON. Na dodatek konto obu ministrów negatywnie obciąża likwidacja systemu odtwarzania rezerw. W 2015 r. średni wiek rezerwisty wynosił 45 lat. A wiadomo, że z powodów biologicznych ta średnia wzrastała, ogólna liczba rezerwistów zaś malała, bo najstarsi wypadali z systemu.

Panowie Klich i Siemoniak „stworzyli" zatem armię małą, ale za to... niesprawną, bo zbiurokratyzowaną i niewyposażaną w przypadku wojsk lądowych w nowy sprzęt. Jeśli popatrzymy na to z perspektywy doświadczeń ukraińskich, to w przypadku pełnoskalowej agresji wojsko Klicha i Siemoniaka byłoby w stanie wystawić siły liczące ok. 50 tys. ludzi, czyli mniej niż 10 proc. stanu obrońców Ukrainy z lutego 2022 r. Na dodatek wyposażonych przeważnie w sprzęt posowiecki. Taka garstka musiałaby bronić kilkusetkilometrowego frontu.

IGRZYSKA ZAMIAST CHLEBA

Macierewicz na tym tle jest człowiekiem, który odwrócił trend. Jeśli chodzi o całość wojsk operacyjnych, odniósł sukces, choć niezbyt duży – liczebność wojska w czasie jego rządów wzrosła z 95 tys. ludzi do 100 tys. Za to niewątpliwie ogromnym osiągnięciem było utworzenie Wojsk Obrony Terytorialnej. Po dwóch latach nowy rodzaj sił zbrojnych liczył już 12 tys. ludzi. Beneficjentami tamtej decyzji są późniejsi szefowie MON – Mariusz Błaszczak i Władysław Kosiniak-Kamysz (który publicznie przyznał, że błędem były jego opozycyjne wezwania do likwidacji WOT). Obecnie piąty rodzaj sił zbrojnych liczy ponad 40 tys. żołnierzy. Do tej liczby trzeba dodać kilka tysięcy żołnierzy WOT, którzy przeszli do wojsk operacyjnych, podejmując służbę zawodową (to przykład śp. sierż. Mateusza Sitka). A także spore grono tych, którzy zrezygnowali ze służby w WOT i wrócili do cywila. Oni także są zyskiem dla armii, bo stali się przeszkolonymi rezerwistami, którzy zostaną zmobilizowani w razie najgorszego.

> Podobny zarzut zdrady dyplomatycznej, który ma usłyszeć Macierewicz, można by postawić Klichowi

Wniosek gen. Stróżyka to spektakl łączący cechy horroru i groteski. Horror będzie, jeśli sprawa trafi przez sąd ustawiony według „odpowiedniego" losowania. Ale jeśli sądy będą osądzały według wcześniejszej praktyki, to Macierewicz wyjdzie z tej opresji jako triumfator, bo sprawa jest całkowicie dęta.

Możliwe, że spektakl ograniczy się do teatralnych gestów. Przynajmniej do czasu, gdy koalicja 13 grudnia nie będzie miała pełnej kontroli nad sądami. Dzisiaj Stróżyk musi wykazać się tym, że komisja wykonuje jakieś działania. Działa od czerwca 2024 r., a jedynym znanym efektem jej pracy jest dokument, który jej przewodniczący nazwał „wstępnym raportem". Czyli coś, co zostało powszechnie ocenione jako beznadziejnie słaba, całkowicie stronnicza publicystyka. Za co zatem 12 członków komisji co miesiąc bierze publiczne pieniądze?

Donald Tusk raczej nie przejmuje się marnotrawstwem, choć pewnie się martwi, że z komisją jest podobnie jak z prokuraturą Adama Bodnara. Ani jedna, ani druga nie potrafi znaleźć prawdziwych podstaw do „rozliczenia" PiS. Pewną pociechą dla premiera może być fakt, że rzucane oskarżenia (a właściwie oszczerstwa) wywołują spory oddźwięk w najbardziej fanatycznej części elektoratu KO. Dzieje się tam bowiem rzecz następująca: wyborcy Koalicji Obywatelskiej są coraz bardziej sfrustrowani i szukają nowych uzasadnień do popierania ekipy Tuska. Ich ukochany premier nie ma żadnych osiągnięć na polu gospodarczo-społecznym. Sami padają ofiarą jego nieudolnej polityki. Nie ma żadnych rozliczeń z PiS, więc też czują, że oskarżanie prawicy o złodziejstwo i korupcję staje się coraz bardziej komiczne. Wręcz ośmiesza ich wobec całej reszty społeczeństwa.

Światło na to, co jest nowym źródłem motywacji dla żelaznego elektoratu PO, rzuca badanie IBRIS dla portalu wp.pl. Zostało w nim zadane pytanie, czego ankietowani najbardziej boją się w nadchodzącym roku. Wyborcy prawicy i Trzeciej Drogi są wystraszeni rosnącymi cenami i opłatami, szczególnie za energię. Natomiast wyborcy KO boją się „konfliktu międzynarodowego", czyli, mówiąc prościej, Rosji. Ten lęk plus propaganda Tuska oskarżającego prawicę o rzekomą prorosyjskość staje się nowym źródłem wiary w słuszność własnej sprawy. Tym silniejszym, że w ten sposób można odrzucić od siebie zarzuty o faktyczną współpracę z Rosją w czasie resetu. Świeżo nabyta antyrosyjskość połączona z fanatyczną nienawiścią wobec polskiej prawicy są emocjami, które premier musi podsycać. „Twórczość" gen. Stróżyka może być zatem głupia i nie mieć żadnych związków z faktami, ale i tak będzie przydatna jako metoda mobilizowania coraz bardziej zniechęconych zwolenników.

Nie będzie chleba, więc muszą być igrzyska. Nawet lepiej, że oparte na fałszu i oszczerstwach, bo to rozbudzi jeszcze silniejszą nienawiść.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Ten trzeci

Cztery osoby z innego świata mogą się okazać poważnymi kandydatami w wyborach prezydenckich. Dlaczego? Bo będą walczyły o pudło

STANISŁAW JANECKI

Kto jest ważniejszy w wyborach prezydenckich: finaliści, czyli kandydaci, którzy przechodzą do drugiej tury, czy też ten trzeci, o którego poparcie postara się dwóch z najlepszymi wynikami? Gdy ten trzeci jest znanym politykiem, nie wzbudza szczególnych emocji. Kiedy jest natomiast kimś z innego świata, zainteresowanie budzi nie tylko jego start, czyli to, skąd się wziął, oraz wynik, jaki uzyskał. Ważne jest też to, kogo poprze w drugiej turze, a także co się z nim dzieje po wyborach. Tu najdalej zaszedł Szymon Hołownia, który został marszałkiem Sejmu.

Zanim zaczął się prezydencki wyścig przed majowymi wyborami 2025 r., w roli tego trzeciego z innego świata obsadzano dziennikarkę Dorotę Gawryluk oraz aktorkę lalkarkę (choć już od 2019 r. polityk) Klaudię Jachirę. Obie raczej nie wystartują i nie będą tym trzecim (tą trzecią), co nie znaczy, że do gry nie wejdzie ktoś taki, zgłoszony do obecnych wyborów w ostatniej chwili. Dotychczas najpóźniej przed prezydencką elekcją pojawił się Szymon Hołownia (dziennikarz i telewizyjny showman). Było to 8 grudnia 2019 r., czyli pięć miesięcy

eprasa.pl cdcd0af3d8

przed terminem wyborów (wtedy jednak się nie odbyły z powodu pandemii).

W 2025 r. najpoważniejszym kandydatem na tego trzeciego jest na razie Krzysztof Stanowski, dziennikarz, twórca i właściciel Kanału Zero, który zapowiedział swój start na początku lutego 2024 r. I tak go przedstawił, jakby chodziło o happening opowiadający o wyborach od środka, czyli rozrywkę połączoną z promocją własnej firmy. „Chciałbym zobaczyć, jak to jest być kandydatem na prezydenta, a nie da się tego zrobić inaczej niż startując w wyborach na prezydenta, w związku z czym zamierzam to zrobić" – mówił Stanowski podczas wywiadu z prezydentem Andrzejem Dudą. Potem doprecyzował to na platformie X: „To, że chcę startować w wyborach na prezydenta Polski, nie oznacza, że chcę być prezydentem Polski. Oznacza jedynie, że chcę startować i z bliska obserwować ten cyrk, i wziąć udział w debatach".

Tyle że gdy się wejdzie w świat polityki, wszystko się może zmienić, także cel uczestnictwa w prezydenckiej rozgrywce. Tym bardziej że w 2025 r. tym trzecim wcale może nie być Krzysztof Stanowski, lecz ktoś z nim związany. Może też być to osoba ze świata dziennikarstwa i trochę show-biznesu (podobnie jak w 2020 r. Szymon Hołownia), o której zaczęto szeptać pod koniec 2024 r., choć nie ma ona nawet odrobiny determinacji Hołowni, żeby znaleźć się w polityce. Ale kto wie?

WIĘCEJ NIŻ ZERO

To muzyk Paweł Kukiz w 2015 r. uzyskał najlepszy dotychczas wynik w wyborach prezydenckich jako ten trzeci – 20,8 proc. (3,1 mln głosów). W 2020 r. Szymon Hołownia uzyskał w takiej roli poparcie 13,87 proc. (2,7 mln głosów). I tylko oni spełniali kryteria tego trzeciego z innego świata.

W 1990 r. trzeci był ówczesny premier Tadeusz Mazowiecki: 18,8 proc. (prawie 3 mln głosów). W 1995 r. trzecie miejsce zajął bardzo znany polityk Jacek Kuroń – 9,22 proc. (1,6 mln głosów), a w 2000 r. przewodniczący Solidarności Marian Krzaklewski – 15,57 (2,7 mln głosów). W 2005 r. trzecim był trybun ludowy i działacz związkowy Andrzej Lepper – 15,11 proc. (2,3 mln głosów), a w 2010 r. polityk i lider lewicy Grzegorz Napieralski – 13,68 proc. (2,3 mln głosów).

Spośród wskazywanych przed wyborami w 2025 r. trzecich sondażowo „sprawdzony" został tylko Krzysztof Stanowski. W lutym 2024 r. „Rzeczpospolita" (poprzez pracownię SW Research) zapytała Polaków, czy zagłosowaliby na Stanowskiego, gdyby wystartował w wyborach prezydenckich. „Tak" odpowiedziało 9,7 proc. badanych („nie" – 42,7 proc., a 32,6 proc. ankietowanych nie wiedziało wtedy, kim jest Krzysztof Stanowski).

W październiku 2024 r. na zlecenie „Rzeczpospolitej" pracownia SW Research zapytała Polaków, kto byłby najlepszym kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta, gdyby ta partia poparła kogoś, kto nie jest członkiem tego ugrupowania. Największe poparcie uzyskał Krzysztof Stanowski – 8,5 proc. W projekcie badawczym firmowanym przez prof. Przemysława Sadurę (UW) i Sławomira Sierakowskiego, którego wyniki ogłoszono w drugiej połowie października 2024 r., twórcę Kanału Zero jako „dobrego" kandydata na prezydenta wskazało 28 proc. badanych. Głównie dlatego, że w pierwszej turze miałby on „przyciągnąć do urn ludzi, którzy dotąd nie myśleli o tym, aby iść na wybory" i ten „elektorat przypadłby raczej kandydatowi PiS".

Atutem Stanowskiego jest to, że osiągnął sukces rynkowy oraz dotyczący popularności i społecznego zaufania (przede wszystkim przez niebywałą skuteczność w doraźnych akcjach charytatywnych). Jest też postrzegany jako bezkompromisowy tropiciel wszelkich szaleństw i patologii władzy. A przy tym człowiek spełniony rodzinnie i materialnie.

ZA MUNDUREM…

Choć z jego strony nie było żadnych deklaracji co do chęci startu w wyborach prezydenckich, tym trzecim może być generał w stanie spoczynku Rajmund Andrzejczak, który w Kanale Zero prowadzi (razem ze Sławomirem Dębskim) program „Ground Zero" (o geopolityce i wojsku). W latach 2018–2022 gen. Andrzejczak był szefem Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Ukończył Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Pancernych im. Stefana Czarnieckiego w Poznaniu, czeską Akademię Obrony, Akademię Obrony Narodowej w Warszawie oraz Królewską Akademię Obrony w Londynie. Dowodził m.in. 12. Szczecińską Dywizją Zmechanizowaną, służył w polskich kontyngentach wojskowych w Iraku i Afganistanie. Ma jednak „plamę" na generalskim

REKLAMA

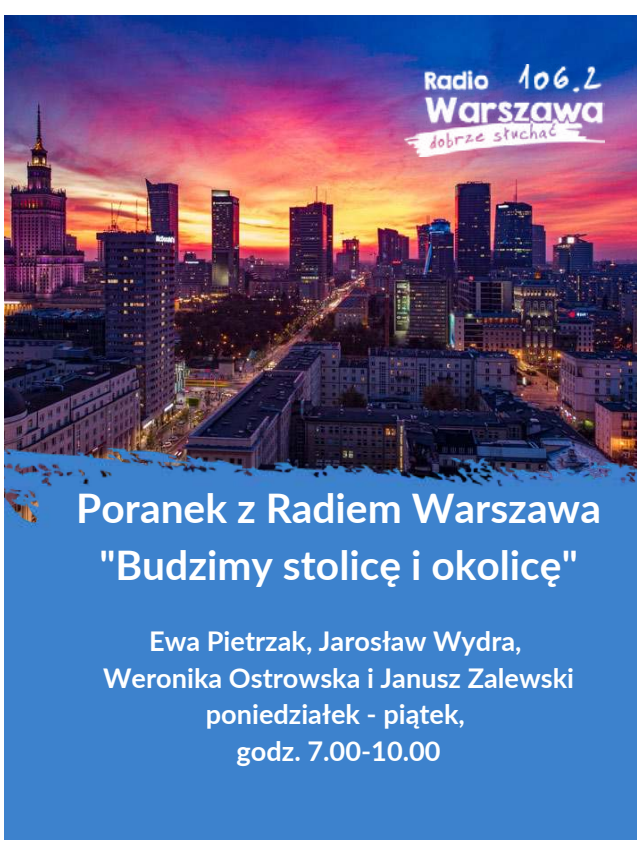

3/0125/F

eprasa.pl cdcd0af3d8

honorze: demonstracyjnie odszedł ze służby tydzień przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r., co jednoznacznie uznano za akt polityczny, w dodatku skierowany przeciwko Prawu i Sprawiedliwości.

W Polsce Andrzejczak miałby powtórzyć to, co w Czechach zrobił gen. Petr Pavel, obecny prezydent tego kraju. Wygrał on wybory, mimo że w latach 1985–1989 należał do Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Po wyjściu Czechosłowacji z komunizmu Pavel studiował na brytyjskich uczelniach wojskowych, uczestniczył w misji w byłej Jugosławii. W 2012 r. został szefem Sztabu Generalnego Czeskich Sił Zbrojnych, a w czerwcu 2015 r. jako pierwszy żołnierz z kraju byłego Układu Warszawskiego objął stanowisko szefa Komitetu Wojskowego NATO. Podczas kampanii wyborczej gen. Pavel podkreślał, że wprowadzi „rządy spokoju i porządku". W wyborach startował jako kandydat niezależny, deklarując twarde stanowisko wobec Rosji.

Gen. Andrzejczak ma podobne poglądy. Nie wiadomo, czy tak jak Pavel jest zwolennikiem wprowadzenia euro, małżeństw jednopłciowych, aborcji (jednak ograniczonej do przyczyn medycznych lub w sytuacji gwałtu). No i Petr Pavel jest zdeklarowanym ateistą. Mimo różnic powtórzenie przez gen. Andrzejczaka drogi gen. Pavla jest kuszące i suflowane mu coraz intensywniej.

POWAŻNI, NIEPOWAŻNI, TAJNI

Jako ten trzeci rozważany jest też prof. Michał Kleiber (rocznik 1946), matematyk i informatyk, specjalista w zakresie zastosowań technik komputerowych w badaniach naukowych, technice i medycynie, prezes Polskiej Akademii Nauk w latach 2007–2015. Był ministrem nauki w rządach Leszka Millera i Marka Belki, a także doradcą prezydenta Lecha Kaczyńskiego (w latach 2006–2010) oraz jego przyjacielem. Od 2017 r. jest redaktorem naczelnym miesięcznika opinii „Wszystko Co Najważniejsze", a od 2020 r. przewodniczącym Polskiego Komitetu ds. UNESCO.

Prof. Kleiber to nie tylko światowiec (wykładał na uczelniach w Niemczech, USA i Japonii, był wiceprezesem Europejskiej Akademii Nauk i Sztuk, członkiem Rady Gubernatorów Centrum Badawczego UE, Europejskiej Rady Nauki w Brukseli, Zarządu Europejskiej Fundacji Nauki), lecz także były tenisista.

Przede wszystkim jest uosobieniem koncyliacyjności, zgody i współpracy ponad podziałami. Swego rodzaju arbitrem politycznej elegancji. Mógłby liczyć zarówno na poparcie prawicy, jak i lewicy oraz przede wszystkim centrum.

Ambicje zostania tym trzecim, choć bez realnych szans, ma dziennikarz i lewicowy działacz związkowy Piotr Szumlewicz, z wykształcenia socjolog, autor raportów i opracowań dla wielu organizacji pozarządowych. W grudniu 2024 r. zadeklarował on chęć startu w wyborach prezydenckich w 2025 r., choć jego dokonania w na tym polu nie są budujące: w wyborach parlamentarnych w 2014 r. dostał symboliczne 666 głosów.

Tym trzecim chce być też Romuald Starosielec, prezes Ruchu Naprawy Polski, w młodości studiujący w Wyższej Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie. Próbował już swoich sił w wyborach prezydenckich w 2020 r., ale zebrał za mało podpisów (80 tys.). W 2024 r. udało mu się zarejestrować w roli kandydata na prezydenta Warszawy, dzięki czemu zaistniał w debatach pretendentów, ale w głosowaniu miał najgorszy wynik – 0,78 proc. (6019 głosów).

Kryteria tego trzeciego z innego świata spełnia też ktoś, o kim wcześniej w ogóle się nie mówiło w kontekście kandydowania na prezydenta. Podobnie jak gen. Andrzejczak, jest związany z Kanałem Zero Krzysztofa Stanowskiego. Nigdy nie zgłosił aspiracji prezydenckich, ale gdyby to zrobił, znaleźliby się sponsorzy i pomocnicy. Na razie jest to kandydat szeptany. Bo dotychczas dziennikarz i pisarz Marcin Meller nie kojarzył się z kandydowaniem na jakiekolwiek polityczne stanowisko. Ale „warszawka" wie swoje i szepce o nim. Politykiem został jego ojciec – prof. historii Stefan Meller, kilkumiesięczny minister spraw zagranicznych w rządzie Kazimierza Marcinkiewicza, wcześniej dyplomata (ambasador we Francji i Rosji, dyrektor i wiceminister w MSZ).

> Kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi najpoważniejszymi kandydatami na tego trzeciego są prof. Michał Kleiber, Krzysztof Stanowski i związani z jego firmą gen. Rajmund Andrzejczak oraz dziennikarz Marcin Meller

Meller jr posiada tę zaletę, że ma „dobrą" przeszłość z czasów podziemnego Niezależnego Zrzeszenia Studentów. I może liczyć na wsparcie mediów, w których pracował: przez ponad 20 lat w TVN, a także w „Polityce", „Newsweeku", „Wprost", „Playboyu", Wirtualnej Polsce, Roxy FM, Esce Rock. W Kanale Zero prowadzi program „Kolacja Mellera".

Na razie ta kandydatura wydaje się niedorzeczna, także dla samego „szeptanego" kandydata, ale jeśli ktoś, kto może zorganizować i opłacić kampanię, się uprze, niedorzeczność może zniknąć. Być może przeszkodą byłby deklarowany ateizm, ale to nie przeszkodziło np. Aleksandrowi Kwaśniewskiemu – faktycznie ateiście, deklaratywnie agnostykowi.

Kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi najpoważniejszymi kandydatami na tego trzeciego są prof. Michał Kleiber, Krzysztof Stanowski i związani z jego firmą gen. Rajmund Andrzejczak oraz dziennikarz Marcin Meller (na razie tak tajny, że aż niedorzeczny). To, że trzech pracuje w tym samym miejscu, może sprawić, że ostatecznie wystartuje tylko jeden z nich. W każdym razie ktokolwiek by to nie był, nie powinno się go lekceważyć.

Autopromocja

eprasa.pl cdcd0af3d8

Nowy portal informacyjny telewizji

wPolsce 24

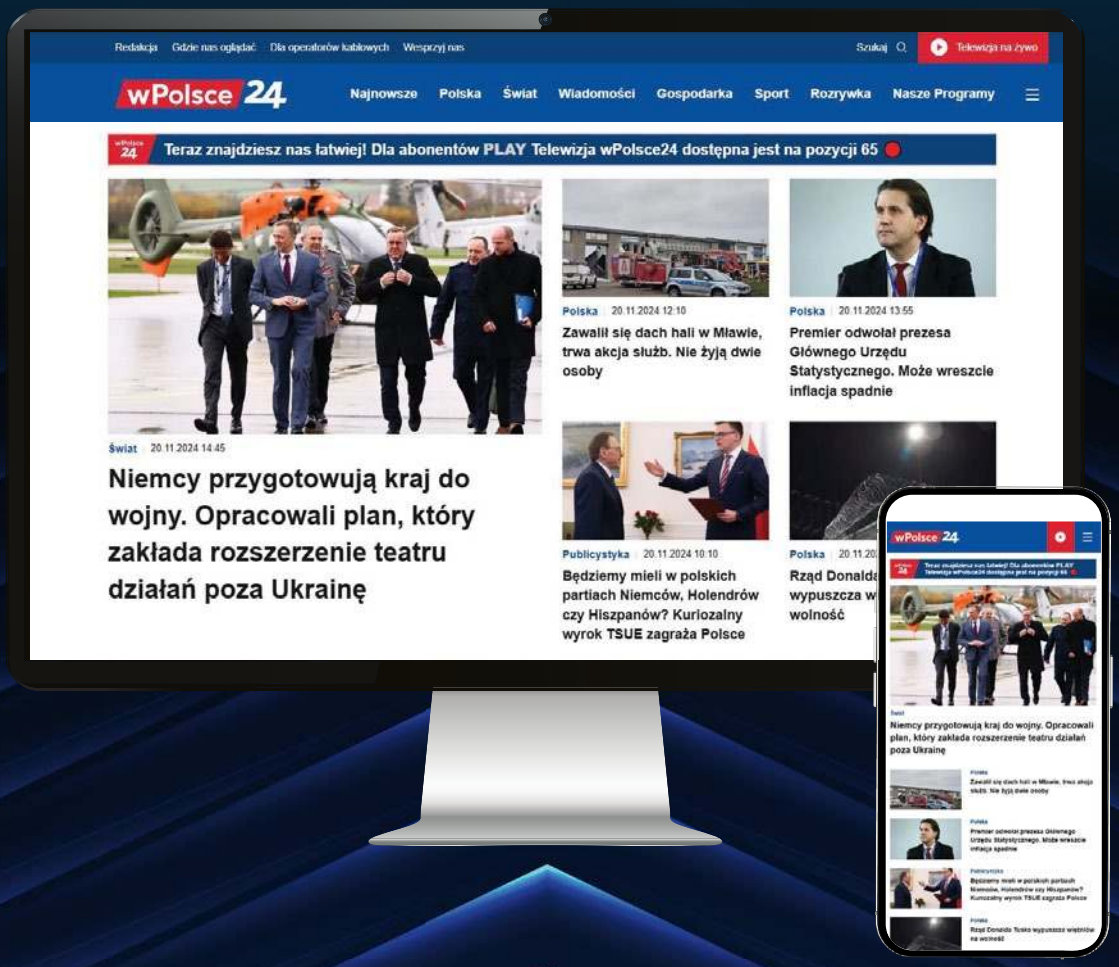

Najnowsze wiadomości z kraju i ze świata >> gospodarka >> sport >> rozrywka >> publicystyka >> **treści video**

www.wpolsce24.tv

eprasa.pl cdcd0af3d8

Niesiołowski na ratunek

Władze PO chyba nie są zadowolone z dotychczasowego przebiegu kampanii, skoro media sięgają po taką personę. Oprócz Janusza Palikota był gorliwym wykonawcą przemysłu pogardy stworzonego przez Donalda Tuska. Gdy tylko ten człowiek pojawia się w mediach, wiadomo, że poleją się fekalia

DOROTA ŁOSIEWICZ

Nie inaczej było tym razem. W programie „Sto pytań do" w TVP Info Stefan Niesiołowski miotał obelgami na wszystkie strony. Na Kościele nie zostawił suchej nitki.

„Nie chodzę do kościoła, to nie jest tajemnica. Dla mnie Kościół w Polsce odgrywa rolę bardzo negatywną. Jest instytucją szkodliwą, skorumpowaną, chciwą i obłudną. Nie mam z nią nic wspólnego, natomiast wierzę w Boga" – zadeklarował ekspolityk, który był posłem na Sejm od 1989 r. W 2019 r. nie wystartował w wyborach parlamentarnych i ogłosił, że kończy aktywność polityczną. O tym, dlaczego, już za chwilę. Jednak co jakiś czas pojawia się w mediach, szczególnie wtedy, gdy Platforma Obywatelska potrzebuje mocnego szczucia przeciw politycznym oponentom.

„Jeżeli się tej skorumpowanej szajki nie postawi przed sądem, to oni wrócą do władzy. Druga rzecz, elementarna, to odpowiadać na społeczne problemy, nie oddać ich nacjonalistom. Są wielkie problemy – mieszkaniowe, zdrowotne, demograficzne – i trzeba je rozwiązywać, rząd jest od tego [...]. Trzeba widzieć niebezpieczeństwo. PiS to nie jest normalna konkurencja polityczna, to wrogowie demokracji i Polski" – aż się zagotował były polityk. Oczywiście nie odpuścił sobie ataku na parę prezydencką. „Jest taki dowcip, który oddaje tę prezydenturę: Wałęsa pokazał, że każdy może być prezydentem, a Duda, że jednak nie każdy. To jest coś tak nędznego ten Duda. Już pomijam tę damę milczącą, bo aż się prosi o pewne porównania zoologiczne, ale daruję" – sączył swój jad Niesiołowski.

„SYPAK"

Trudno się jednak oprzeć wrażeniu, że prawdziwie nędzną postacią jest sam autor tych słów. Może dlatego, że wsypał własną narzeczoną? Wiele lat temu sprawę opisywała m.in. „Rzeczpospolita", portal Niezależna.pl i inne media.

Stefan Niesiołowski współpracował z funkcjonariuszami prowadzącymi postępowanie w sprawie nielegalnej organizacji „Ruch". Z dokumentów wynika, że jako jeden z jej przywódców zaczął udzielać informacji już podczas pierwszego śledztwa. Wówczas Służba Bezpieczeństwa miała jeszcze bardzo małą wiedzę na temat „Ruchu". W kolejnych zeznaniach Niesiołowski ujawnił, kto się krył za poszczególnymi pseudonimami. 9 września 1970 r. zobowiązał się udzielić wszystkich informacji w zamian za nadzwyczajne złagodzenie kary. Ale chociaż powiedział wszystko, SB nie wywiązała się z umowy i Niesiołowski dostał wysoki wyrok – siedem lat pozbawienia wolności.

Z dokumentów jasno wynika, że Niesiołowski obciążył także swoją ówczesną narzeczoną Elżbietę Łukasiewicz-Nagrodzką, dziś znaną w przestrzeni publicznej jako Elżbieta Królikowska-Avis. „Mówił wszystko, również o mnie, iż rzekomo chciałam wysadzić muzeum Lenina. I przez ostatnich 37 lat nie przyznał się do tego, a teraz nas wszystkich poucza" – komentowała kiedyś.

Fot. Screen TVP Info

eprasa.pl cdcd0af3d8

Ale i to nie wszystko. W 1992 r. były polityk stwierdził, że przez swoją narzeczoną spędził siedem lat w więzieniu, po czym w wyniku ugody musiał przeprosić za te słowa. „Oświadczam, że cofam słowa wypowiedziane w dniu 1 stycznia 1992 r. w Muzeum Kinematografii w Łodzi m.in. wobec małż. Teresy i Bogusława Kobierskich, a dotyczące p. Elżbiety Królikowskiej-Nagrodzkiej, którą przepraszam. Mając powyższe na uwadze zobowiązuję się równocześnie do usunięcia z mojej książki pt. »Wysoki brzeg« fragmentów odnoszących się do »Agnieszki«, które mogą być kojarzone z osobą p. Elżbiety Królikowskiej, a nadto w przyszłości powstrzymywać się od wypowiedzi na temat p. Królikowskiej w kontekście wspomnianej sprawy" – napisał w oświadczeniu.

„LUBIEŻNY EROTOMAN"

Idźmy dalej tropem „nędzy" byłego polityka. „Lubieżny erotoman" – tak o Niesiołowskim pisała w „Pamiętnikach Anastazji P. Erotyczne immunitety" ich autorka, czyli Marzena Domaros, która pod pseudonimem Anastazja Potocka trafiła do Sejmu w 1992 r. Miała dostęp do posłów, ponieważ udawała korespondentkę francuskiego dziennika „Le Figaro". Mówiła, że jest hrabiną i że przyjechała z Paryża. Nic z tego nie było prawdą. Portal naTemat.pl tak przypomina tę historię: „Jeśli wierzyć autorce, poseł się jej nie spodobał. Ona natomiast rozgrzewała jego wyobraźnię. Najczęściej spotykali się w parku, rozmawiali na ławce, ale, jak czytamy w książce, »każdy temat kończył się na seksie«". „Nie pociągał mnie w najmniejszym stopniu. Nie lubię facetów niechlujnych, a Stefan do nich należy. Ubiera się byle jak, często ubranie jest wymięte, obszarpane, a nawet brudne" – pisała Anastazja P.

Książka wywołała trzęsienie ziemi. Choć opisane w niej erotyczne ekscesy dotyczyły także m.in. Leszka Millera i Aleksandra Kwaśniewskiego, tylko Stefan Niesiołowski wytoczył Domaros proces, który wygrał. Media chętnie przypomniały historię Anastazji P., gdy światło dzienne ujrzał inny przydomek Niesiołowskiego: „Jurny Stefan". A wszystko przez seksaferę.

Niesiołowski zniknął z życia politycznego w 2019 r., po tym, gdy Prokuratura Krajowa wskazała, że dwóch łódzkich biznesmenów, Wojciech K. oraz Bogdan W., finansowało spotkania polityka z prostytutkami. W zamian mężczyźni mieli otrzymywać pomoc w załatwianiu kontraktów na dostawy m.in. węgla do spółki Azoty. Portal Wirtualna Polska dotarł do zapisu stenogramów podsłuchanych przez CBA rozmów prowadzonych przez łódzkich przedsiębiorców, którzy mieli spełniać kaprysy Niesiołowskiego. Wojciech K. i Bogdan W. rozmawiali m.in. o kobietach dla polityka, zarwanym łóżku i presji, jaką wywierał na nich poseł, by ci organizowali mu czas wolny w towarzystwie pań.

> Polityczny emeryt Stefan Niesiołowski pojawia się w mediach szczególnie wtedy, gdy PO potrzebuje mocnego szczucia przeciw politycznym oponentom

„Jaki on jurny jest". „Przesadza z tym, terroryzuje mnie tym, ku...a" – mówi jeden z przedsiębiorców. „Nie wiem, czy ja coś załatwię na jutro, bo nie mam co załatwić, mogę tylko tę Malwinę" – dodaje drugi. „Bez przesady, ja pierd...ę. On to ku...a by non stop to robił, jakby mógł" – irytuje się biznesmen. „Ale jaki on jurny jest, nie?" – pyta biznesmen. „Daj spokój, to zboczenie jest, a nie jurność [...]. Wiesz, on to naprawdę przesadza, no jeszcze oprócz tego on mnie pyta, czy ty możesz albo coś takiego, on żąda wręcz" – mówi Bogdan W. W innej z podsłuchanych rozmów pojawia się kwestia zarwanego łóżka. Wojciech K. mówi Bogdanowi W., by przekazał „jurnemu posłowi", że łóżko nie zostało naprawione i wciąż jest zarwane. „Na kanapę niech się walnie" – mówi jeden z rozmówców.

Jednak 20 czerwca 2022 r. Sąd Rejonowy dla Łodzi-Widzewa uniewinnił Niesiołowskiego i obydwu biznesmenów. Uzasadnienie wyroku opisała „Gazeta Polska". Zdaniem sędzi, która potwierdziła, że biznesmeni finansowali prostytutki dla Niesiołowskiego w zamian za korzyści płynące z kontraktów ze spółką, czynności te nie były jednak korupcją. Jej zdaniem miały to być „przyjacielskie usługi wyświadczane sobie wzajemnie przez znającą się od lat grupę osób". Sędzia stwierdziła też, że wyświadczane przez polityka „usługi" nie wiązały się z wykonywanym przez niego „statusem Posła na Sejm RP". Prokuratura Krajowa złożyła apelację od wyroku uniewinniającego Niesiołowskiego, jednak sąd jej nie uwzględnił.

Sąd Okręgowy w Łodzi utrzymał w mocy wyrok Sądu Rejonowego dla Łodzi-Widzewa uniewinniający byłego posła.

PRZEMYSŁ POGARDY

Na koniec przypomnijmy jeszcze, co o udziale Stefana Niesiołowskiego w przemyśle pogardy wycelowanym w Lecha Kaczyńskiego pisała córka śp. prezydenta w książce „Moi Rodzice".

„Kampania nienawiści, złośliwości i oszczerstw, która ruszyła krótko po zaprzysiężeniu, była dla mnie sporym zaskoczeniem. Ojciec zaczął być systematycznie niszczony. W styczniu przed katastrofą Janusz Palikot przyznał: »Trwale uszkodziliśmy liderów PiS-u i całą formację, która jest już niezdolna do zwycięstwa. Nikogo już nie uwiodą, bo są fundamentalnie ośmieszeni«. Chodziło o całkowite odarcie mojego ojca z godności, żeby w ten sposób osłabić jego szanse na reelekcję, czy też może szerzej: szanse na istnienie w polskiej polityce. Platforma Obywatelska wyznaczyła Januszowi Palikotowi specjalną rolę polegającą na niszczeniu Lecha Kaczyńskiego. Do Palikota dołączył jeszcze Stefan Niesiołowski" – wspominała Marta Kaczyńska.

Gdy słyszę od Stefana Niesiołowskiego, że ktoś jest „nędzny", myślę, że były polityk powinien spojrzeć w lustro. Wtedy zobaczy prawdziwą nędzę.

eprasa.pl cdcd0af3d8

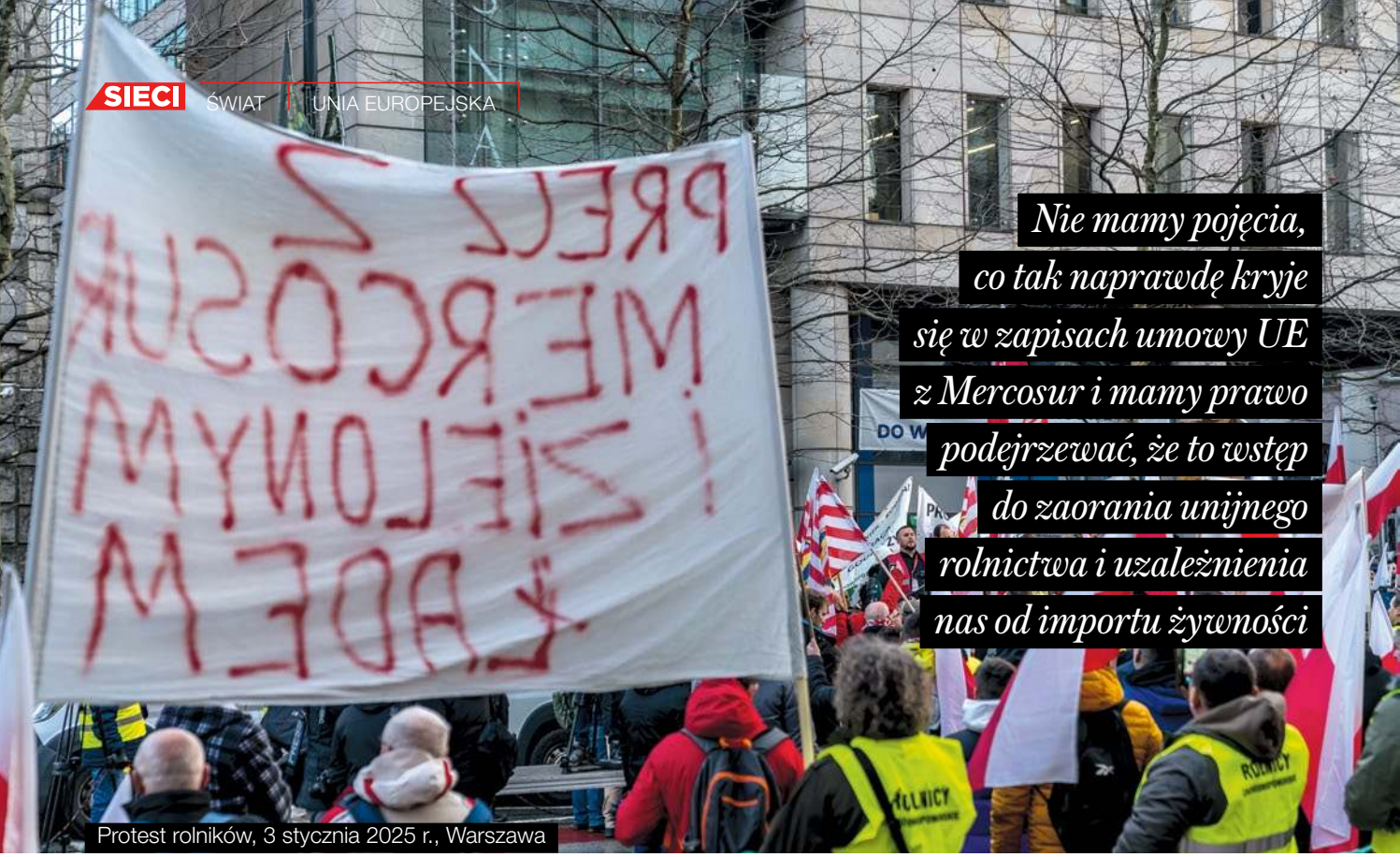

Protest rolników, 3 stycznia 2025 r., Warszawa

Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę kryje się w zapisach umowy UE z Mercosur i mamy prawo podejrzewać, że to wstęp do zaorania unijnego rolnictwa i uzależnienia nas od importu żywności

Umowa widmo czy umowa sekret?

Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę kryje się w zapisach umowy UE z Mercosur i mamy prawo podejrzewać, że to wstęp do zaorania unijnego rolnictwa i uzależnienia nas od importu żywności

DARIUSZ MATUSZAK

To jedna z najbardziej przenoszonych ciąż w historii Unii Europejskiej. Rozmowy o podpisaniu przez nią umowy z państwami Ameryki Południowej zrzeszonymi w Mercosur rozpoczęły się pięć lat przed przystąpieniem Polski do UE. 6 grudnia 2024 r. po wielkich bólach Ursula von der Leyen złożyła w Montevideo podpis oznaczający, że zakończyły się negocjacje z Mercado Común del Sur (Wspólny Rynek Południa) – związkiem gospodarczym państw Ameryki Południowej obejmującym Argentynę, Brazylię, Paragwaj i Urugwaj. Mają one 270 mln mieszkańców i tworzą 67 proc. PKB kontynentu. Kilka krajów, jak Boliwia, Chile, Ekwador i Gujana, Kolumbia, Peru i Surinam, ma status obserwatorów bez prawa głosu.

Niemiecka szefowa Komisji Europejskiej napisała w oświadczeniu: „Mamy szansę stworzyć rynek 700 mln ludzi. Największe partnerstwo handlowe i inwestycyjne, jakie kiedykolwiek widział świat. Oba regiony na tym skorzystają". To żałosne i pompatyczne słowa, bo na całe szczęście bardzo na wyrost. Taka propaganda.

W teorii niby wszystko zostało ustalone, ale pozostał jeszcze taki drobiazg, jak zgoda państw Unii. Tym jej władcy zdają się najmniej przejmować. Działają metodą faktów dokonanych, jakby wszystko było przesądzone. Przeciwko umowie głośno protestuje Francja, wielkie wątpliwości mają Włosi. Zwolennikami są Niemcy i Hiszpanie. Co do Polski – premier Donald Tusk zapewnia, że jesteśmy na nie, ale jego słowa nie mają żadnego znaczenia.

UMOWA NA WACIKI

Istotą samej umowy jest niby zmniejszenie czy zniesienie ceł na wiele produktów, ale tak naprawdę niewiele wiemy, bo Komisja Europejska utajniła dokumenty, o czym alarmują nie tylko polscy europosłowie, lecz także francuscy, jak np. Manon Aubry. UE zmniejsza bądź znosi cła na niektóre produkty

Fot. Lidmyla Skwarczyńska

eprasa.pl cdcd0af3d8

Mercosur, jak wołowina, miód cukier, ryż, drób, ale dotyczy to niewielkich kontyngentów. Tak małych, że dla europejskich konsumentów i rolników mogłyby się wydawać bez większego znaczenia. Uzgodnione 99 tys. t wołowiny rocznie to ok. 1,5 proc. tego, co produkuje Unia, a 180 tys. t drobiu to 1,5 proc. tego, co zjadają Europejczycy.

Do UE będą mogły trafić tylko towary, które podlegają surowym unijnym normom. Teoretycznie powinniśmy więc być spokojni, że nie będziemy truci produkowanym przez należącą do niemieckiego koncernu Bayer firmę Monsanto glifosatem, którym w Ameryce Południowej obficie traktuje się uprawy. W zamian za te łaski Mercosur znosi cła na unijne produkty, takie jak oliwa, piwo, wino i czekoladę. Wszystko to jednak śmieszne ilości, bo w 2022 r. cały eksport oliwy z Unii do Mercosur miał wartość ledwie 485 mln euro, wina – 221 mln, piwa i napojów – 388 mln, a czekolady – 94 mln euro.

Ponadto Mercosur znosi cła na samochody, maszyny, chemię, farmaceutyki itp. I znów nie ma w tym nic oszałamiającego, bo eksporterzy tych towarów zaoszczędzą ledwie 4 mld euro rocznie. Tylko w 2023 r. przychody grupy Volkswagena wyniosły 323 mld euro, a zysk 23 mld euro, więc 4 mld dla wszystkich eksporterów z Unii nie mają większego znaczenia.

Dzięki umowie UE będzie bezcłowo kupować niektóre surowce strategiczne, np. lit i mangan, zaś Mercosur złom do energii odnawialnej – turbiny wiatraków, panele fotowoltaiczne itp. – wszystko, czego Niemcy czy Hiszpanie nie mogą już sprzedać w Europie. Dodatkowo Ursula von der Leyen deklaruje, że w ciągu jakiegoś czasu Unia zainwestuje w krajach Mercosur 45 mld euro. Tyle co na waciki. Dla porównania – wartość zagranicznych inwestycji w Polsce w „wojennym" 2022 r. wyniosła blisko 30 mld euro.

Te skromne liczby sprawiają, że trudno uznać, by umowa stanowiła większe zagrożenie dla europejskich rolników i konsumentów. Skąd więc wielkie obawy? Widmo tego dokumentu wywołuje protesty we Francji i w Polsce. Przeciw umowie stanowczo wypowiedział się prezydent Emmanuel Macron, a Alexandre Bompard, szef sieci supermarketów Carrefour, zapowiedział, że jego sklepy nie będą sprzedawały wołowiny z Mercosur. Problem polega na tym, że wszystko sprowadza się do szczegółów, a te są ukryte. KE przedstawiła jedynie infantylne prezentacje o umowie z tak żałosnymi dygresjami, jak historyjka o fińskim browarze Mallaskoski. Na stronach Komisji możemy przeczytać, jak to szef browaru opowiada, że Finlandię i Argentynę połączy teraz nie tylko miłość do tanga i muzyki heavy metalowej, lecz także do piwa. Klękajcie narody, gigant się rodzi – browar zatrudnia 18 osób i wypuszcza na świat 1 mln flaszek rocznie. Tyle, ile dziennie schodzi w Warszawie.

LOBBYŚCI

Wspominamy tę rzewną opowiastkę, bo to ilustracja tego, jak władcy UE traktują jej obywateli. Jak poddanych, przygłupów, dzieci, które cieszą się z książeczki z kolorowymi obrazkami pokazującymi szczęśliwą unijną krowę i rolnika na tle zielonych i złocących się pól. Nie mamy pojęcia, co tak naprawdę kryje się w zapisach i mamy prawo podejrzewać, że to wstęp do zaorania unijnego rolnictwa oraz uzależnienia nas od importu żywności. Być może kwoty na mięso czy zboża są skromne, ale co roku będą zwiększane poprzez urzędnicze decyzje.

Wszystkie doświadczenia z działalności KE pod dowództwem niemieckiej przewodniczącej wskazują, że nawet najbardziej niewinne zapisy prowadzą do narzucania porządków, na które nie zgadzają się obywatele Unii, do bezprawnego poszerzania władztwa urzędników. Nie ma wątpliwości, że farmerzy i państwa członkowskie prędzej niż później stracą kontrolę nad towarami zalewającymi europejski rynek. Tak jak nie kontrolują regulacji Zielonego Ładu, paktu imigracyjnego czy zmian w traktatach europejskich. Unia pozbywa się przemysłu, nie ma własnych paliw i właśnie robi wielki krok, by nie mieć własnej żywności. Nawet się nie obejrzeliśmy, a okazało się, że Bruksela decyduje o tym, jak możemy postępować z naszymi lasami oraz co, gdzie i ile możemy uprawiać.

Umowa dotyczy precyzyjnie wskazanych towarów i usług, tak jakby spisano ją na potrzeby konkretnych branż, a nawet przedsiębiorstw. Kiedy piszę, że chodzi o to, by Mercosur kupił niemiecki złom do energii odnawialnej, nawiązuję do preferencji dla handlu tymi urządzeniami i konkretnego zobowiązania, że UE podaruje na nie krajom Ameryki Południowej 1,8 mld euro. To jak dotacja dla jednej branży i np. niemieckiego Siemensa. Albo zapis o cłach na czekoladę. Całkiem przypadkiem akurat Niemcy są jej największym producentem na świecie. Co innego ziarno kakaowca, a co innego czekolada. Protekcjonistyczna polityka Unii od dekad utrzymuje w nędzy kraje Trzeciego Świata będące dostarczycielami surowców. To jeszcze bardziej głębokie zaplecze niż unijne kraje drugiego gatunku, takie jak Polska czy Słowacja. Niemcy, owszem, kupią od Ghany ziarno kakaowca, ale gdyby chciała sprzedać produkt – czekoladę, to zniszczą ten handel cłami i normami. Zniesienie w Mercosur ceł akurat na ten wyrób stanowi jeden z wielu przykładów na to, że umowę mogli pisać lobbyści pod określone towary i zamówienia. Tak jest w przypadku konkretnych surowców, takich jak lit, mangan czy krzem, potrzebnych do produkcji samochodów elektrycznych i urządzeń do produkcji energii odnawialnej.

Jednym z elementów umowy jest unijna dyrektywa o wylesianiu – EUDR. Każdy eksporter z Mercosur będzie musiał udowodnić, że jego towar nie spowodował wycięcia lasów, np. pod pastwiska, uprawy soi, oleju palmowego itd. To także służy wielkim korporacjom, bo żaden drobny plantator kawy nie będzie w stanie bawić się w geolokalizacje, robienie satelitarnych zdjęć i map dla unijnych urzędników. Być może zaoranie europejskiego rolnictwa oznacza tylko zagładę małych gospodarstw, a wielkie konsorcja zrekompensują sobie wszystko w Ameryce Południowej tak jak na Ukrainie. Być może umowa Mercosur to kontrakt nie dla państw UE, tylko dla konkretnych koncernów.

WŁADCY UNII SKŁADAJĄ PODPIS

Trwająca 25 lat historia tej umowy pokazuje patologię unijnego ustroju. Już w 2019 r. ówczesny szef KE Jean-Claude Juncker na szczycie z Japonią ogłosił wielki sukces. Juncker chciał olśnić Japończyków unijnym blaskiem i oznajmił w Osace: „Stoimy przed Państwem

eprasa.pl cdcd0af3d8

jako dumni współwłaściciele umowy handlowej pomiędzy Unią Europejską a Mercosurem. Lubię używać słów z ostrożnością, ale to naprawdę historyczny moment". Wszystko to była blaga, bo okazało się, że nie ma zgody państw unijnych. Nawet Polska się sprzeciwiła. Wtedy jeszcze miała coś do powiedzenia.

Rok temu na szczycie UE–Ameryka Południowa umowę miała podpisać von der Leyen i lecieć z nią prosto do Pekinu, by olśnić Chińczyków jak Juncker Japończyków. Nie podpisała, bo nie zgodziły się wtedy kraje Mercosur. Jako pretekst podano to, że w Argentynie został wybrany nieprawidłowy prezydent Javier Milei. Oczywiście powody były zupełnie inne. Unia narzuca swoją biurokrację, o czym mówiła na konferencji brazylijska minister handlu zagranicznego Tatiana Prazeres. Zarzuciła, że w swej arogancji UE zawsze wciska do takich umów ideologię – zrównoważony rozwój uwzględniający klimatyzm i chce mówić Brazylijczykom, jak mają się gospodarować w swoich lasach. „To idzie tak daleko [unijne ingerencje i wymagania], że aż kwestionuje się naszą władzę i ich zdolność do własnej oceny sytuacji. Dla mnie oznacza to utratę suwerenności i jest niedopuszczalne" – mówił dla argentyńskiej gazety „Ámbito Financiero" prezydent Paragwaju Santiago Peña. Mało tego, kraje Ameryki Południowej oznajmiły, że jeśli Unia chce, by dbały o klimat, to niech im za to płaci. Zażądały także odszkodowania, że z powodu globalnego ocieplenia jest im za gorąco. To niedorzeczne i bardzo sensowne. Skoro UE spalaniem CO_2, czy czego tam, zepsuła klimat, to niech teraz płaci odszkodowania. Rok później Mercosur nie miał już zastrzeżeń. Pojawił się tylko byle jaki zapis, że podtrzymuje swe zobowiązania wynikające z paryskiego porozumienia klimatycznego.

Jak szyderstwo, groteska pokazująca patologię ustroju UE brzmi komunikat Brukseli: „Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen i jej odpowiednicy z czterech krajów Mercosuru (prezydent Brazylii Lula da Silva, prezydent Argentyny Milei, prezydent Paragwaju Peña i prezydent Urugwaju Lacalle Pou) sfinalizowali negocjacje w sprawie przełomowej umowy o partnerstwie między UE a Mercosur". Jakim to odpowiednikiem dla wybranych demokratycznie przywódców suwerennych państw ma być unijna niewybierana urzędniczka? Bruksela układa to tak, jak by była zwierzchnikiem, władcą państw Unii. Ostatecznie chodzi nie tylko o popis arogancji i przekonanie o swym władztwie, lecz także o bardzo praktyczne rozwiązanie. Po stronie Mercosur umowa jest podpisana oddzielnie przez każde państwo i zawiera różne zapisy dla każdego, uwzględniające jego specyfikę. Np. Brazylia i Paragwaj mają różne kwoty na mięso. Tymczasem władcy Unii nie zapytają przecież Polski albo Słowacji, czy mają jakieś specjalne wymagania. Prezydent Lula da Silva ma też pochodzącą z wyborów zgodę swego narodu. Von der Leyen nie ma formalnej aprobaty żadnej europejskiej nacji (wiadomo, że tylko ustny rozkaz Berlina), ale jedzie z podwładnymi urzędnikami, takimi jak estońska wysoka przedstawicielka ds. zagranicznych Kaja Kallas oraz słowacki komisarz ds. handlu, przejrzystości, tego i owego Maroš Šefčovič i podpisuje papiery. A teraz państwa UE niech się martwią, co mają z tym zrobić. Kraje Mercosur nie mają nad sobą króla urzędnika, komisarzy i biur politycznych, więc prezydent Paragwaju może podpisać albo nie. A Słowacja czy Polska mają widocznie unijną zwierzchność i nic do gadania.

Wszystkie doświadczenia z działalności KE pod dowództwem niemieckiej przewodniczącej wskazują, że nawet najbardziej niewinne zapisy prowadzą do narzucania porządków, na które nie zgadzają się obywatele Unii

Najwyżej premier Tusk coś tam pomamrocze. Jego słowa sprzeciwu nie mają wartości. Poczeka na wybory i zgodzi się na wszystko. A Trzaskowski, jeśli zostanie prezydentem, powie, że głosowania Rady Europejskiej i unijna polityka to nie jego kompetencje. Kosiniak-Kamysz skończy na pogróżkach, a potem będzie jeszcze bardziej spłakany. PO i PSL to członkowie Europejskiej Partii Ludowej, która na swych stronach dumnie obwieszcza: „Zawarcie umowy handlowej UE-Mercosur stanowi historyczny kamień milowy w umacnianiu więzi między dwoma regionami, które podzielają wartości i ambicje... To historyczny moment dla Europy. Właśnie zakończyliśmy negocjacje z Mercosur, tworząc największą strefę wolnego handlu na świecie. Musimy teraz szybko ratyfikować umowę handlową UE-Mercosur". PO i PSL ani pisną.

O tym, jak można wierzyć zapowiedziom gabinetu Tuska, świadczy porozumienie z Cyprem i Danią dotyczące prezydencji, którą po nas przejmą. 11 grudnia, a więc ledwie pięć dni po zakończeniu negocjacji z Mercosur, polski rząd podpisał zobowiązanie o wprowadzaniu paktu migracyjnego i Zielonego Ładu. „Trójka ta [Polska, Cypr Dania] uznaje potrzebę zajęcia się kwestią nielegalnej migracji do UE. Będzie dążyć do jak najlepszego wdrożenia paktu w sprawie migracji i azylu. Trio będzie kontynuować transformację Unii w kierunku neutralności klimatycznej do 2050 r. poprzez wdrożenie obecnych przepisów na 2030 r. i pracę nad osiągnięciem celu klimatycznego UE na 2040 r.". W Polsce na potrzeby poddanych rząd Tuska zawsze będzie się nadymał patriotyzmem, a w Brukseli pokornie zrobi, co każą

Fot. Lidmyla Skwarczyńska

eprasa.pl cdcd0af3d8

Zgwałcona Wielka Brytania

Ta sprawa ma kilka poziomów. Pierwszym jest przerażająca skala gwałtów przez lata dokonywanych w Wielkiej Brytanii. Ofiarami były dziewczynki, niektóre 11-letnie, średnia wieku poszkodowanych mieści się w przedziale 12–14 lat. Sprawcami były gangi złożone głównie z obywateli brytyjskich pochodzących z Pakistanu. Dlaczego sprawę zamiatano pod dywan?

MAREK BUDZISZ

Niektórzy wypowiadający się na ten temat mówią o 250 tys. ofiar, które przez lata były zastraszane, systematycznie deprawowane i gwałcone, najczęściej zbiorowo. Po oficjalnym dochodzeniu przeprowadzonym w 2014 r. w Rotherham, mieście w środkowej Anglii, brytyjska opinia publiczna dowiedziała się o problemie, choć wcześniejsze artykuły publikowane na ten temat choćby przez londyński „The Times" były przyjmowane z niedowierzaniem. Władze przez lata utrzymywały, że są to zjawiska o charakterze lokalnym.

Jak jednak wynika z danych opublikowanych w ubiegłym tygodniu przez GB News, w ponad 50 miastach działały „gangi uwodzicieli", jak eufemistycznie określa się w mediach gwałcicieli, co oznacza, że zjawisko miało charakter masowy. Władze nie reagowały albo podejmowały działania budzące co najmniej wątpliwości. Jest to tym bardziej bulwersujące, że mamy do czynienia z przerażającymi, choć jak napisał dziennik „The Telegraph", „wcale nie wyjątkowymi" przypadkami, takimi jak historia 14-letniej „Anny" z Bradford, która była pod stałym nadzorem opieki społecznej. Dziewczynka wyszła za mąż w ramach tradycyjnego „ślubu islamskiego", będąc już w ciąży ze swoim oprawcą, którego „poślubiła". W ceremonii asystował pracownik opieki społecznej, którego nie zaniepokoił ani młody wiek „oblubienicy", ani różnica wieku między nią a jej „wybrankiem", ani fakt, że pochodząca z białej, angielskiej rodziny dziewczynka była wówczas brzemienna.

Jeszcze gorsza jest historia Lucy Lowe, dziewczynki z Telford, miejscowości nieopodal Birmingham, która zginęła wraz z matką i swoją siostrą w pożarze domu wznieconym przez jej oprawcę. Była z nim wówczas w ciąży, a pierwsze dziecko urodziła mu w wieku 14 lat, co nie wzbudziło niczyjego zaniepokojenia, mimo że z prawnego punktu widzenia w Wielkiej Brytanii seks z dziewczynką mającą mniej niż 16 lat jest traktowany

Fot. Karl Nesh/Shutterstock.com

eprasa.pl cdcd0af3d8

jako gwałt. Grasujące w Telford gangi gwałcicieli, bo takie są wyniki oficjalnego dochodzenia, używały przykładu Lucy Lowe, a zwłaszcza tego, że nikt nie został ukarany, by zastraszać następne ofiary. Bezczynni pozostawali nie tylko pracownicy socjalni, lecz także, co wzbudza jeszcze większe oburzenie na Wyspach, policja, która bała się podejmować działania.

CO ROBIŁA POLICJA?

Media są pełne relacji o aresztowaniach ojców, którzy przychodzili do szkół po to, aby bronić swe nieletnie córki przed pojawiającymi się „uwodzicielami", bo zdaniem stróżów prawa „podżegali" oni do zamieszek na tle rasowym. Urzędników i policjantów, którzy alarmowali o tym, co się dzieje, nie tylko uciszano, lecz także kierowano na specjalne kursy, na których mieli się nauczyć tolerancji i funkcjonowania w wieloetnicznym społeczeństwie. Dochodziło do tak kuriozalnych i budzących dziś przerażenie sytuacji jak w Rotherham, gdzie w środku nocy do jednego z domów przyjechał patrol policji zaalarmowany przez sąsiadów krzykami młodych kobiet. Funkcjonariusze zastali w nim trzy dziewczęta w wieku 12–15 lat będące pod wpływem alkoholu i narkotyków, „niemal nagie", jak napisano w raporcie, i grupę starszych mężczyzn „azjatyckiego pochodzenia". Podczas interwencji dziewczęta aresztowano za zakłócanie ciszy nocnej, a zainteresowania policji nie wzbudziło to, co robiły one w męskim towarzystwie w środku nocy.

Zdarzały się też przypadki, że ojcowie, którzy próbowali wyciągnąć własne córki z takich miejsc, byli aresztowani, a interweniujący u jednego z szefów lokalnej policji usłyszał, że „miasto wybuchnie", jeśli opinia publiczna się dowie, że sprawcami gwałtów na nieletnich są Pakistańczycy.

Zdarzały się też jeszcze bardziej oburzające formy „zaangażowania" policji. W Oldham, mieście leżącym niedaleko od Manchesteru, ofiara gwałtów poinformowała policję o wydarzeniu, po czym została przez funkcjonariusza zmuszona do połknięcia tabletki „dzień po" i było „po sprawie".

PARTIA PRACY NIE CHCE ŚLEDZTWA

Gwałty tuszowały zarówno władze lokalne, jak i rząd, którego przedstawiciele byli zainteresowani, jak dziś pisze brytyjska prasa, utrzymywaniem mitologii dobrze funkcjonującego wielokulturowego i wielorasowego społeczeństwa. Simon Danczuk, były deputowany labourzystowski do Izby Gmin, w którego okręgu znajdowało się Rochdale, powiedział mediom, że gdy interweniował w tej sprawie w partyjnej centrali, usłyszał, że jej nagłaśnianie może kosztować Partię Pracy utratę głosów wyborczych. To dlatego przedstawiciele tej politycznej formacji byli i są przeciwni ogólnokrajowemu śledztwu mogącemu ujawnić skalę problemów i bezczynności władz, a w czasie niedawnego głosowania w Izbie Gmin, które miało o tym przesądzić, labourzyści nie tylko byli na „nie", lecz także wprowadzili najwyższy stopień dyscypliny partyjnej, aby żaden z deputowanych nie wyłamał się z jednolitego frontu.

Jess Phillips, minister odpowiadająca za ochronę kobiet i dzieci, nie tylko negatywnie zareagowała na powtarzające się żądania przeprowadzenia narodowego śledztwa w sprawie polityki władz lekceważących sygnały o gwałtach na masową skalę, lecz także zaczęła podważać relacje setek świadków, którzy zgodnie mówili o tym, że za większość tych zdarzeń odpowiadają przybysze z Pakistanu. Ta przedstawicielka lewego skrzydła Partii Pracy, która w ub.r. ustąpiła z funkcji w gabinecie cieni w proteście wobec zbyt miękkiej postawy Labour Party wobec Izraela, oświadczyła, że „nie ma twardych danych", które miałyby świadczyć o tym, iż gwałty były dziełem gangów złożonych z migrantów. Na dodatek po tym, jak Elon Musk zaczął pisać o „gangach gwałcicieli", brytyjska prasa ujawniła, że radni Partii Pracy z Oldham, jednej z miejscowości, w której miały miejsce takie wydarzenia, zwrócili się do Phillips, aby jej resort poparł ideę przeprowadzenia ogólnokrajowego dochodzenia. W odpowiedzi mieli usłyszeć, że śledztwo winno mieć charakter lokalny i interwencja rządu nie jest potrzebna.

KEIR STARMER NA CELOWNIKU

Osobną, żywo dyskutowaną w Wielkiej Brytanii kwestią jest odpowiedzialność Keira Starmera, obecnego premiera, wcześniej prokuratora generalnego, za przymykanie oka na to, co się działo. Liberalna prasa, nie tylko brytyjska, lecz także amerykańska (choćby „The New York Times") wybiela jego rolę, ale fakty są bezlitosne. Pełniąc wysoką funkcję w brytyjskiej prokuraturze, sprzeciwiał się ogólnokrajowemu dochodzeniu, a na dodatek media przypomniały nie tylko o tym, że labourzyści doprowadzili do obniżenia „wieku zgody" na aktywność seksualną dziewcząt z 18. do 16. roku życia, lecz także ostatnio miały pojawić się nieoficjalne zalecenia dla policji, aby ta, interweniując, działała w przeświadczeniu, że nawet młodsze dzieci mogą świadomie podejmować samodzielnie decyzję o współżyciu.

Progresywistyczne skrzydło Partii Pracy opowiadało się tak jak Patricia Hewitt, była posłanka do Izby Gmin, nie tylko za obniżeniem „wieku zgody" do 10 lat, lecz także za wykreśleniem z kodeksu karnego przestępstwa kazirodztwa. Raja Miach, lokalny aktywista społeczny w Oldham, który wraz z grupą współpracowników przez sześć lat próbował nagłośnić to, co się działo w jego mieście i skłonić władze oraz policję, aby zaczęły wreszcie działać, napisał, że Starmer nie tylko wiedział o skali gwałtów, lecz także osobiście uczestniczył w tuszowaniu spraw i zastraszaniu tych, którzy o tym mówili. Przypomniał, że kiedy rozpoczęli kampanię publiczną, starając się rozpowszechnić problem, Starmer, wówczas lider Partii Pracy, osobiście przyjechał do Oldham, by chronić lokalnych radnych z jego formacji politycznej. W tej sprawie miało chodzić nie tylko o protekcję dla swoich działaczy, lecz także o głosy społeczności muzułmańskiej oddawane głównie za pośrednictwem brytyjskiej poczty.

Reagując na pojawiające się w mediach oskarżenia, Starmer przeszedł do kontrataku, starając się upolitycznić sprawę. W specjalnym oświadczeniu stwierdził, że wszyscy domagający się ogólnokrajowego śledztwa i wyjaśnienia, dlaczego władze tak długo lekceważyły masowe gwałty, „przyłączają się do narracji skrajnej prawicy", a twitterowe wpisy Elona

eprasa.pl cdcd0af3d8

Elon Musk
Keir Starmer

Muska, który nagłośnił skandal na cały świat, uznał za „niedopuszczalną ingerencję" w brytyjskie życie polityczne.

OFENSYWA MUSKA

W tym wypadku mamy do czynienia z ciekawą reakcją liberalnych liderów państw Europy Zachodniej, którzy krytykują wystąpienia Muska, ale sami przez lata uznawali za coś zupełnie normalnego mieszanie się w wewnętrzne sprawy, w tym decyzje wyborców, państw choćby Europy Środkowej. Stanowisko Starmera poparł Emmanuel Macron, a Friedrich Merz, lider niemieckiej CDU i prawdopodobny kanclerz po lutowych wyborach, uznał artykuł, który Musk opublikował niedawno na łamach „Die Welt" i w którym ciepło pisał o AfD, określając tę formację mianem „ostatniej deski ratunku dla Niemiec", za brutalną ingerencję w niemieckie wybory. Amerykański przedsiębiorca i bliski doradca Donalda Trumpa odpowiedział oburzonemu Starmerowi, że ten nie reagował podobnie, kiedy George Soros wydawał miliony dolarów na wsparcie sił politycznych opowiadających się przeciw brexitowi ani sam nie uchronił się przed podobnymi interwencjami, klękając publicznie w akcie ekspiacji po tym, jak w Stanach Zjednoczonych wybuchła sprawa George'a Floyda.

Elon Musk nie tylko domaga się rozwiązania przez króla brytyjskiego parlamentu i przeprowadzenia przedterminowych wyborów, lecz także niedwuznacznie dąży do politycznego trzęsienia ziemi w Zjednoczonym Królestwie. Labourzystów i konserwatystów określił mianem „monopartii", formacji, które różnią się tylko pozornie i w gruncie rzeczy oszukują wyborców, bo nie stanowią realnej alternatywy wobec siebie. Taka diagnoza skłoniła go do poparcia Reform UK, partii założonej przez Nigela Farrage'a, która jego zdaniem jest realną alternatywą i może skruszyć skostniały system partyjny w Zjednoczonym Królestwie.

Podobne przesłanie zawiera artykuł opublikowany przez Muska w niemieckiej prasie, a europejskie media spekulują na temat tego, jakie są rzeczywiste intencje Donalda Trumpa. Upadek Justina Trudeau, „złotego dziecka liberalizmu", polityka, który rządził Kanadą od 2015 r., ma świadczyć o tym, że obóz MAGA, który doszedł do władzy w Stanach Zjednoczonych, nie zadowoli się jedynie zmianą relacji w amerykańskim systemie sojuszniczym, ale będzie również dążył do odsunięcia od władzy starych liberalnych elit europejskich, przyzwyczajonych do myśli, że to one decydują o tym, co się dzieje na naszym kontynencie.

Nie wszyscy znaleźli się na celowniku. Niedawna kolacja Giorgii Melloni z prezydentem elektem w rezydencji Donalda Trumpa na Florydzie potwierdza nie tylko dobre relacje republikanów z Rzymem, lecz także skłoniła europejskie media, w tym liberalne Politico, do snucia teorii o nowym systemie bliskich współpracowników Trumpa w Europie, który ma budować włoska premier. Wcześniej na Florydzie przebywał Viktor Orbán, dobre notowania ma też mieć prezydent Duda, na którego wypowiedzi Donald Trump kilkakrotnie powoływał się w ostatnich tygodniach. Węgierski premier został zaproszony na inaugurację Trumpa, co potwierdzono oficjalnie, ale media zauważyły, że póki co brak takiego zaproszenia dla Donalda Tuska. Niektórzy sądzą nawet, iż polski premier może być jedynym liderem europejskiego państwa, który się go nie doczeka. Mają o tym świadczyć zarówno wypowiedzi takie jak choćby opinia J.D. Vance'a, wiceprezydenta elekta, na temat łamania zasad państwa prawa przez gabinet Tuska, lecz także to, co piszą na temat obecnego polskiego rządu amerykańskie media konserwatywne. National Review, jeden z najważniejszych portali tego nurtu, w ubiegłym tygodniu opublikował artykuł, którego autorzy piszą o rządzie Donalda Tuska w kategoriach „rosnącego problemu" przyszłej administracji Trumpa. Powodem są zarówno „groźby aresztowania" premiera Netanjahu, jeśli ten przyjedzie do Oświęcimia na obchody wyzwolenia niemieckiego obozu zagłady, ale przede wszystkim „dążenie do zniszczenia opozycji" i zaprowadzenia liberalnego reżimu o charakterze autorytarnym.

Wygląda na to, że obóz Donalda Trumpa chce nie tylko zmienić relacje sojusznicze, lecz także z nie mniejszą determinacją zamierza wpływać na to, kto będzie rządził w stolicach kluczowych dla amerykańskiego systemu sojuszniczego. Rozpoczęło się od Wielkiej Brytanii i ataku Elona Muska na rząd Partii Pracy, ale możemy się spodziewać, że Keir Starmer nie jest ostatnim politykiem na „czarnej liście" Donalda Trumpa i jego otoczenia.

Fot. Frederic Legrand - COMEO/Shutterstock.com
Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

eprasa.pl cdcd0af3d8

Czekając na konklawe

Nie ma dziś zdecydowanych kandydatów, których można wskazać jako potencjalnych następców Franciszka. Jest jednak kardynał mogący mieć decydujący wpływ na ten wybór

GRZEGORZ GÓRNY

W ub. miesiącu powstał jedyny w swoim rodzaju portal internetowy na świecie. Jest adresowany do zaledwie 139 osób na naszym globie, których średnia wieku wynosi ok. 70 lat. Ich znaczenie pozostaje jednak ogromne, ponieważ to właśnie oni dokonają jednego z najważniejszych wyborów na świecie. Mowa o kolegium kardynalskim, które wskaże następnego papieża po 88-letnim dziś Franciszku.

ROLA SEKRETNYCH KONSYSTORZY

Inicjatorami powstania portalu College of Cardinals Report jest dwójka opiniotwórczych amerykańskich watykanistów: Diane Montagna i Edward Pentin. Skąd ta idea? Otóż skonstatowali oni, że wybór papieża w dużej mierze zależy od tego, na ile purpuraci znają siebie nawzajem. Abp Józef Michalik opowiadał, że odwożąc Karola Wojtyłę na konklawe w 1978 r., zapytał go, ilu członków kolegium kardynalskiego zna osobiście. Metropolita krakowski odpowiedział, że na 110 hierarchów nie poznał tylko czterech. Dziś taka sytuacja jest niemożliwa. Dlaczego?

Podczas poprzednich pontyfikatów najważniejszymi wydarzeniami, podczas których purpuraci mogli się poznać, były konsystorze, czyli zebrania kolegium kardynalskiego, w trakcie których papieże kreowali nowych

Fot. Marco Iacobucci Epp/Shutterstock.com

eprasa.pl cdcd0af3d8

członków owego elitarnego gremium. Konsystorze mają dwie części: publiczną i sekretną. W trakcie tej pierwszej w bazylice św. Piotra odbywa się uroczystość wręczenia dostojnikom czerwonych biretów. Część tajna przebiega natomiast za zamkniętymi drzwiami. Wtedy kardynałowie, którzy zjechali się do Rzymu z całego świata, mogą swobodnie porozmawiać we własnym gronie, nawiązać kontakty, wymienić się opiniami, przedyskutować różne problemy.

Od 2014 r. Franciszek zwołał siedem konsystorzy, które miały tylko część jawną, a nie miały sekretnej. Purpuraci z całego świata mogli się wówczas zobaczyć jedynie podczas celebracji w bazylice, nie mieli natomiast okazji, by poznać się podczas dłuższego spotkania. Na dodatek wielu z nich pochodziło z odległych krajów, a ich sylwetki i poglądy były szerzej nieznane nawet w kręgach zawodowych komentatorów religijnych. W dużej mierze wynikało to z papieskiej polityki personalnej promującej nie tyle wpływowych biskupów z tradycyjnych stolic kardynalskich, ile mało znanych duchownych z niedużych diecezji z niewielką liczbą wiernych.

KARDYNAŁOWIE KONTRA KASPER

Dlaczego Franciszek zerwał z tradycją zwoływania konsystorzy niejawnych? Aby to zrozumieć, musimy się cofnąć do lutego 2014 r. Wybrany niedawno papież zebrał wówczas kardynałów na swój pierwszy i jedyny konsystorz przebiegający zgodnie z tradycją, by podczas dwudniowych obrad za zamkniętymi drzwiami porozmawiać o problemach związanych z planowanym synodem biskupów ds. rodziny. Zadanie wygłoszenia przemówienia inauguracyjnego powierzył kard. Walterowi Kasperowi, którego wystąpienie sprowadzało się właściwie do uznania jednego postulatu: zgody na dopuszczanie do komunii par niesakramentalnych, czyli osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. Niemiecki dostojnik zaznaczył, że przedstawia swój pomysł w porozumieniu z papieżem.

Wystąpienie było niemiłym zaskoczeniem dla większości zebranych. Kolejne zdumienie przeżyli kilka dni później. Do tamtej pory to, o czym mówiono podczas konsystorzy sekretnych, pozostawało w tajemnicy i nie mogło być ujawniane na zewnątrz. Kard. Kasper otrzymał jednak od Franciszka zgodę na złamanie tej tajemnicy i 1 marca na łamach dziennika „Il Foglio" opublikował tekst swojego wystąpienia. Niemiecki hierarcha nie wspomniał jednak, iż jego mowa wzbudziła zdecydowaną krytykę miażdżącej większości kardynałów, którzy zabrali głos po nim, nie zostawiając na referencie suchej nitki.

> Na 139 purpuratów, którzy mają prawo głosu podczas konklawe, aż 120 zostało nominowanych przez Franciszka. A skoro tak, to można założyć, że jego następca będzie kontynuował rozpoczętą przez niego rewolucję teologiczną. Nie jest to wcale takie pewne

Następny dzień obrad rozpoczął się od przemówienia Franciszka, który wygłosił wielką pochwałę na cześć kard. Kaspera. Przyznał, że przed snem ponownie przeczytał jego wystąpienie i doszedł do wniosku, że jest to niezwykle głęboki tekst stanowiący przykład teologii uprawianej na kolanach. Jeśli papież sądził, że nada w ten sposób ton dalszej dyskusji, to się mylił. Kolejni purpuraci zabierający po nim głos nie kryli swego krytycyzmu wobec przedstawionego im pomysłu, twierdząc, że jest to postulat niezgodny z odwiecznym i niezmiennym nauczaniem Kościoła na temat sakramentów Eucharystii i małżeństwa.

Ponieważ zza zamkniętych drzwi do opinii publicznej przedostał się tylko jeden głos (należący do kard. Kaspera), do akcji postanowiła wkroczyć Kongregacja Nauki Wiary. Jej ówczesny prefekt kard. Gerhard Müller przygotował tekst dla watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano", by pokazać, że większość kolegium kardynalskiego miała inne zdanie niż niemiecki hierarcha. Publikacja nie ukazała się jednak drukiem, ponieważ wstrzymał ją sam Franciszek.

Mimo to kilkunastu wpływowych purpuratów wypowiedziało się publicznie przeciw postulatom kard. Kaspera. Czterech z nich napisało nawet dubia do papieża, pokornie zadając mu pytania, czy podtrzymuje on oficjalne stanowisko Kościoła, które jest publicznie kwestionowane. Nigdy nie doczekali się odpowiedzi.

LUSTRACJA 22 „PAPABILI"

Po tamtych wydarzeniach Franciszek na dziewięć lat zrezygnował ze zwoływania konsystorzy tajnych. Uczynił to dopiero jesienią 2023 r., gdy dokonał już znaczącej wymiany składu kolegium kardynalskiego. Obrady, do których dopuścił, były jednak mocno ograniczone w porównaniu z poprzednimi tego typu wydarzeniami. Purpuraci nadal się nie znają i wiedzą o sobie niezwykle mało.

Żeby temu zaradzić, Diane Montagna i Edward Pentin stworzyli portal, na którym nie tylko prezentują dane biograficzne wszystkich kardynałów. Wytypowali także 22 „papabili", czyli najbardziej prawdopodobnych kandydatów do objęcia urzędu papieskiego po Franciszku, a następnie przedstawili stosunek wspomnianych hierarchów do kwestii budzących dziś najwięcej dyskusji i kontrowersji w Kościele, takich jak wyświęcenie kobiet na diakonisy, błogosławienie par homoseksualnych, zniesienie celibatu księży, zakaz odprawiania tradycyjnych mszy łacińskich, tajne porozumienie Stolicy Apostolskiej z komunistycznym rządem Chin, promowanie synodalności w Kościele, ponowne odczytanie encykliki Pawła VI „Humanae vitae" (czyli stosunek do antykoncepcji), komunia dla osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach oraz niemiecka droga synodalna.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Twórcom portalu chodzi o to, by kardynałowie uczestnicy najbliższego konklawe mieli pełną wiedzę na temat tego, jakie poglądy reprezentują ci, którzy będą brani pod uwagę jako najważniejsi kandydaci do objęcia urzędu papieskiego.

W 2013 r. wielu elektorów, wybierając Jorge Mario Bergoglio, nie miało świadomości, jakie stanowisko zajmie on w sprawach budzących dziś najwięcej emocji, takich jak np. zgoda na błogosławienie par jednopłciowych zawarta w watykańskiej deklaracji „Fiducia supplicans" z grudnia 2023 r.

KONTYNUACJA CZY ZERWANIE?

Na 139 purpuratów, którzy nie ukończyli jeszcze 80. roku życia, a więc mają prawo głosu podczas konklawe, aż 120 zostało nominowanych przez Franciszka. Niektórzy uważają, że skoro wykreował on kolegium kardynalskie na swój obraz i podobieństwo, to jego następca będzie kontynuował rozpoczętą przez niego rewolucję teologiczną. Nie jest to jednak wcale takie pewne. Lojalność wobec biskupa Rzymu kończy się bowiem z chwilą jego śmierci. Później elektorzy kierują się innymi priorytetami.

Liczba 22 „papabili" wytypowanych przez Montagnę i Pentina, wskazuje, że nie ma jednego, dwóch czy trzech zdecydowanych faworytów, a wynik głosowania będzie zależeć od logiki przyjętej przez kardynałów. Wcale nie musi ona oznaczać kontynuacji linii Franciszka. Coraz większa liczba duchownych i świeckich, zarówno zwolenników, jak i przeciwników obecnego pontyfikatu, dostrzega bowiem pogłębiający się kryzys Kościoła, a zwłaszcza chaos i zamęt wywoływane przez niejednoznaczne oraz często sprzeczne ze sobą gesty i wypowiedzi płynące z Watykanu. Papież zamiast być rozwiązaniem problemu, stał się jego częścią.

W tej sytuacji kontynuowanie linii teologicznej obecnego pontyfikatu jawi się wielu dostojnikom jako pogłębianie zapaści. To sprawia, że na najbliższym konklawe nie będą mieli raczej szans rewolucyjni radykałowie i homolobbyści w rodzaju kardynałów Reinharda Marxa z Niemiec, Jeana-Claude'a Hollericha z Luksemburga czy Blase'a Cupicha i Roberta McElroya z USA.

Ważnym wydarzeniem, które może wpłynąć na przebieg konklawe, była wspomniana już deklaracja „Fiducia supplicans" zezwalająca księżom na błogosławienie par homoseksualnych. Wywołała ona bunt wielu episkopatów, zwłaszcza w Afryce, gdzie tamtejsi biskupi gremialnie odrzucili watykański dokument. Pod wpływem masowego protestu czarnoskórych hierarchów Stolica Apostolska ugięła się i przyznała Kościołowi na Czarnym Lądzie prawo do zignorowania „Fiducia supplicans". Z pewnością był to punkt zwrotny w historii obecnego pontyfikatu. Po raz pierwszy doszło bowiem do zbiorowego publicznego sprzeciwienia się decyzjom samego papieża przez ogromną większość biskupów w skali całego kontynentu. Na dodatek ich rewolta była na tyle skuteczna, że udało im się postawić na swoim.

Część dostojników uznała, że Franciszek, aprobując błogosławienie par homoseksualnych, przekroczył cienką czerwoną linię. Do tego grona należy m.in. kard. Robert Sarah z Gwinei, który w ub.r. odbył długą podróż po Afryce, odwiedzając kilka krajów, wyświęcając księży i spotykając się z biskupami. Wszędzie wygłaszał przemówienia, w których mobilizował miejscowych hierarchów do oporu wobec watykańskiej deklaracji, polemizując ze stanowiskiem samego Franciszka.

BLOKUJĄCA MNIEJSZOŚĆ

Budowanie przez gwinejskiego dostojnika bloku sprzeciwu wobec rewolucji teologicznej Franciszka należy widzieć w perspektywie najbliższego konklawe. Według obowiązujących przepisów do wyboru papieża są wymagane dwie trzecie głosów w kolegium kardynalskim, czyli (przy obecnej liczbie) poparcie 93 hierarchów. Wystarczy jednak tzw. mniejszość blokująca (jedna trzecia głosów), by uniemożliwić wybór niechcianego pretendenta. W praktyce musi się więc znaleźć co najmniej 47 purpuratów, którzy nie dopuszczą do elekcji modernistycznego kandydata.

Obecnie Afrykę reprezentuje w kolegium 19 elektorów. Mogą oni liczyć na poparcie części dostojników Globalnego Południa wybranych z klucza geograficznego, takich jak kardynałowie Daniel Sturla z Urugwaju, Charles Bo z Mjanmy, Louis Sako z Iraku, Cezar Costa z Brazylii, Luis José Rueda Aparicio z Kolumbii, Luis Cabrera Herrera z Ekwadoru, Tarcisio Isao Kikuchi z Japonii, Chibly Langlois z Haiti, Lazarus You Heung-sik z Korei Południowej, Virgilio do Carmo da Silva z Timoru Wschodniego czy William Goh z Singapuru. W tym gronie nie zabraknie również hierarchów z Europy Środkowej i Wschodniej. Niektórzy watykaniści szacują, że w kolegium kardynalskim może być ok. 50 takich dostojników.

Na niekwestionowanego przywódcę grupy afrykańskiej wyrasta kard. Robert Sarah, cieszący się wielkim autorytetem w świecie katolickim. O ile dziś nie można wytypować zdecydowanego pretendenta do tronu Piotrowego, o tyle można się pokusić o wskazanie osoby, która już teraz wywiera duży wpływ na dokonanie takiego wyboru. To właśnie kard. Sarah. Co prawda 15 czerwca skończy on 80 lat i straci prawo udziału w konklawe, ale dziś to właśnie wokół niego krystalizuje się blok obrońców ortodoksji z Czarnego Lądu. Naturalnym kandydatem tej grupy wydaje się kard. Fridolin Ambongo z Demokratycznej Republiki Konga, który stał na czele buntu afrykańskich episkopatów przeciw „Fiducia supplicans".

Niewykluczone, że podczas konklawe może nastąpić pat między „bergogliańską większością" a „blokującą mniejszością". Wówczas pojawi się konieczność wyboru kompromisowego kandydata mogącego pogodzić obie strony. Do podobnej sytuacji doszło na konklawe w październiku 1978 r., gdy żaden z dwóch włoskich purpuratów (Giuseppe Siri i Giovanni Benelli) nie zdołał zyskać wystarczającej większości głosów. Wtedy otworzyła się możliwość wyboru Karola Wojtyły.

Gdyby miał się powtórzyć analogiczny scenariusz, trudno jest wskazać jednoznacznego faworyta. Przeciągające się konklawe będzie oznaczać mozolne poszukiwanie kompromisowego kandydata. Wtedy rośnie szansa, że zostanie wybrany ktoś, kogo zaakceptuje blokująca mniejszość.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Krym, bezcenny półwysep

Posiadanie Krymu to istotny element rosyjskiej mitologii imperialnej. Jego zajęcie jeszcze przez carską Rosję było faktycznym i symbolicznym przedarciem się Moskwy do ciepłego Morza Czarnego, dającego olbrzymie możliwości handlowe i strategiczne. W 2014 r. nad półwyspem znów zawisły rosyjskie flagi. Czy Ukraina ma szansę wrócić na Krym?

Fot. Shutterstock

eprasa.pl cdcd0af3d8

Z prof. dr. hab., kmdr. por. rezerwy Krzysztofem Kubiakiem, historykiem wojskowości i politologiem, rozmawia Piotr Słabek

Czym jest Krym dla Ukrainy? Czy można wyobrazić sobie rozwój handlowy tego kraju, jeśli półwysep będzie kontrolowany przez wrogie państwo?

Krzysztof Kubiak: Krym jest dla Ukrainy obszarem bardzo ważnym strategicznie. Dla rządu w Kijowie definitywna utrata półwyspu byłaby potężnym wyzwaniem przede wszystkim natury politycznej i społecznej. Obecna administracja z prezydentem Zełenskim na czele miałaby bardzo twardy orzech do zgryzienia, bo jednym z głównych celów wojny od początku komunikowanym społeczeństwu było odzyskanie kontroli nad Krymem.

Postawiłbym jednak tezę, że w wymiarze gospodarczym i ekonomicznym Ukraińcy bez półwyspu mogą nie tylko przetrwać, lecz także się rozwijać. Być może nawet lepiej niż z Krymem, na którym opór przeciwko pozostawaniu go w granicach Ukrainy byłby bardzo silny. Możemy sobie wyobrazić półwysep pod ukraińską flagą jako wiecznie ropiejący obszar niekończącej się wojny partyzancko-terrorystycznej, taką krymską strefę Gazy z nieustającymi erupcjami przemocy czy to w formie działań wszelkiej maści „bojowników", czy akcji pacyfikacyjnych. To oczywiście tylko figura retoryczna, bo nie mamy przesłanek silnie uwiarygadniających taki scenariusz.

Czyli Krym jest bardzo ważny, ale dla Ukrainy liczy się przede wszystkim dostęp do Morza Czarnego.

Mimo wszystko najważniejszym portem jest Odessa, można go rozbudować i jeszcze bardziej zwiększyć jego przepustowość. Krym odgrywał rolę wysuniętej bazy wojskowej, która pozwala na projekcję siły i kontrolę kilkaset kilometrów w głąb Morza Czarnego. Teodozja i Jałta to kurorty, Sewastopol – przede wszystkim baza morska. Dla tej części europejskiego obszaru gospodarczego, a więc i Ukrainy, najważniejsza jest Odessa.

Międzynarodowe ciche przyzwolenie lub choćby tolerowanie zagarnięcia Krymu przez Rosję poprawia jej sytuację ogólną. Nie ma to jednak jakiegoś decydującego czy krytycznego znaczenia w wymiarze czysto militarnym. Ale ten obszar ma olbrzymie znaczenie emocjonalne i propagandowe dla obu stron.

Obecnie Ukraińcy stworzyli skuteczną ochronę dla swojej strefy wpływów, co uniemożliwia rosyjskiej Flocie Czarnomorskiej operowanie wzdłuż wybrzeży. To wynika z udostępnienia Ukraińcom informacji z systemów wczesnego wykrywania celów i naprowadzania ognia oraz z posiadania przez nich dalekosiężnych pocisków przeciwokrętowych. Bardzo zredukowano możliwości rosyjskiej Floty Czarnomorskiej, choć może ona oczywiście komplikować ukraińską żeglugę w tym rejonie. Ale obecnie rosyjska marynarka wojenna nie jest w stanie zagrozić Ukrainie z morza w wymiarze operacyjnym i taktycznym.

W tym regionie ważne znaczenie ma też Chersoń i Mikołajów. W czasach Związku Sowieckiego w tych miastach wybudowano olbrzymie stocznie, powstawały tam największe rosyjskie okręty. Ważne jest, by podczas ewentualnych rozmów o rozejmie Ukraina nie poniosła żadnych strat terytorialnych w obrębie wybrzeża Morza Czarnego. A Rosja będzie robić wszystko, by odciąć Ukrainę od tego akwenu.

Z jednej strony Rosja chce sprowadzić Ukrainę do mało znaczącego państwa kadłubka, a z drugiej połączenia Naddniestrza [rosyjskiej enklawy] z terytorium Federacji Rosyjskiej.

Szlak żeglugowy przez Morze Azowskie i później przez Cieśninę Kerczeńską miał znaczenie w perspektywie działania potężnego kompleksu metalurgicznego Azow w Mariupolu. Rosjanie praktycznie zrównali to miejsce z ziemią. Oczywiście Ukraina chciałaby odzyskać kontrolę nad obszarami między Rostowem nad Donem a lądowym połączeniem z Krymem, ale wydaje się to mało prawdopodobne.

Dlaczego to miejsce ma tak ważne znaczenie dla Ukraińców i Rosjan?

Ze względu na świadomość historyczną. Krym odgrywa mniej więcej taką samą rolę, jak rejon ujścia Newy do Bałtyku z twierdzą Szlisselburg oraz Kronsztadem. Jak ten strategicznie ważny obszar chronił Nowogród Wielki i stanowił kontrolę dostępu do Bałtyku, tak z Krymu można kontrolować szlaki morskie na Morzu Czarnym oraz szlak z Morza Azowskiego.

Posiadanie Krymu to istotny element rosyjskiej mitologii imperialnej. Jego zajęcie jeszcze przez carską Rosję było faktycznym i symbolicznym przedarciem się Moskwy do ciepłego Morza Czarnego dającego olbrzymie możliwości handlowe i strategiczne. Mimo iż wtedy nie używano terminu „geopolityka", to panowanie nad Krymem było ważnym strategicznym celem Rosji. To się udało za Katarzyny II: najpierw przez utrzymywanie w stanie permanentnego skłócenia tamtejszych Tatarów, potem poprzez wyrwanie Krymu spod władzy Turcji.

Jakie były przyczyny i przebieg wojny krymskiej?

Rosja ewidentnie przeszacowała swoje możliwości w basenie Morza Czarnego, tak samo jak na Kaukazie oraz na Bałkanach.

Fot. Artur Andrzej/Wikipedia

eprasa.pl cdcd0af3d8

Zamierzała pokonać Turcję, a z Morza Czarnego uczynić wręcz swój akwen wewnętrzny i uzyskać swobodny dostęp do cieśnin tureckich, a może i kontrolę nad nimi.

Wojna zakończyła się klęską Rosjan. Nałożono nawet na nich zakaz utrzymywania sił morskich na Morzu Czarnym. Mimo że Rosja została pobita, to w ciągu niecałych dwóch dekad, umiejętnie wykorzystując koniunkturę międzynarodową, zdołała wrócić do statusu mocarstwa czarnomorskiego.

Wojna krymska silnie zapisała się legendzie militarnej Brytyjczyków i Rosjan, mniej w przypadku Włochów i Turków walczących po stronie koalicji.

Dla Rosji jest to przede wszystkim legenda obrony Sewastopola, którą Tołstoj wprowadził na karty wielkiej literatury, pisząc „Opowiadania sewastopolskie". Ta historia stała się jednym z przykładów rosyjskiego patriotyzmu i wyznacznikiem wielkoruskiego imperializmu.

Jakie były losy Krymu w czasie rewolucji bolszewickiej i II wojny światowej?

Krym pojawił się w bolszewickiej legendzie rewolucyjnej. Bunt floty czarnomorskiej, opuszczenie półwyspu i powrót na niego, samozatopienie, pobicie białych wspieranych przez Brytyjczyków, Francuzów i inne odziały międzynarodowe.

W czasie II wojny światowej pojawiły się różne wątki: obrony twierdz czarnomorskich – Sewastopola, Odessy, Noworosyjska, okupacji Odessy przez Rumunów, zajęcia Krymu przez Niemców. Istnieje też narracja o wielkim zwycięstwie Armii Czerwonej, gdy Niemcy i Rumuni rozpaczliwie ewakuowali się z Krymu.

W jaki sposób Krym znalazł się w Ukraińskiej Republice Ludowej?

Po rozpadzie Związku Sowieckiego Krym znalazł się w granicach Ukrainy, bo w 1954 r. Nikita Chruszczow w ramach sowieckiej socjotechniki przyłączył półwysep do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Chciał przez to uczcić rocznicę ugody perejasławskiej z 1654 r. Wtedy ukraińscy Kozacy oddali się pod protekcję carów moskiewskich.

Zapewne Chruszczow nigdy nie zakładał, że Związek Sowiecki się rozpadanie. Trzeba zaznaczyć, że Krym był obszarem etnicznie i kulturowo zdominowanym przez żywioł rosyjski, ale kluczowa baza rosyjskiej floty czarnomorskiej znalazła się pod jurysdykcją Ukrainy. Od samego początku ta sytuacja była wysoce skomplikowana. Istniało wiele spraw spornych: podział floty czarnomorskiej, uprawnienia sił rosyjskich na Krymie. Co oczywiste Rosja prowadziła rozmaite zabiegi, by zapewnić sobie maksymalne wpływy na Krymie.

W 2014 r. po pomarańczowej rewolucji na Majdanie Kreml coraz głośniej zaczął mówić o rzekomym prześladowaniu ludności rosyjskiej na Krymie. Oskarżali o to Ukraińców oraz powracających na półwysep Tatarów, wcześniej wysiedlonych przez Stalina.

W czasie inwazji zielonych ludzików Ukraina praktycznie była państwem w stanie upadku. Ukraińska armia nie otrzymała jednoznacznych rozkazów, a Rosjanie przejęli Krym, w zasadzie nie napotykając oporu. Sądzę, że po tym sukcesie nastąpiło swoiste samozaczarowanie elit rosyjskich i przede wszystkim Putina. Żywiono przekonanie, że Ukrainę da się łatwo pokonać i rozczłonkować.

Jaka jest specyfika geograficzna Krymu?

Krym to kontynent w miniaturze, są tam obszary stepowe, równiny nadmorskie, góry. Jest obszarem z wyraźnym deficytem wody. Nie jest to rejon samowystarczalny ani energetycznie, ani żywnościowo. Utrzymanie przez Rosję półwyspu wymaga poważnego wysiłku zarządczo-logistycznego. Większość podstawowych produktów łącznie z wodą musi być dostarczana z obszaru, którzy krymscy Rosjanie nazywają Wielką Rosją.

Temu miał służyć m.in. most przez Cieśninę Kerczeńską. Pierwsze próby komunikacji tamtędy podjęli Niemcy, operując na Krymie. Los tego mostu w czasie wojny jest wysoce niepewny. Obecnie nie mamy wiarygodnych informacji, w jakiej kondycji się znajduje.

Przerwanie działań militarnych w odniesieniu do Krymu będzie się wiązało z odbudową mostu i zwiększeniem przepustowości rurociągów – głównie wody oraz ropy. Należy też zwiększyć wydajność przyłączy energetycznych biegnących na Krym.

Pierwszymi znanymi mieszkańcami Półwyspu Krymskiego byli Taurowie. W VII w. p.n.e. stepy czarnomorskie zaludnili Scytowie. W tym czasie pojawiły się na Krymie miasta – greckie kolonie. U schyłku IV w. n.e. stepowe obszary środkowego i północnego Krymu opanowali Hunowie. W VI w. n.e. na tym obszarze widać aktywne działania polityczne i militarne Cesarstwa Bizantyńskiego. Pod koniec X w. wielki książę kijowski Włodzimierz I rozszerzył granice swego państwa aż do Krymu. Ok. 1240 r. półwysep opanowali Mongołowie i włączyli go do Złotej Ordy. Pod koniec XV w. na Krymie istniały jeszcze kolonie Genui, zdobyte później przez Turków. W 1427 r. Złota Orda rozpadła się, co doprowadziło do utworzenia chanatu krymskiego. Wkrótce doszedł on do wielkiej potęgi, najeżdżając Polskę i państwo moskiewskie. W 1783 r. Rosja dokonała aneksji Krymu

W jakim stanie jest obecnie rosyjska Flota Czarnomorska?

Za pomocą rakiet Neptun własnej konstrukcji oraz dostarczonych z Zachodu Ukraińcy potrafili stworzyć bardzo sprawnie działający system, właściwie wykluczający rosyjskie operacje na wodach przybrzeżnych.

Rosjanie nie mogą używać swojej floty na odległość zasięgu pocisków przeciwokrętowych. Z tego powodu wycofano znaczącą część Floty Czarnomorskiej z rejonu Krymu. Jednak rosyjska flota, mimo że jest osłabiona, ma duże zdolności w zakresie choćby nie bliskiej, ale dalekiej blokady Krymu. Poprzez ostrzał z morza kluczowych linii komunikacyjnych Rosjanie niszczą i blokują gospodarkę ukraińską.

W tej rozgrywce kluczowym państwem regionu Morza Czarnego jest Turcja. To ona kontroluje cieśniny czarnomorskie, głosząc przywiązanie do postanowień konwencji z Montreux. Uzgodnienia z pierwszej fazy wojny dotyczące czarnomorskiego korytarza zbożowego dla Ukrainy były zaaranżowane i wymuszone przez Turcję.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Prezydencja z dykty?

Po 13 latach Polska po raz drugi przejęła przewodnictwo w Radzie Unii Europejskiej. I od razu zapanował imposybilizm. Politycy rządu i zaprzyjaźnieni z nimi eksperci przekonują nas, że unijne prezydencje nie służą do uprawiania „wielkiej polityki". To dziwne, bo innym krajom jakoś się to udawało. Nawet tym znacznie mniejszym od Polski

Fot. FRANCOIS LENOIR/EU

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Oczekiwania wobec naszej prezydencji są wygórowane" – pisze na łamach „Gazety Wyborczej" ekspert ds. europejskich Fundacji Geremka Piotr Maciej Kaczyński. Według niego poprzednia, węgierska prezydencja była nieudana, bo Viktor Orbán bez zgody partnerów pojechał do Kijowa, Moskwy oraz Pekinu, by prowadzić negocjacje w sprawie zakończenia wojny na Ukrainie. Ponadto udzielił politycznego azylu posłowi PiS Marcinowi Romanowskiemu. Polska prezydencja musi teraz naprawić te „błędy". „Odbudować zaufanie partnerów i Brukseli", więc na całą resztę nie pozostanie już zbyt wiele czasu i „tylko niektóre sprawy znajdą swój finał do końca czerwca".

Ten artykuł jest zapewne próbą przygotowania Polaków na mało ambitną prezydencję pod kierownictwem Donalda Tuska. Bez szczytu w Warszawie (tylko po to, by nie otwierał go prezydent Andrzej Duda) i promowania własnych interesów czy chociaż nadania unijnej agendzie korzystnego dla Polski kierunku. Natura prezydencji w Radzie UE ma polegać wyłącznie na roli neutralnego przewodniczącego, który wypracowuje konsensus między rządami krajów Unii. Węgry miały pogwałcić tę zasadę. Ponadto, jak podkreślił europoseł PO Michał Szczerba na antenie Radia ZET, jednym z powodów, dla których w Warszawie nie zorganizowano szczytu, jest to, że... „będą korki".

SUKCES MIMO PRZECIWNOŚCI

Pomijając tak ewidentne idiotyzmy, należy podkreślić, że węgierska prezydencja wcale nie była taka nieudana, szczególnie biorąc pod uwagę otwartą wrogość unijnych elit. Kilka tygodni przed jej rozpoczęciem grupa europosłów zbierała podpisy za pozbawieniem Węgier możliwości przewodzenia Radzie UE. A pokojowa misja Orbána zapewne nie była „samozwańcza", jak piszą europejskie liberalne media, tylko została przez niego podjęta w miejsce tych europejskich rządów, którym nie wypadało na nią wyruszyć, chociażby Berlinowi. Na początku stycznia kanclerz Olaf Scholz musiał się bronić przed zarzutem ze strony posła CDU i eksperta chadecji ds. zagranicznych Rodericha Kiesewettera, że jeszcze przed lutowymi wyborami do Bundestagu zamierza rozmawiać z Władimirem Putinem w Moskwie lub gdzie indziej. Wyjątkowo ostre dementi Scholza pokazuje, jak bardzo niewygodny jest to temat dla kanclerza, który „z jednej strony chce być obrońcą pokoju", jak pisze „Deutsche Welle", a z drugiej nie chce „sprawiać wrażenia, że ugina się przed Putinem". A to, że Niemcy chciałyby osiągnąć ten pokój, najlepiej wcześniej niż później, nie ulega kwestii.

Ponadto Węgrzy odnotowali w czasie swojej prezydencji jeszcze wiele rzeczywistych sukcesów: deklarację w sprawie nowego ładu na rzecz europejskiej konkurencyjności, porozumienie w sprawie przyszłości wspólnej polityki rolnej, otwarcie pierwszych rozdziałów nego-

eprasa.pl cdcd0af3d8

cjacyjnych z Albanią oraz rozszerzenie strefy Schengen o Bułgarię i Rumunię. 7–8 listopada Budapeszt stał się centrum europejskiej polityki dzięki Szczytowi Europejskiej Wspólnoty Politycznej i nieformalnemu posiedzeniu Rady Europejskiej. Łącznie stanowiły one największe wydarzenie w historii węgierskiej dyplomacji zaledwie kilka dni po zwycięstwie Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA. Już to pozwoliło Budapesztowi przełamać rzekomą polityczną izolację w UE.

AMBICJE I POCHWAŁY

W przeszłości pozostałe kraje członkowskie także potrafiły wykorzystać prezydencję, by znacząco wpłynąć na unijną agendę. Weźmy choćby Francję, która 1 stycznia 2022 r. przejęła przewodnictwo w Radzie UE po raz 13 po 1958 r. Prezydent Emmanuel Macron wykorzystał te sześć miesięcy, by próbować narzucić partnerom swój sposób postrzegania europejskiej suwerenności oraz autonomii strategicznej.

9 grudnia 2021 r. Macron przedstawił priorytety i wyzwania francuskiej prezydencji otwarcie nazwane „ambicjami Francji". Obejmowały one ponad 60 priorytetów, od współpracy klimatycznej i cyfrowej po obronność. Największym sukcesem francuskiej prezydencji było utworzenie Europejskiej Wspólnoty Politycznej zrzeszającej państwa UE oraz kraje, takie jak Mołdawia, Ukraina czy Azerbejdżan. Kolejnym było sfinalizowanie Kompasu Strategicznego UE. Stanowi on białą księgę dotyczącą bezpieczeństwa i obrony. Jest to pierwszy tak ważny dokument w tej dziedzinie na poziomie europejskim. Jak możemy przeczytać na stronach Centre for European Policy Studies (CEPS) w Brukseli, Francuzom tak bardzo zależało na forsowaniu idei autonomii strategicznej, że zainicjowali zakrojoną na szeroką skalę kampanię informacyjną „już dwa lata przed prezydencją". „Ogólnie rzecz biorąc, to się opłaciło. Kwestia europejskiej suwerenności stała się bardziej znana i akceptowana w Europie" – czytamy.

Po prezydencji francuskiej nastąpiła czeska, która zresztą była z nią powiązana w tzw. systemie trójek wprowadzonym na mocy traktatu lizbońskiego w 2009 r. W ciągu 18 miesięcy trzy państwa wyznaczają cele i wspólny program prezydencji, który odzwierciedla sześciomiesięczny plan działania każdego z nich. Czesi byli w trójce ze Szwecją i Francją. Jeśli chodzi o Pragę, posypały się pochwały dla gabinetu Petra Fiali. Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel podkreślał aktywność i zaangażowanie Czechów, szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen mówiła o długu, jaki Europa ma wobec nich za tę półroczną pracę, a jej zastępca Frans Timmermans nazwał czeską prezydencję „jedną z najbardziej skutecznych w ciągu kilku ostatnich dekad". I to mimo iż Fiala należy do prawicowej Obywatelskiej Partii Demokratycznej, która w Parlamencie Europejskim jest częścią grupy EKR – tej samej, w której pozostaje PiS. A to wszystko za rekordowo małe pieniądze i z rekordowo szczupłą ekipą. Czesi wydali tylko 2,3 mld koron (ok. 90 mln euro), czyli nawet nie dwie trzecie tego, co 13 lat wcześniej, gdy po raz pierwszy przewodzili Unii. Udało się im m.in. utrzymać jedność w UE w sprawie rosyjskich sankcji i finansowania Ukrainy oraz nie dopuścić do całkowitego załamania europejskiego rynku energetycznego.

HAMILTONOWSKIE MOMENTY

Niemiecka prezydencja w drugiej połowie 2020 r. przyniosła z kolei największy w historii budżet unijny i Fundusz Odbudowy po pandemii COVID-19 o łącznej wartości 1,8 bln euro. A także zgodę unijnych przywódców na redukcję do 2030 r. emisji gazów cieplarnianych o 55 proc., a nie jak dotychczas planowano 40 proc. Przy okazji przeforsowano tzw. mechanizm praworządności, czyli zasada „pieniądze za praworządność". Fundusz Odbudowy został zresztą okrzyknięty „hamiltonowskim momentem" Europy, bowiem aby go sfinansować, konieczne było uwspólnotowienie długów i zaciągnięcie przez UE kredytu.

Oczywiście wszystko to przeforsowała „teflonowa kanclerz" Angela Merkel. Ponadto należy zaznaczyć, że Berlin kurczowo obstawał wówczas przy dialogu z Rosją oraz niespodziewanie przyspieszył negocjacje umowy inwestycyjnej UE–Chiny – ku zaskoczeniu partnerów, którzy nie zostali o tym wcześniej poinformowani. Trudno o bardziej jaskrawy przykład realizacji narodowych interesów za pomocą unijnych mechanizmów. Dla Niemiec Chiny to cenny rynek zbytu, a także miejsce, w które przeniosły się rodzime koncerny, więc Berlin wykorzystał półrocze na czele Rady UE i zamieszanie związane z pandemią, by przeforsować umowę z Pekinem. „Tylko kraje najistotniejsze lub najdynamiczniejsze potrafią wykorzystywać prezydencję do uprawiania »wielkiej polityki« m.in. poprzez pewien wpływ na tempo i priorytety prac przy poszczególnych projektach" – pisze Tomasz Bielecki na łamach tygodnika „Polityka", odnosząc się oczywiście do obecnej polskiej prezydencji.

JABŁKA I WYBORY

Ale czy rzeczywiście tak jest i czy musi tak być? W czasie belgijskiej prezydencji w pierwszym półroczu 2024 r. udało się wykorzystać część zysków z rosyjskich aktywów zamrożonych w Unii na zakup broni dla Kijowa.

Polska jest dużym krajem, jak się wydawało z ambicją bycia liderem regionu. Czy naprawdę nie stać nas na własną agendę polityczną w czasie tej prezydencji? Ani na szczyt w Warszawie? Obecnie wygląda na to, że będzie to prezydencja z dykty. Fasadowa impreza, na której tymczasowy gospodarz będzie się trudził przyklepywaniem wszystkiego, co zostanie mu przedłożone w Brukseli – czy to paktu migracyjnego, czy Zielonego Ładu. W 2011 r. PO zrobiła z polskiej prezydencji (na wyrost) wydarzenie stulecia – „prezydencja" została wybrana nawet słowem roku w plebiscycie Instytutu Języka Polskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Dziś są znaczki pocztowe i dostawa jabłek grójeckich do Brukseli oraz prymat polityki wewnętrznej nad europejską. Jak pisze Piotr Maciej Kaczyński na łamach „GW": „Wybory prezydenckie są absolutnym priorytetem dla polskiego rządu. Przed wyborami polscy negocjatorzy prawdopodobnie będą unikać trudnych tematów, jak dekarbonizacja do 2040 r. czy finał rozmów liberalizujących wymianę handlową z Ukrainą". A prezydencja kończy się 1 czerwca.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Czy Chorwaci przetrwają w Chorwacji?

Chorwacja może stać się kolejnym europejskim krajem, którego obywatele będą cierpieć z powodu konsekwencji bezsensownej polityki migracyjnej swoich elit

Coraz więcej analityków śledzących sytuację migracyjną w tym kraju nad Adriatykiem twierdzi, że w ciągu najbliższych kilku lat Chorwacja będzie musiała stawić czoło poważnym zmianom społecznym i kulturowym, które mogą przynieść takie same problemy „wielokulturowości", jakie w tym momencie już mają kraje zachodnie.

GORAN ANDRIJANIĆ

MIGRACJA I RYNEK PRACY

Problemem jest zarówno migracja nielegalna, jak i legalna. Jeśli mówimy o tej pierwszej, doskonale wiemy, że Chorwacja leży na szlaku bałkańskim, jednym z najbardziej uczęszczanych przez nielegalnych migrantów do Europy Zachodniej. To pierwsze państwo członkowskie Unii Europejskiej położone na północno-zachodnim krańcu tego szlaku. Chcąc udać się na Zachód, uchodźcy muszą przekroczyć terytorium Chorwacji, która od stycznia 2023 r. jest członkiem strefy Schengen. W 2023 r. napływ nielegalnych imigrantów do tego kraju wzrósł o 170 proc. Doszło też do pierwszych poważnych incydentów, a niektórzy politycy domagali się wysłania wojska na granicę. W 2024 r. sytuacja się nie zmieniła.

Teraz nowym problemem staje się legalna migracja. Według spisu powszechnego z 2021 r. liczba Chorwatów zmniejszyła się o prawie 500 tys. osób. Oczywiście główną przyczyną tego spadku jest otwarcie dla nich europejskiego rynku pracy.

Jedną z głównych konsekwencji spadku liczby ludności jest niedobór siły roboczej. Dotychczas rekompensowano go napływem Chorwatów z Bośni i Hercegowiny oraz Serbów. Jednak w ciągu ostatnich dwóch lat zapotrzebowanie na siłę roboczą zostało zaspokojone dzięki pracownikom z Dalekiego Wschodu – Nepalu, Bangladeszu, Pakistanu i Indii. Jest ich coraz więcej, w tej chwili Nepalczycy stanowią najliczniejszą zagraniczną siłę roboczą w Chorwacji – przed Serbami i zaraz za Chorwatami z Bośni i Hercegowiny.

Ogólnie liczba zagranicznych pracowników w Chorwacji stale rośnie. W 2024 r. wydano ponad 200 tys. wiz pracowniczych. Dla porównania – zaledwie trzy lata temu wystawiono 82 tys. takich dokumentów. Szacuje się, że do 2030 r. w Chorwacji może pracować nawet 500 tys. zagranicznych pracowników. Jak na kraj liczący 3,8 mln mieszkańców, to duża liczba.

Cechą charakterystyczną tego procesu jest to, że coraz większa liczba pracowników pochodzi z krajów, które są zupełnie odmienne od chorwackiego społeczeństwa pod wzglę-

Fot. BalkansCat/Shutterstock.com

eprasa.pl cdcd0af3d8

dem kulturowym. Dla porównania – do Chorwacji przyjeżdża 25 razy więcej pracowników z krajów Trzeciego Świata niż do Niemiec (oczywiście w przeliczeniu na liczbę mieszkańców). Większość osób, które przyjechały do Chorwacji za pracą, stanowili do tej pory Chorwaci oraz Bośniacy z Bośni i Hercegowiny lub Serbowie (którzy mimo niedawnej wojny nadal są kulturowo bliscy Chorwatom). Teraz, gdy w chorwackich miastach jest pełno osób wyznania hinduistycznego i muzułmańskiego, może to rodzić poważne problemy. Dodatkowo większość pracowników przybywających do Chorwacji z tych regionów nie mówi ani po angielsku, ani po chorwacku, co również utrudnia ich integrację ze społeczeństwem.

BEZ STRATEGII I REFLEKSJI

Poseł z ramienia partii opozycyjnej MOST Nikola Grmoja uważa, iż rząd Chorwacji, na czele którego stoi centroprawicowa Chorwacka Wspólnota Demokratyczna i premier Andrej Plenković, popełnia niebezpieczne błędy, które będą drogo kosztować.

– Rząd Plenkovicia zniósł ograniczenia liczby wydawanych wiz. Od 2020 r., ostatniego roku, w którym one obowiązywały, do dziś mamy ponaddwukrotny wzrost. Chorwacja musi natychmiast uregulować i ograniczyć tę niekontrolowaną politykę. Nikt nie kwestionuje niedoboru siły roboczej, ale rząd rozwiązuje ten problem bez żadnej strategii i szerszej refleksji nad kulturowymi i społecznymi konsekwencjami. MOST zaproponował więc w parlamencie ponowne wprowadzenie ograniczeń, a także listę krajów, z których importowalibyśmy pracowników zagranicznych – mówi nam Grmoja.

Nasi chorwaccy rozmówcy uważają, że wzrost migracji może stworzyć dwa główne problemy w tym kraju.

Pierwszą kwestią jest oczywiście bezpieczeństwo. Chociaż w kwietniu ub.r. w Zagrzebiu doszło do poważnej bójki między nepalskimi pracownikami, nie ma jeszcze statystyk pokazujących, że wzrost migracji spowodował wzrost liczby przestępstw, ale obywatele odczuwają pewien niepokój w związku z obcokrajowcami chodzącymi ulicami miast w dużych grupach. Mieszkańcy Puli zorganizowali się już w formacje ochotnicze, które patrolują miasto i informują policję o możliwych problemach. Jak wyjaśnili mediom wolontariusze, powodem zorganizowania akcji były informacje o kilku przestępstwach seksualnych, których mieli się dopuścić imigranci. Podobna atmosfera panuje w kilku innych miastach Chorwacji, ale media głównego nurtu opisują te uczucia obywateli jako „ksenofobię" i „rasizm".

Innym problemem jest to, że wzrost liczby zagranicznych pracowników może doprowadzić do poważnych zmian w strukturze narodowej ludności kraju. Emigracja Chorwatów za granicę trwa, a jeśli dodamy do tego rosnącą imigrację ludności zagranicznej, powstaje niebezpieczna kombinacja.

– Z powodu złej polityki Chorwacja jest narażona na zagrożenie bezpieczeństwa w perspektywie krótkoterminowej, a w długoterminowej grozi jej wymiana ludności, co będzie miało poważne konsekwencje dla społeczeństwa – uważa Grmoja. – Chorwacja musi znaleźć rozwiązanie, aby zachęcić Chorwatów do pozostania oraz powrotu do ojczyzny poprzez politykę podatkową, edukacyjną i demograficzną. Ważne jest również, aby porozmawiać z przedstawicielami pracodawców o tym, jak przezwyciężyć niedobór siły roboczej poprzez zwiększenie wynagrodzeń, które będą wystarczające, aby zachęcić do powrotu naszych ludzi. Niekontrolowany „import" cudzoziemców nie jest rozwiązaniem, ale problemem. Przyjmowanie zagranicznej siły roboczej musi być wyjątkiem, z jasnymi zasadami i strategią, która zachowa spójność społeczną, naszą tożsamość narodową, kulturę i sposób życia.

Na koniec naszej rozmowy chorwacki polityk podkreśla: – Chorwacja musi pozostać bezpiecznym krajem, w którym każdy może spacerować po mieście bez strachu, o każdej porze dnia. Musimy unikać scenariuszy Niemiec, Belgii czy krajów skandynawskich.

MOŻNA TO JESZCZE ZATRZYMAĆ

Chorwacki konserwatywny publicysta Ivica Šola również uważa, że polityka HDZ (partii zbliżonej do niemieckiej chadecji) sprawia, że sytuacja związana z napływem imigrantów staje się coraz bardziej niebezpieczna. Twierdzi on, że władze w Zagrzebiu nie zrobiły nic, aby zwiększyć liczbę powrotów Chorwatów z diaspor na całym świecie.

– Polityka imigracyjna w Chorwacji jest katastrofalna. Chorwacja potrzebuje ludzi do pracy, a nie mamy odpowiednich umów podpisanych z Chile, Argentyną i innymi krajami, które są pełne wysoko wykwalifikowanych potomków Chorwatów, którzy przyjechaliby do ojczyzny ojców i dziadów. Nie wiem, czy to niekompetencja państwa, czy celowa polityka. Jednocześnie w dwa tygodnie Pakistańczyk dostaje wizę pracowniczą, a w kilka lat w Chorwacji zbiera się ponad 150 tys. takich nisko wykwalifikowanych pracowników, więc w centrum Zagrzebia słychać huczne świętowanie po „sukcesach" Hamasu w wojnie na Bliskim Wschodzie.

Šola podkreśla, że przemieszczanie się ludności zawsze było naturalnym procesem, ale Europa ma kilka problemów, jeśli chodzi o współczesną migrację i należy o nich jasno mówić.

– Musimy przyznać, że sposób życia dużej część świata islamskiego jest niezgodny z naszą kulturą, o czym świadczy m.in. wzrost przemocy na Zachodzie związany z migracją. Mit wielokulturowości upadł, co przyznała nawet Angela Merkel, ale to spóźniony strach, bo iluzja wielokulturowości i integracji stała się już nowotworem, którego przerzuty są trudne do zatrzymania. Ponadto lewicowe orędownictwo za legalizacją nielegalnej migracji nie jest kwestią humanitarną, lecz bezpieczeństwa. Migracje te nie są właściwie migracjami, lecz raczej inwazjami. Pierwsze dwie inwazje islamu na Europę – jedna na Półwysep Iberyjski, a druga na Półwysep Bałkański – miały charakter zbrojny. To już trzecia, tym razem bezkrwawa inwazja na Europę, która nienawidzi samej siebie i swojego chrześcijańskiego dziedzictwa. Muszę zadać pytanie: gdzie wyparowało 80 tys. bojowników ISIS i podobnych grup dżihadystycznych? Może są naszymi sąsiadami, bo nie wierzę, że zniknęli gdzieś na Saharze – mówi nam chorwacki publicysta.

Jak widać, Chorwacja musi odpowiedzieć na poważne pytania dotyczące swojej przyszłości. Kierunek, w którym podąży, zależy od jej przywódców politycznych. Mają oni okazję zobaczyć na Zachodzie, jakie są konsekwencje podjęcia w tej sprawie błędnych decyzji.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Narcystyczne trucizny

MACIEJ WALASZCZYK

Substancje psychoaktywne uzyskiwane z roślin były obłożone tabu i dawno temu stosowano je do celów kultowych. Nowoczesny świat uzyskał je w laboratorium. Powróciły tysiąc razy silniejsze i są konsumowane masowo, stając się narzędziem destrukcji. W industrialnym społeczeństwie dobrobytu stały się substytutem sukcesu, a także ucieczki

Czesław Miłosz już w 1969 r., mieszkając w Los Angeles, a więc amerykańskiej stolicy psychodelików, stwierdził, że ich powrót do świata Zachodu był zapowiedzią „masowych, demokratycznych środków przeciwko nudzie". Było to trafne spostrzeżenie. Przywołując „Nienasycenie" Witkacego, wspominał o wymyślonej przez niego pigułce Murti-Binga, która zobojętniając na dolegliwości istnienia, jawiła się jako odpowiednik LSD umożliwiający azjatyckim najeźdźcom podbój Europy. Wątpił jednak, by rewolucyjna kontrkultura była dyskretnie wspierana przez Chińczyków (w domyśle sowiecką destrukcję) pragnących osłabić cnoty Ameryki. „Niemniej otwierają się tutaj przed politykami wszelkich kolorów i wszelkich ideologii niezwykłe perspektywy" – twierdził poeta, zauważając, że narkotyki są substancjami o nieobliczalnym znaczeniu społecznym porównywalnym z bronią jądrową. Testowała je CIA, opanował świat przestępczy.

Nie ma wątpliwości, że Sowieci używali ich do dywersji ideologicznej, a kokaina na pewno była nieodłącznym dopalaczem bolszewickiej rewolucji. Dzisiaj wiemy, że produkowany w Chinach fentanyl jako syntetyczny narkotyk służy do destrukcji zachodniego społeczeństwa, zbierając śmiertelne żniwo w USA. Stał się historycznym odwetem Państwa Środka za opiumowe upodlenie, którego ofiarami w połowie XIX w. padła jedna trzecia Chińczyków, a ich starożytny kraj stał się kolonią Zachodu.

MAGICZNE ROŚLINY

W społeczeństwach pierwotnych, plemiennych, archaicznych, tradycyjnych czy po prostu przedindustrialnych stosowanie środków poszerzających świadomość było naturalne. Jak wyjaśniała nieżyjąca już antropolog Marlene Dobkin de Rios, która spędziła 30 lat na badaniach terenowych w amazońskiej dżungli, ich stosowanie nie groziło nadużywaniem. Rośliny były w większości trudno dostępne, podawano je podczas rytuałów, przy zaangażowaniu wszystkich zmysłów, w obecności starszyzny i przywódców religijnych. W ramach praktykowanych obyczajów społeczność była do nich odpowiednio przygotowywana, a jednostka kulturowo modelowana na okoliczność doświadczenia wizyjnego. Podobne wnioski przedstawiał Rudolf Gelpke, opisując swoje relacje z pobytów w Iranie (1956 i 1969 r.), gdy badał tam rolę haszyszu w perskiej duchowości.

W czasach przednowoczesnych psychodeliki były obecne także w świecie Zachodu. Paradoksem jest, że dopiero po wielu stuleciach dzięki kontaktom ze światem, który został przez niego skolonizowany, zostały odkryte ponownie. Dotarły jednak do masowego odbiorcy, okazując się dla współczesnego człowieka potężnymi i groźnymi substancjami. Chodzi oczywiście o prekolumbijskie kultury Ameryki Południowej, które stały się obiektem masowej turystyki narkotycznej. W 1936 r. teoretyk teatru, uczestnik ruchu surrealistycznego Antonin Artaud podczas podróży do Meksyku wziął udział w rytuale pejotlowym Indian Tarahumara. Szybko zrozumiał, że ów budzący jego niepokój magiczny naturalizm bez szwanku oddziaływał wyłącznie na tych Indian, którzy byli zupełnie wolni od wszelkich wpływów europejskiego ducha. On sam, nieprzygotowany na spotkanie z efektem odurzenia, które do końca życia uważał za trzy najszczęśliwsze dni życia, pogrążył się w poważnym kryzysie psychicznym. Ostatecznie porzucił nawet chrześcijaństwo, uważając, że głównym sensem obrzędu było „zniesienie krzyża".

Jak wyjaśnia filozof Andrzej Serafin, dziś zachodni amatorzy takiej turystyki są gotowi płacić krocie tubylczym szamanom za łyk psychoaktywnego napoju wizyjnego dającego im obietnicę doznań duchowych, jakich nie oferuje wyzuta z ducha technokratyczna kultura wyobcowania. Okryli to, co zapewniała rodzima i zapomniana tradycja ateńskiej instytucji misteryjnej, tzw. misteriów eluzyńskich związanych z kultem Demeter i Dionizosa.

POWRÓT PSYCHODELIKÓW

Dietyloamid kwasu lizergowego, czyli LSD, został zsyntetyzowany przez dr. Alberta Hofmanna w 1938 r. w laboratoriach badawczych firmy Sandoz w szwajcarskiej Bazylei. Naukowiec kontynuował badania zapoczątkowane w XIX w. nad działaniem kokainy, herbaty, kawy, morfiny i meskaliny. Chodziło mu po prostu o uzyskanie odpowiednich środków uśmierzających ból, stymulatorów układu oddechowo-krążeniowego czy leków

eprasa.pl cdcd0af3d8

Fot. Shutterstock

psychotropowych. W 1943 r. odkrył, że uzyskał silny półsyntetyczny narkotyk będący produktem grzyba sporyszu działającego na ludzką psychikę już w minimalnej dawce. Przebieg jego pierwszego i przypadkowego doświadczenia z LSD okazał się więc dramatyczny. W 1958 r. uzyskał także psylocybinę, tym razem wyizolowaną z czarodziejskiego grzyba teonanácatla. Choć psylocybina, spokrewniona z substancjami występującymi w naszym mózgu, różni się od serotoniny, ważnego neuroprzekaźnika niezbędnego w procesach myślenia i czucia, posiada zdolność zmian naszej świadomości będącej rdzeniem ludzkiego życia.

Potem okazało się, że odkryte przez Hofmanna czynniki aktywne sporyszu występowały także w kłosach żyta, który w średniowieczu był uważany za narkotyk czarownic. Zostały wykryte także w dzikiej trawie, jęczmieniu i pszenicy uprawianych w starożytnej Grecji, co skłaniało badacza do hipotezy, że eluzyńscy kapłani mogli korzystać z preparatu sporządzanego na jego bazie.

W najnowszym numerze pisma „Kronos" można również znaleźć wybór fragmentów korespondencji, którą Hofmann aż do lat 90. wymieniał z pisarzem Ernstem Jüngerem, autorem książki „Przybliżenia. Narkotyki i upojenie". Obaj przez wiele lat przechodzili inicjacje psychodelikami. Hoffmann pokrótce opisał skutki upojenia minimalną dawką LSD, które dało mu bardzo sugestywne przeżycia objawiające się poczuciem obcości własnego ciała oraz zniesienia poczucia czasu. „Ja umyka, czas staje, przestrzeń albo się zwęża, albo staje się nieskończona" – relacjonował.

W latach 30. filozof i psycholog William James, prywatnie brat pisarza Henry'ego Jamesa, opisywał swoje doświadczenia związane z odurzeniem podtlenkiem azotu, który miał „otwierać całe otchłanie prawdy". Porównywał je do poczucia emocjonalnego pojednania charakteryzującego „ckliwą" fazę upojenia alkoholowego, zwyczaj będącego dla każdego z zewnątrz irytującą niedorzecznością, ale która skłania ludzi do ponawiania jej i pcha ku zgubnemu nawykowi. Jednak działanie narkotyku było po tysiąckroć intensywniejsze niż alkoholu, dzięki czemu James potrafił np. bez problemu

eprasa.pl cdcd0af3d8

zrozumieć logikę heglowskiej tożsamości sprzeczności i przyjąć, że wszelkie poglądy ulegają zespoleniu w jedno.

Doświadczenie z tą samą substancją opisywali również „prorok beatników", a potem hipisów Allen Ginsberg, mówiąc o „anestezji świadomości", czy Humphry Davy relacjonujący pobyt w świecie samych myśli.

PODWAŻONE FUNDAMENTY RACJONALNOŚCI

Jünger już na początku lat 60. był przekonany, że tego rodzaju środków należy próbować najwyżej w małych gremiach i nigdy – wbrew przekonaniu Aldousa Huxleya – nie mogłyby one stwarzać masom możliwości transcendentnych. Obawy te podzielał Hofmann, którego zdaniem halucynogeny nie są panaceum dla każdego, informując w 1963 r. pisarza o pojawieniu się w USA swego rodzaju sekty „LSD-psylocybinowej", której „prorokami" mianowali się profesorowie cieszącego się dużą renomą Uniwersytetu Harvarda. Chodziło oczywiście o wykładowcę psychologii klinicznej Timothy'ego Leary'ego, którego potem prezydent Richard Nixon nazywał „najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Ameryce". Leary nie tylko w nieodpowiedzialny sposób wciągnął w narkotyki wielu studentów, lecz także był pionierem narkotycznej turystyki – najpierw w Meksyku, a potem na Karaibach.

W 1966 r. w San Francisco odbył się pierwszy Trips Festival, podczas którego 10-tys. tłum odurzony trawką i ponczem nasyconym LSD słuchał rodzącej się odmiany psychodelicznego rocka. Tymczasem Hofmann z mieszanymi uczuciami przyjmował informacje na temat popularności psychodelików w kręgach artystyczno-intelektualnych i studenckich, a Leary'emu postawił zarzut propagowania narkotyków wśród młodych. Twierdził, że niedojrzały człowiek nie powinien kształtować swych potrzeb w tym kierunku, a edukacja i zakazy będą najwyżej nie do końca skutecznymi półśrodkami.

Swoje doświadczenia z halucynogenami opisywał też w kilku książkach pisarz i artysta Henri Michaux, ale po meskalinę sięgał dopiero w wieku 56 lat, gdy, jak twierdził, od dawna miał ukształtowane własne mechanizmy obronne.

Halucynogeny wykorzystywane kiedyś przez szamanów, a teraz przez psychiatrów mogą być pomocne jako środki lecznicze w psychoterapii. Ale używane lekkomyślnie prowadzą do gwałtownej zmiany świadomości. Meskalina i psylocybina są czynnymi substancjami uzyskiwanymi z dawnych meksykańskich roślin używanych podczas obrzędów religijnych oraz praktyk leczniczych o charakterze magicznym. Psychodeliki wprowadzają człowieka w rodzaj urojonej rzeczywistości, która jest doświadczana jako zupełnie realna. Wzbudzany przez nie nastrój może być euforyczny, a także depresyjny i wywołujący lęki. W przeciwieństwie do odurzenia alkoholem lub innymi narkotykami stan ekstazy pod wpływem LSD okazywał się całkowicie świadomy i pozostający w pamięci. To dlatego trudne do opisania słowami przeżycia indukowane halucynogenami mogły się jawić jako mistyczne, a odkryte w nierozważny sposób podważyły fundamenty rozumu człowieka Zachodu.

> Dzisiaj wiemy, że produkowany w Chinach fentanyl jako syntetyczny narkotyk służy do destrukcji zachodniego społeczeństwa, zbierając śmiertelne żniwo w USA. Warto wiedzieć, że dotarł do Polski

SUBSTYTUT SUKCESU I KONSUMPCJI

Wzrost konsumpcji narkotyków w ciągu ostatnich dekad ma przyczynę socjologiczną. W industrialnym społeczeństwie dobrobytu stały się one substytutem misterium i ucieczki. Świadczą o tym statystyki dotyczące uzależniania od heroiny, morfiny, syntetycznych opiatów, środków uspokajających, nasennych, antydepresyjnych. Wiele lat temu do takiego wniosku dochodził również odkrywca LSD, który wprowadzał konieczne rozróżnienia pomagające zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Wskazywał, że opiaty posiadają właściwości uzależniające i dopiero ich nadużywanie ujawnia ich szkodliwe skutki. Halucynogeny, takie jak LSD czy pochodzenia roślinnego, np. wilcza jagoda, mandragora albo różnego rodzaju grzyby psylocybinowe nie wykazują cech uzależniających. Jednak ich niebezpieczeństwo wynika ze stosowania ich bez opieki lekarskiej i pojawienia się u zażywających trudnych do pokonania stanów lękowych. Ich – jak pisał Hofmann – „demoniczne oddziaływanie" jest tak silne, że prymitywne ludy nałożyły na nie swoiste tabu.

„Święte rośliny" mogły być używane wyłącznie przez kapłana w ramach obrzędów kultowych, ale nigdy nie służyły prywatnej intoksykacji. Jednak w zorientowanej na powszechną trzeźwość, ale pozbawionej dawnych tabu i dążącej do wyeliminowania wszelkich ograniczeń liberalnej kulturze Zachodu wszelkie merytoryczne próby ograniczeń i przestrogi przed niebezpieczeństwami okazały się nieskuteczne.

Zdaniem filozofa Petera Sloterdijka zsekularyzowana kultura Zachodu od setek lat jest oparta na dążeniu do trzeźwości. O ile jednak katolicyzm oferuje światu sakrament boskiej partycypacji bez halucynacji, o tyle rewolucja protestancka doprowadziła do jego demontażu. Nowoczesna dusza została więc wypędzona z „raju ekstatycznego uczestnictwa", a kalwińska nowoczesność ofiarowała jej substytut w postaci kultu pieniądza i ziemskiego sukcesu. Zdaniem filozofa to m.in. dlatego heroina jest dziś narkotykiem zastępczym dla „narkotyków zastępczych", czyli osobistego sukcesu i zwycięstwa. „Poprzewracało się w głowach z dobrobytu" – słyszymy od dziecka od starszych. Jest w tym wiele prawdy.

Na podstawie „Psychonautyka", „Kronos" 2024, nr 2 (169)

eprasa.pl cdcd0af3d8

Wprawdzie Nicole Kidman nie zdobyła Złotego Globu za rolę w „Babygirl", ale odważnie prezentując się – zarówno na ekranie, jak i na czerwonym dywanie – po raz kolejny pokazała, że nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa

Aktorka nieustraszona

Fot. MZFilms

eprasa.pl cdcd0af3d8

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

„Potrzebowałam aktorki absolutnie nieustraszonej. To musiała być ona" – podkreśla reżyserka i zarazem scenarzystka „Babygirl" Halina Reijn. Ekranową historię tworzyła z myślą o Nicole Kidman, a ta nie ukrywa, że nigdy wcześniej tak bardzo nie odsłoniła się przed kamerami. Choć ma już na koncie role (takie jak Alice z filmu „Oczy szeroko zamknięte" Stanleya Kubricka) wymagające od niej odwagi w fizycznym, a przede wszystkim psychicznym obnażeniu. „To było jak rzucenie się z klifu. Odłączenie wszystkiego, co znam i skok w przepaść" – wspomina Kidman. I zaraz dodaje: „Ale z ludźmi, którym ufam".

W PARZE Z GWIAZDĄ

Na ekranie partnerują jej Antonio Banderas oraz 28-letni Harris Dickinson, znany m.in. z filmu „Bracia ze stali" czy nagrodzonego Złotą Palmą obrazu „W trójkącie". W zapowiadanej przez Sama Mendesa filmowej tetralogii o Beatlesach ma zagrać Johna Lennona. W „Babygirl" stworzył gorącą relację z bohaterką, w którą wcieliła się dwukrotnie od niego starsza partnerka, kinowa gwiazda z imponującym dorobkiem.

Nicole Kidman zagrała w blisko 90 produkcjach. Do prestiżowych nagród była nominowana ponad 130 razy (!). Odebrała przeszło 30 statuetek, w tym – tę najważniejszą – Oscara w 2003 r. (za pierwszoplanową rolę w dramacie „Godziny"). Złoty Glob trafił do niej pięciokrotnie (i to główne za kobiece role w „Lucy i Desi", 2022; serialu „Wielkie kłamstewka", 2003; „Godzinach", 2003; „Moulin Rouge!", 2002; „Za wszelką cenę", 1996). W sumie była nominowana do tej nagrody 16 razy, także za kreacje w „Między światami" (2010); „Wzgórzu nadziei" (2003) i pełnym napięcia dramacie „Inni". Pytana, do którego z filmów chciałaby powrócić po latach, wskazała właśnie ten tytuł, jego reżysera Alejandra Amenábara i ekranową postać Grace – matkę dwójki dzieci „uczulonych" na światło dzienne (dlatego rodzina całymi dniami funkcjonuje w mroku). „Czuję, że ten film nie został odpowiednio doceniony" – mówiła w rozmowie z „The Guardian", stawiając postać Glorii ponad bohaterki, które przyniosły jej globalny poklask – Wirginię Woolf (z „Godzin" Stephena Daldry'ego), Suzanne Maretto („Za wszelką cenę" Gusa Van Santa) czy artystkę kabaretową Satine z musicalu „Moulin Rouge!" Baza Luhrmanna.

HOLLYWOODZKA SUBSTANCJA

Przyjęcie roli w „Babygirl" było dla Kidman rodzajem manifestu. Nie tylko w kwestii równouprawnienia aktorek 50+ (w tym nurcie wpisałaby się w ton wypowiedzi Demi Moore, nagrodzonej Złotym Globem za rolę w „Substancji"). Udział w „Babygirl" nie był też – jak uważają kąśliwi komentatorzy – próbą pokazania zwycięskiego zderzenia dojrzałej atrakcyjności z młodzieńczą witalnością ekranowego partnera oraz potwierdzenia efektów kolejnych chirurgiczno-medycznych ingerencji w obecny wygląd aktorki.

Fot. MZFilms

eprasa.pl cdcd0af3d8

Ci, którzy zżymają się na botoksową sztywność rysów czy chorobliwą smukłość aktorki (podczas tegorocznej gali Złotych Globów podkreśloną zjawiskową kreacją od Balenciagi), będą pewnie zarzucać „sztywność" także jej najnowszej roli, ale do podobnych, z góry założonych opinii, Nicole Kidman wydaje się już przyzwyczajona.

ODWRÓCONE SCHEMATY

Reżyserka Halina Reijn podkreśla, że „Babygirl" łamie hollywoodzkie schematy, gdzie nie brak związków starszych mężczyzn z młodszymi kobietami. Filmowa Roma, wpływowa dyrektor generalna, ryzykuje karierę i rodzinny spokój, gdy zaczyna namiętny romans z dużo młodszym mężczyzną.

„Wierzę, że ten film jest wyzwalający" – podkreśla Kidman w wywiadzie dla „The Hollywood Reporter". „Moja postać osiągnęła etap, w którym ma władzę, ale nie jest pewna, kim jest, czego chce, czego pragnie, mimo że wydaje się, iż ma wszystko".

Choć przesłanie i ekranowy efekt „Babygirl" przyniosły już Nicole Kidman m.in. Puchar Volpiego dla najlepszej aktorki na festiwalu w Wenecji oraz nominację do Złotych Globów, nie zdobyła tej ostatniej statuetki. Zwyciężczynią została brazylijska aktorka Fernanda Torres (za rolę w produkcji Waltera Sallesa „Wciąż tu jestem"). Pokonała silną konkurencję – oprócz Nicole Kidman także Angelinę Jolie, Kate Winslet, Tildę Swinton i Pamelę Anderson.

WŁASNE ŚCIEŻKI

Medialny szum wokół roli w filmie „Babygirl" nałożył się na niełatwe życiowe doświadczenia Nicole Kidman. Osoby, która od lat udowadnia, jak cenne i ważne są dla niej relacje rodzinne. Aktorka nie odebrała statuetki w Wenecji, bo tuż przed ceremonią wyjechała z Włoch. Powodem była śmierć jej mamy.

„Dzięki niej miałam w sobie zapał do rozwijania kariery i pokonywania trudności" – podkreśla we wcześniejszych wypowiedziach. „Bardzo zależało jej na tym, aby jej córki miały możliwość wytyczania sobie własnych ścieżek. Jestem jej za to niesamowicie wdzięczna" – dodaje.

Kidman wspomina, że w przełomowym dla niej momencie to mama pomogła jej znaleźć balans między oczekiwaniami Hollywood, aktorskimi ambicjami a rodziną. Odwiodła ją od porzucenia aktorstwa, gdy w 2008 r. po narodzinach córki Sunday Rose była gotowa zrezygnować z kariery. Usłyszała wtedy: „Na twoim miejscu nie rezygnowałabym całkowicie". „Słowa wsparcia pochodziły od kobiety, która nie miała takich możliwości, jakie miałam ja, a która pomogła je stworzyć swoim córkom" – podkreśla gwiazda.

Z SYDNEY DO HOLLYWOOD

Urodziła się w Honolulu na Hawajach. Zaraz potem jej rodzice przeprowadzili się do Waszyngtonu, gdzie ojciec dostał posadę przy badaniach nad rakiem piersi. Trzy lata później rodzina przeniosła się do Sydney. To tam Nicole jako trzylatka rozpoczęła lekcje baletu, potem w wieku ośmiu lat – pantomimy i dziesięciu – aktorstwa.

Z ulicznego teatru trafiła do telewizji i szybko stała się jej młodocianą gwiazdką. W 1989 r. zagrała główną rolę w kinowym thrillerze „Martwa cisza". Rok później jako 23-latka zadebiutowała w Hollywood. Na planie filmu „Szybki jak błyskawica" poznała Toma Cruise'a. Pobrali się w Wigilię Bożego Narodzenia 1990 r. Po kilku latach adoptowali dwójkę dzieci: Isabellę (Bellę), która urodziła się w 1992 r., i Connora (ur. 1995 r.). Byli jedną z najpopularniejszych par Hollywoodu, ale ich związek zakończył się w atmosferze skandalu, podsycanej najpierw relacjami z planu „Oczu szeroko zamkniętych", a potem „Vanilla Sky", gdzie Cruise poznał Penélope Cruz.

WYJŚCIE Z CIENIA

W czasie trwania małżeństwa Kidman długo pozostawała w cieniu męża. Pokazała na co ją stać w 1995 r. w filmach „Batman Forever" oraz „Za wszelką cenę". Jednak to nakręcony rok później „Portret damy" w reżyserii Jane Campion udowodnił, jak dobrą potrafi być aktorką.

W 1995 r. magazyn „People" umieścił ją w pięćdziesiątce najbardziej intrygujących ludzi świata. Cztery lata później trafiła na listę „najpiękniejszych". Do dziś stara się udowadniać, że nie tylko uroda była (i jest) jej atutem. Wybiera bardzo różne role. Nie zawsze trafnie, ale i dzięki takim decyzjom wciąż się rozwija. Od lat potrafi też oddzielić życie prywatne od zawodowego. I umie podnosić się po bolesnych doświadczeniach.

Efektem rozwodu – którego zażądał Cruise – było (z czasem całkowite) odcięcie Kidman od adoptowanych dzieci. Pozostały z dawnym mężem i w kontrowersyjnym Kościele scjentologicznym (Kidman jest praktykującą katoliczką).

Australijka najpierw wróciła do kina – dzięki brawurowej roli w „Moulin Rouge!" i kolejnym kreacjom (m.in. w filmach: „Inni", „Godziny", „Wzgórze nadziei", „Dogville", „Żony ze Stepford"). W 2006 r. wyszła za muzyka country Keitha Urbana. Mają dwie córki, Sunday Rose (2008) i Faith Margaret (2010, urodziła ją matka zastępcza). Po latach w wywiadzie dla „Vanity Fair" aktorka wyznała, że dwukrotnie nie donosiła ciąży (zdarzyło się to także w pierwszym małżeństwie).

GORĄCE TEMATY

Dziś mieszka z rodziną na farmie w Nashville. Blisko dekadę temu założyła firmę producencką (dzięki której powstał m.in. serial „Wielkie kłamstewka"). W 2017 r. w Cannes, gdzie promowała m.in. „Na pokuszenie" Sofii Coppoli i „Zabicie świętego jelenia" Yórgosa Lánthimosa publicznie oświadczyła, że przynajmniej raz na 18 miesięcy zagra w projekcie reżyserowanym przez kobietę. I realizuje tę obietnicę. W filmie „Gorący temat" (2019) włączyła się w ruch #MeToo.

Poza filmowym planem jako wieloletnia ambasadorka dobrej woli ONZ bierze udział w kampaniach przeciwko przemocy domowej. Regularnie organizuje zbiórki charytatywne, które wspierają finansowo badania naukowe nad rakiem piersi. I niezależnie od upływu lat oraz komentarzy na temat jej wyglądu wciąż gra.

eprasa.pl cdcd0af3d8

3 MIŁOŚCI

Statystyka i demonologia

ROBERT TEKIELI

Według WHO w ub.r. w wyniku aborcji życie straciło 73 mln dzieci. W czasie II drugiej wojny światowej co roku ginęło 12 mln ludzi. W wyniku aborcji ginie zatem sześć razy więcej osób niż każdego roku tej wojny. To niewyobrażalne. Dziś spod serc matek wyrywa się sześć razy więcej dzieci, niż ginęło ludzi w czasie najkrwawszego konfliktu w historii ludzkości.

Aborcja od dekad jest główną przyczyną śmierci na świecie. Siedmiokrotnie mniej osób umiera na raka, jeszcze mniej na choroby płuc czy AIDS.

Gdyby nie aborcja, nie byłoby kryzysu demograficznego na Zachodzie. W 2021 r. we Francji przyrost naturalny wynosił 80 tys. osób, aborcji było 240 tys. Przyrost naturalny w Niemczech jest ujemny. Co roku rodzi się tam o 90 tys. osób mniej, niż umiera. Liczba aborcji to 100 tys. We Francji i Hiszpanii zabijane jest co czwarte poczęte dziecko, w Niemczech co siódme. Zachód nie byłby pogrążony w kryzysie demograficznym, gdyby nie aborcja.

Gdyby nie aborcja, nie byłoby też kryzysu migracyjnego. Lewicowo-liberalne zachodnie elity nie miałyby pretekstu do sprowadzania do Europy milionów niechcących się asymilować młodych muzułmanów. W Wielkiej Brytanii nie zgwałcono by 250 tys. dziewczynek. Nie byłoby większości zamachów terrorystycznych, w których w XXI w. poszkodowanych zostało ponad 20 tys. osób.

W ciągu ostatnich 100 lat na całym świecie w wyniku aborcji zabito 3 mld dzieci. Te szacunki mają duży margines błędu, więc podaję najniższą liczbę. Według danych WHO w ciągu czterech dekad w latach 1973–2013 unicestwiono 1,72 mld istnień. Najbardziej precyzyjne dane mamy za ostatnie 35 lat i są one najbardziej przerażające. W latach 1990–2024 zamordowano 1,88 mld nienarodzonych. To zsumowane populacje Włoch, Wielkiej Brytanii, Francji, Turcji, Niemiec, Japonii, Rosji, Brazylii, USA, Indonezji, Nigerii i Pakistanu.

WHO szacuje, że co czwarta ciąża na świecie kończy się aborcją. Codziennie zabijanych jest 200 tys. dzieci. Jakbyśmy w 12 miesięcy wymordowali Toruń. To nie statystyka. To demonologia.

Okresem, w którym w Polsce obowiązywało niczym nieograniczone prawo do aborcji na życzenie, była okupacja hitlerowska. Adolf Hitler chciał zmniejszenia liczby polskich rodzin. W tym samym czasie w Niemczech kobieta była karana śmiercią za dokonanie aborcji. W latach 1956–1993 r. w Polce aborcja znów była praktycznie na życzenie, wystarczyło przedstawić zaświadczenie o trudnych warunkach życia kobiety.

W latach 1980–1992 odnotowano 1,32 mln legalnych zabiegów. Nielegalnych było przynajmniej tyle samo. Według najskromniejszych szacunków w czasach PRL w wyniku aborcji straciło życie 7, może nawet 9 mln dzieci. Każda z tych śmierci była ciężkim grzechem. To nie są liczby, to demonologia.

Jak wielki ciężar odciska się na polskiej duszy?

Urodziłem się 16 lat po wojnie i dorastając, czułem jej brzemię spoczywające na każdej polskiej rodzinie. 6 mln zamordowanych. Ten smutek, ten ciężar odczuwał każdy wrażliwy człowiek. Tak samo jest z milionami ofiar aborcji.

Już kilkutygodniowe dziecko nawiązuje z matką komunikację hormonalną. Te więzi wzmacniają się każdego kolejnego dnia, ich brutalne przerwanie powoduje, że matki abortowanych dzieci po ich zabiciu cierpią fizycznie i duchowo. U kobiet wiąże się to ze wzrostem wskaźników lęku, depresji, prób samobójczych, nadużywania alkoholu i narkotyków. Większość z nich po aborcji odczuwa smutek i silne poczucie winy. Cierpią na patologiczną żałobę prowadzącą do rozpaczy, bo trudno przeżyć żałobę po kimś, kto nie miał imienia, kogo się nie widziało i kto nie miał pogrzebu. Po przerwaniu ciąży kobieta już nigdy nie będzie taka sama.

Aborcja ma też wpływ na jej partnera i żyjące dzieci. Związki się rozpadają albo popadają w oziębłość, zaburzeniu ulega sfera seksualna. U dzieci jako skutek aborcji w rodzinie pojawia się lękowe postrzeganie świata. Konsekwencje natury psychologicznej czy psychosomatycznej może również ponosić personel medyczny, który bierze udział w takich zabiegach.

Są też potężne konsekwencje duchowe. Indywidualna posługa kapłana w takim przypadku polega na modlitwie o uwolnienie i uzdrowienie wewnętrzne, które umożliwi kobiecie otwarcie się na miłosierdzie Boże.

A co z naszą wspólnotą narodową? Rani ją każdy grzech. Tak jak każda rodzina, w której miała miejsce aborcja, cały naród niesie na sobie ciężar śmierci – większy niż po II wojnie światowej. Aborcyjna trauma wpływa na psychiczną równowagę społeczeństwa. Rani duszę narodu. Żyjemy z wielkim brzemieniem na sercu. Módlmy się o uwolnienie i uzdrowienie Polski i Polaków. O spętanie demona cywilizacji śmierci.

eprasa.pl cdcd0af3d8

WOJNA CYWILIZACJI

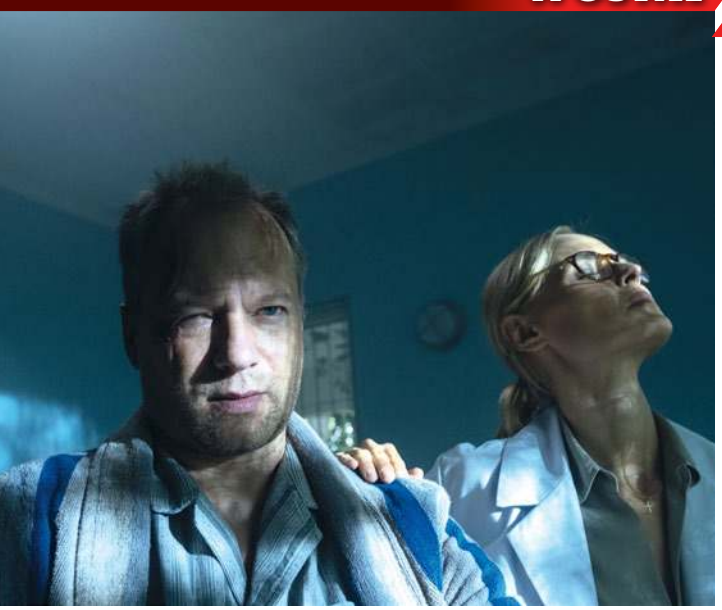

POPKULTURA

Warte Serial *„Szadź”*, o którym wcześniej słyszałem pochlebne opinie, obejrzałem jednym ciągiem, cztery sezony. I nie poczułem się zawiedziony. Co trudne do osiągnięcia w przyjętej przez twórców formule, w której zabójca jest nam znany od początku, a widzów zaskakują zwroty akcji, które przygotował w swej piekielnej inteligencji, wyprzedzając ścigających go o dwa, a czasami trzy kroki. Oprócz ciekawej intrygi o atrakcyjności „Szadzi” stanowi obsada. Doskonały jest duet Maciej Stuhr, psychopatyczny teolog i wykładowca, oraz obsesyjnie go ścigająca policjantka, silna i krucha Agnieszka Polkowska.

W pewnym momencie zostałem wciągnięty w grę ze scenarzystami i reżyserami serialu: w jaki sposób można napisać kolejny sezon, nie przekraczając granic realizmu w sytuacji, w której odciski palców i DNA sprawcy są znane każdemu policjantowi w kraju? Przyznam, że zaskoczyli mnie twistem ostatniego sezonu. Szczególnie ciekawie toczy się w nim historia w szpitalu psychiatrycznym, gdzie dostajemy maluteńką porcję humoru. „Pan sobie ze mnie żartuje” – mówi jeden z pacjentów pytany przez lekarza o poważne sprawy. „Nie, proszę pana, ja jestem wariatem, sam pan mnie diagnozował...”. Ale to zupełny margines.

W jednej z produkcji Monty Pythona jest genialna scena, w której widzimy kilkunastu wieszczących religijnych oszołomów, jeden z nich opowiada historie najbardziej niestworzone i okazują się one dokładnym opisem dziejących się właśnie kosmicznych zmagań bodaj z UFO. Ten obraz przypomniał mi się przy okazji sceny, w której śmieszny, nieprzystający do „normalnego” życia język ortodoksyjnej religijnej wspólnoty okazuje się najlepszym opisem czystego zła czynionego przez paranoicznego, seryjnego zabójcę.

Serial naprawdę jest mroczny. Zanurzamy się w otchłań. W umysł psychopaty. Słowa „cyniczny” albo „wyrachowany” są nie na miejscu, wręcz śmieszą. Gdy bowiem zbyt długo patrzysz w tę ostateczną otchłań, ona zaczyna patrzeć na ciebie.

Fot. Netflix, MAX, Amazon Prime

POPKULTURA

Warte Serial *„Tom Clancy's Jack Ryan”* jest, jak wskazuje tytuł, adaptacją serii książek Toma Clancy'ego o genialnym analityku CIA Jacku Ryanie, dodajmy – luźną adaptacją. Clancy to klasyk gatunku political fiction, jego najlepsze historie pochodzą z czasów zimnej wojny oraz konfrontacji między USA a Związkiem Sowieckim i dziś nie zawsze się bronią. To chyba jedyna większa wada tej produkcji. Nakręcona z rozmachem niemalże filmowym, upraszczająca świat globalnych konfliktów jedynie na tyle, na ile wymaga tego rozrywka, z głównym bohaterem świetnie zagranym przez Johna Krasinskiego. Najlepszy jest wątek związany z islamskim terroryzmem. Świetnie zagrało chwilowe przeniesienie akcji do Francji. Choć tu twórcy pozwolili sobie na potężną złośliwość, pokazując funkcjonariusza miejscowego SWAT strzelającego w głowę terrorysty w kamizelce samobójcy. Ciekawie też został zarysowany wątek birmańskiej mafii, która nie organizuje się na zasadzie etnicznej, lecz jest czymś na podobieństwo profesjonalnej wspólnoty piratów czy wikingów.

„Tom Clancy's Jack Ryan” nie jest serialem wybitnym, ale bardzo dobrym i jeśli ktoś lubi kino sensacyjne, absolutnie się nie zawiedzie. Wprost przeciwnie.

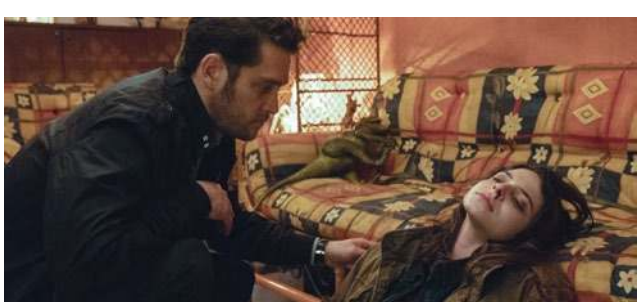

POPKULTURA

Niewarte Ostatnio pochlebnie pisałem o powieści F.G. Haghenbecka *„Diablero”*. Niestety o jej filmowej adaptacji nie da się powiedzieć nic dobrego. Ton wybrany przez twórców serialu kompletnie nie pasuje do opowiadanej historii. To, co broni się w książce, w obrazku wygląda na horror kategorii D. To, co w powieści było ogrywane sarkazmem czy ironią, w serialu umiera w spazmach dosłowności jak pacynka szczura animowana gorzej od wiekowych gremlinów. Książkowe zatrważające starcia demonów w serialu wyglądają jak MMA dla ubogich, na dodatek w stylistyce „Cudownej lampy Aladyna”. Do tego aktorzy bez charyzmy, a w efekcie katastrofa. Trzymać się z daleka.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl cdcd0af3d8

Historia powrotu na szczyt

Druga część antologii twórczości Krzysztofa Krawczyka zawiera zbiór głównie późniejszych piosenek słynnego piosenkarza instytucji. Są one dowodem na to, że po powrocie ze Stanów Zjednoczonych w latach 90. XX w. potrafił od nowa, choć nie bez problemów, triumfalnie znów wspiąć się na szczyt. Nie krocząc drogą taniego kiczu, choć były i takie pokusy. Wiele z tych szlagierów brzmi więc nowocześnie i świeżo („Tylko ty, tylko ja – ze sobą i dla siebie"). Krawczyk był bowiem artystą wrażliwym, dysponującym charakterystycznym i głębokim barytonem, i współpracował z bardzo dobrymi muzykami oraz kompozytorami.

Płyta zawiera także sześć premierowych nagrań. Wśród nich jest m.in. nostalgiczny „Słowik" do tekstu Leonarda Cohena czy zamykająca krążek ujmująca „Dziewczyna ze skrzypcami" autorstwa wybitnej skrzypaczki Katarzyny Szubert. Po 18 latach mamy też premierę „Negatywu. (Z przypływów i odpływów)" z muzyką Seweryna Krajewskiego. Antologia zawiera oczywiście przeboje, m.in. piosenkę „Bezsenni", miłosny duet zaśpiewany wspólnie z Katarzyną Nosowską, a „Zaufaj sercu – jeszcze raz" oraz „Nowy Jork – dochodzi chyba piąta" dwa utwory delikatnie osadzone w stylistyce amerykańskiego rapu. Płyta jest więc bardzo różnorodna, bo wbrew pozorom Krawczyk po rozstaniu z Trubadurami na początku lat 70. robił wszystko, żeby nie dać się zaszufladkować, próbował różnych stylistyk, łamał konwencje. Na to, co robił, miał też wpływ kompozytor Wojciech Trzciński. To on napisał „Byle było tak" do tekstu Jerzego Kleynego, a więc przebój, który przekonał sceptyków uważających, że Krawczyk to „popłuczyny po Trubadurach", z premedytacją robiąc z niego polskiego Toma Jonesa.

Na płycie znajdziemy też zaskakującą wersję jego pierwszego solowego przeboju pt. „Byłaś tu", którą przed laty stworzył Ryszard Poznakowski. Teraz, chcąc oddać hołd przyjacielowi, nadał jej nowy kształt. Na słowa „Byłaś tu, widziałem przecież twoje oczy" Poznakowski wraz z Piotrem Kuźniakiem, który kiedyś zastąpił Krawczyka w Trubadurach, odpowiedzieli nowym tekstem: „Byłeś tu, na środku sceny w blasku światła / Byłeś tu, z nami całe lata / Byłeś tu, na złe i dobre wśród przyjaciół / Niby nic, a tak wiele znaczy".

Krzysztof Krawczyk, „Po prostu Krawczyk. Antologia przebojów vol. 2", Sony Music Entertainment 2024

Maciej Walaszczyk

Kino prawdziwsze od prawdy

Miłośnicy kina Wernera Herzoga z pewnością znajdą tutaj poręczny pomocnik po jego opowieściach, uzyskując możliwość nieco dokładniejszego wniknięcia w fabuły „Kaspara Hausera", „Aguirre'a, gniewu Bożego" czy „Fitzcarralda". W grudniu w kinach studyjnych pokazano m.in. i tę epopeję nakręconą w 1982 r. w amazońskich głębiach Peru. Tytułowy bohater uosabiany przez szalone „ego" Klausa Kinskiego chce zbudować operę w dziczy Iquitos. To, co widzimy, nie jest jednak dżunglą z folderów organizatorów ekowycieczek, ale miejscem dzikim, pełnym okrucieństwa, nędzy i Indian uzbrojonych w zatrute strzały. Herzog wspominał, że jeden z nich wyraził wówczas obawę, że kamera ukradnie mu duszę. I choć go uspokajał, to prywatnie przyznawał mu rację.

Kino było dla niego medium pozawerbalnym. Każdy, kto widział choć jeden z tych filmów, dobrze wie, na czym polega jego poetyka „ekstatycznej prawdy". Warto przypomnieć, w jakich warunkach się ono pojawiło. Powojenne kino niemieckie z konieczności było próbą przezwyciężenia ideologicznego monumentalizmu, któremu patronował minister propagandy Josef Goebbels. Część twórców, np. czołowy przedstawiciel ekspresjonizmu Fritz Lang, nie chciał się na to zgodzić, wybierając emigrację. Po wojnie nastąpiła więc denazyfikacja likwidująca nazistowską kinematografię, a jednocześnie niemiecka tradycja filmowa, którą symbolizował Lang, została zerwana. W konsekwencji producenci natychmiast zaczęli naśladować wzorce amerykańskie. Twórczość Herzoga była jednak dowodem na opór wobec Hollywood i żywotność filmu europejskiego. To właśnie on jako jeden z pierwszych nawiązał do tradycji ekspresjonistów lat 20. XX w., inspirując się również twórczością francuskiej Nowej Fali. W niektórych dziełach wprost odnosił się do wcześniejszej tradycji – niemieckiego romantyzmu. Jak podkreśla w posłowiu Monika Muskała, jego patronami duchowymi byli Novalis, Hölderlin czy Büchner. Dlatego odmieńcy, tacy jak Stroszek i Kaspar Hauser, zdają się u niego jedynymi normalnymi istotami w anormalnym społeczeństwie. Ten ostatni zderza się przecież z racjonalnym porządkiem i nieustannie go podważa. Herzog uważał bowiem, że zadaniem sztuki jest dotarcie do prawdy ukrytej pod powierzchnią rzeczy i spraw, trudno uchwytnej i ekstatycznej. Zgodnie z nietzscheańskim postrzeganiem sztuki jako kłamstwa, które jest prawdziwsze od prawdy.

Werner Herzog, „Nowele filmowe", PIW 2024

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

eprasa.pl cdcd0af3d8

Mistrz politycznej maksymy

Kolejne już polskie tłumaczenie tekstów Ernsta Jüngera jest tym razem opatrzone jego eseistycznym wstępem, przekładem aforystyki politycznej, filozoficznej oraz zbioru anegdot Antoine'a Comte'a de Rivarola. Już kiedyś prezentowano je we fragmentach na łamach nieodżałowanego „Stańczyka", a ich autora określano jako „Woltera prawicy". Na przełomie XVIII i XIX w. Rivarol zaliczał się bowiem do grona młodych antyrewolucyjnych konserwatystów, takich jak de Maistre, Bonald, Chateaubriand. Dostrzeżone analogie historyczne „rewolucyjnych wstrząsów" 1918 r. (upadek cesarstwa), 1933 r. (dojście narodowych socjalistów do władzy), a potem 1945 r. (klęska Niemiec i denazyfikacja) były powodami, dla których Jünger, literacki stylista, a zarazem czujny obserwator polityki, zainteresował się jego myślą. Już po wojnie stał się zresztą dla samych Francuzów jednym z najwybitniejszych pisarzy minionego wieku, a aforystykę Rivarola studiował, pełniąc służbę wojskową w okupowanym Paryżu. Prace nad przekładami skłoniły go potem do wymiany listów z Carlem Schmittem i Martinem Heideggerem, o czym wspominają osobiste komentarze tłumacza i drobiazgowa relacja na ten temat zamieszczona przez autora polskiego przekładu prof. Wojciecha Kunickiego.

Rivarol to jeden z najprawdziwszych polemistów 1789 r. i kontrrewolucjonista, paradoksalnie najlepiej rozumiejący lekcję odebraną z lektury pism encyklopedystów. Dzięki temu potrafił słowem stawić opór rewolucji, i to w czasie, gdy znajdowała się u szczytu potęgi. W formie maksym demaskuje jej istotę, choć chyba najtrafniej czyni to za pomocą jednej z anegdot na temat księżnej sądzącej, że wybatożenie królowej mogłoby przerwać rewolucję. W odpowiedzi Rivarol zapytał ją tylko, co się stanie z księżnymi, gdy już zostanie ubiczowana królowa? Jego „Dziennik polityczny i narodowy" oraz „Almanach wielkich ludzi rewolucji" do dziś są trudno dostępnymi perełkami. Świetnie znał antyczną literaturę, historię, myśl Dantego, Pascala i Augustyna, rozumiał społeczną i polityczną rzeczywistość epoki, w której żył.

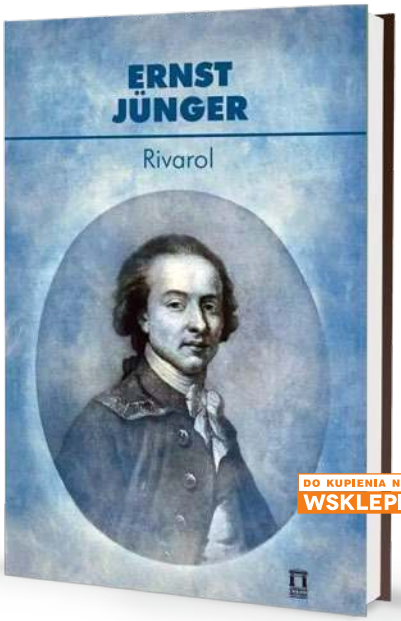

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

„Konserwatywność nie trwa przy tym, co było wczoraj, ale jest życiem na gruncie tego, co obowiązuje zawsze. A »zawsze« nie podlega władzy czasu" – twierdzi Jünger, przywracając myśl Rivarola, „Woltera prawicy"

Swój styl szlifował w wymagającej błyskotliwości salonowej konwersacji („nasze rozmowy były na tak wysokim poziomie, że szpice konali z nudów"). Dzięki niej wykształcił styl elegancki, lekki, pełen aluzyjności, improwizacji i ironii, ale nigdy polemicznego efekciarstwa. Rivarol nie był bowiem antyrewolucyjnym radykałem, lecz świadkiem rewolucji dostrzegającym zalążki procesów poprzedzających szturm na Bastylię („król ograniczający się do bycia człowiekiem honoru wzbudza jedynie litość").

Z rewolucji francuskiej rozlewa się potem seria „globalnych wstrząsów", która nie tylko w epoce Jüngera, lecz także w naszych czasach triumfuje w skali planetarnej. Dostrzega, że już wtedy rewolucja korzysta ze zdobyczy techniki umożliwiających sprawną organizację masowego terroru. Dysponuje nowymi środkami, które potem wzbogacą wyrafinowanie nowoczesnych prześladowań np. w obozach koncentracyjnych. Za pomocą środków przekazu technika zwiększy też kontrolę nad życiem i językiem. Paryż odnosi zwycięstwo nad prowincją i królem, rozpoczynając tym samym warunkowanie historii przez wielkomiejskie masy i ich pojęcia.

A jaki program polityczny stoi za namysłem Rivarola? Jak wyjaśnia Jünger, nie pragnie on rekonstrukcji dawnych form państwowych, ale skłania się do zachowania więzi z przeszłością i budowania ładu społecznego na podstawowych koturnach dawnej kultury. Namawia raczej do odnajdywania tego, co ponadczasowe i leżące u podwalin wszelkiego ładu. „Zmieniają się tylko środki i nazwy. Konserwatywność nie trwa przy tym, co było wczoraj, ale jest życiem na gruncie tego, co obowiązuje zawsze. A »zawsze« nie podlega władzy czasu" – twierdzi. Ten kapitał nigdy się nie wyczerpuje, a świadczy o tym cud rozmnożenia wina albo starożytna maksyma mówiąca, że bogowie dają nam to, co najlepsze, za darmo. Bo wyczerpaniu ulegają jedynie porządki ludzkie, ale nie porządek świata. „Ufność w niego jest zaiste podstawowym rysem myślenia konserwatywnego, nawet wtedy, gdy wydaje się, że wszystko stracone".

Ernst Jünger, „Rivarol", Ośrodek Myśli Politycznej 2024

eprasa.pl cdcd0af3d8

Był początek stycznia 1942 r. Do Haliny Seydy dotarły przemycone z Pawiaka grypsy. Ewa Dreżepolska i Teofila Ull prosiły w nich o pomoc w zorganizowaniu ucieczki z więzienia. Nikt nie wydostał się w ten sposób z Serbii, kobiecej części Pawiaka. One były jednak mocno zdeteminowane

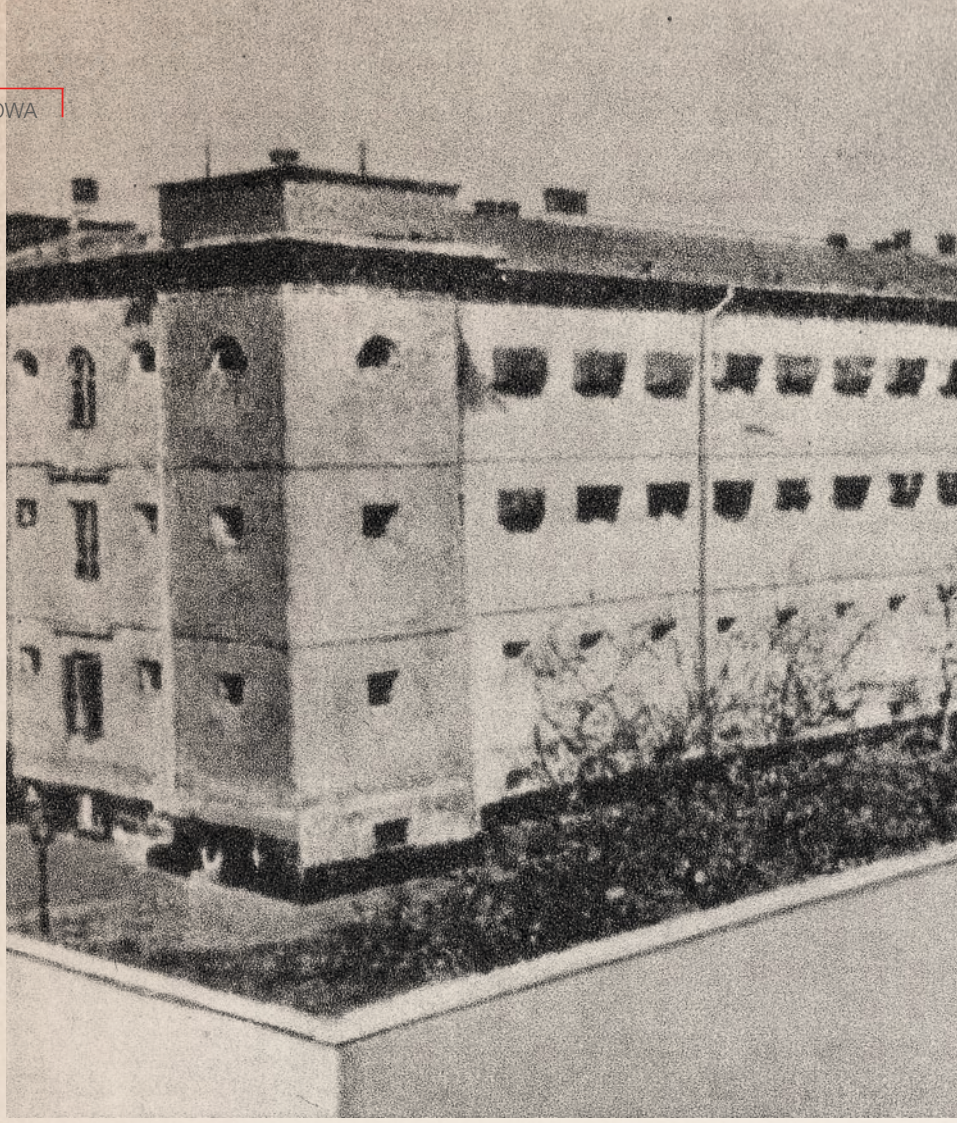

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jedyna ucieczka kobiet z Pawiaka

Pawiak był największym niemieckim więzieniem w okupowanej Polsce. Podczas wojny przeszło przez niego ok. 100 tys. osób. Transporty na egzekucję, przesłuchania lub do obozu były w zasadzie jedynymi sposobami na opuszczenie więziennego kompleksu. Ponad 37 tys. więźniów Pawiaka zostało zamordowanych przez Niemców w egzekucjach lub w trakcie przesłuchiwań albo zmarło w więziennym szpitalu. Pozostałych wywożono do obozów koncentracyjnych.

Na Pawiaku panowały wyjątkowo ciężkie warunki, cele były przepełnione, brakowało podstawowych środków czystości. Bestialsko torturowani więźniowie wycieńczeni biciem, głodem i chorobami umierali, nie mając nadziei na wolność. Polskie Państwo Podziemne od początku starało się infiltrować więzienie i zdobyć informacje o panujących w nim warunkach. AK skutecznie werbowała do konspiracji polskich funkcjonariuszy

eprasa.pl cdcd0af3d8

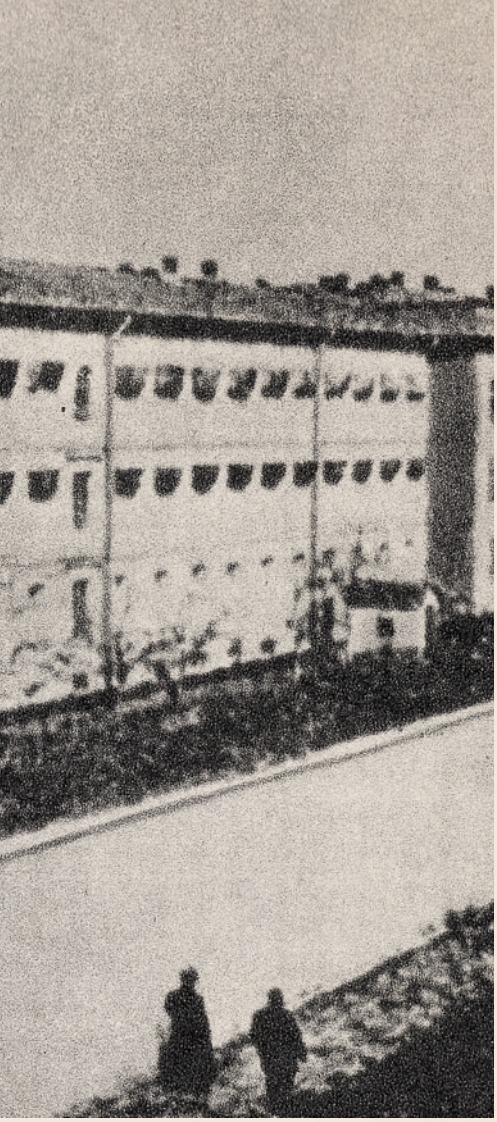

Fot. Domena publiczna

więziennych oraz członków personelu medycznego. Dzięki temu na zewnątrz przedostawały się wiadomości o tym, kto trafił do więzienia, jak jest traktowany oraz którzy niemieccy funkcjonariusze są najbardziej bezlitośni dla osadzonych.

TRZY KONSPIRATORKI

Zofia Przybytkowska, która obmyśliła plan ucieczki, w czasie wojny była znana jako Elżbieta Kwiatkowska. Należała do Komendy Obrońców Polski, podziemnej organizacji utworzonej na bazie Korpusu Ochrony Pogranicza i w większości wcielonej do AK w 1942 r. Gestapo zatrzymało ją w marcu 1941 r. Według relacji współwięźniarek podczas przesłuchań była straszliwie bita przez Niemców. Od dłuższego czasu przygotowywała ucieczkę. Plan akcji był prosty. Kobieta zamierzała zbiec przez niezakratowane okno na pierwszym piętrze budynku administracyjnego, które przylegało do ul. Dzielnej, w samym centrum warszawskiego getta. Klucz do odpowiedniego pomieszczenia udało się jej dorobić samodzielnie, gdy pełniła funkcję starszej korytarzowej na parterze Serbii. Do realizacji planu potrzebowała jednak towarzyszek, które mogłyby zorganizować pozostałe niezbędne akcesoria.

Teofila Ull z domu Wilczyńska przed wojną była nauczycielką, referentką w Głównej Składnicy Uzbrojenia, a od 1938 r. sekretarką w Instytucie Radowym Marii Skłodowskiej-Curie. W konspiracji posługiwała się pseudonimami „Ciocia", „Krystyna" i „Mleczko". Razem z Ewą Dreżepolską działała m.in. w komórce prowadzącej nasłuch radiowy i na jego podstawie redagowała, powielała oraz kolportowała podziemny biuletyn Związku Syndykalistów Polskich o nazwie „Agencja Radiowa". Obie bezpośrednio podlegały Halinie Seydzie, działaczce ZSP, a wcześniej Związku Wolność i Lud, która stworzyła biuletyn „AR" i była jego redaktorką. Teofila należała także do organizującej się komórki kobiecej Związku Odbudowy Rzeczypospolitej. 9 września 1941 r. otrzymała nominację na delegatkę ZOR na południową część Okręgu Kielce. Tego samego dnia została aresztowana w Warszawie razem z Ewą Dreżepolską w kotle Gestapo w związku z wsypą redakcji pisma „Dzień". Obie zostały osadzone na Pawiaku. Ewa i Teofila szybko podjęły decyzję o zorganizowaniu ucieczki. Obydwie pracowały w tzw. czarnej pralni, gdzie prało się bieliznę więźniów.

> Wszystkie bohaterki tej niezwykłej ucieczki przeżyły II wojnę światową, choć niedługo po wydostaniu się z Pawiaka każda z nich ponownie zaangażowała się w konspirację

Znaczna część polskich strażniczek i kobiecego personelu Serbii współpracowała z podziemiem niepodległościowym. Więźniarki poinformowały o swoich planach oddziałową Stanisławę Pawlak, również działającą w konspiracji. Ta skontaktowała je z Zofią Przybytkowską, która wtajemniczyła kobiety w swój plan. Ewa i Teofila miały znacznie ułatwione kontakty ze światem zewnętrznym. Związek Syndykalistów Polskich pomagał więźniom Pawiaka, organizując m.in. paczki żywnościowe i pomoc lekarską. Już od początku grudnia 1941 r. do więzienia w Warszawie przemycano kolejne numery „Agencji Radiowej". Z biuletynem „AR" współpracowała strażniczka Helena Łapińska zwana „Cegłą" i to właśnie jej Teofila przekazała gryps do Haliny Seydy.

PROBLEM Z KLUCZEM

Na liście zamówień było kilkanaście metrów mocnego sznurka, żydowskie opaski z gwiazdą Dawida oraz klucz do pralni, którego odcisk zrobiony w mydle został przysłany razem z grypsem. Szefowa „AR" miała też zorganizować bezpieczną metę w getcie oraz mapę miasta z zaznaczoną trasą dojścia do niej. Konieczny był także przewodnik, który miał przeprowadzić uciekinierki na aryjską stronę. Wszystko zostało zorganizowane błyskawicznie. Z przemyconego sznurka więźniarki zrobiły grubą linę, a następnie po kryjomu uczyły się chodzenia po ścianie za jej pomocą.

Uciekać mogły w poniedziałek, środę lub piątek, gdyż właśnie w te dni Przybytkowska pełniła dyżury korytarzowej na parterze Serbii. Dyżur kończyła o godz. 17.00. Właśnie wtedy zamierzała przejść do budynku administracyjnego i otworzyć drzwi do pokoju, w którym miała czekać na koleżanki. Żeby się tam dostać, pod koniec swojej zmiany Dreżepolska i Ull musiały otworzyć dorobionym kluczem drzwi wychodzące z pralni na podwórze, a potem niepostrzeżenie przebiec przez dziedziniec.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Stamtąd po linie miały się wydostać na zewnątrz.

Konspiratorki posiadały już sznur, gwiazdy Dawida i mapę. Największy problem stanowiło wyrobienie klucza do drzwi pralni, ale to również się udało. Miał on zostać dostarczony rankiem w środę 14 stycznia. Tego samego dnia kobiety zamierzały uciec. Okazało się jednak, że akcję trzeba odwołać. Nad ranem oddziałowa Pawlak zrobiła rozpoznanie. Klucz nie pasował. Kolejny, wykonany w chlebie, odcisk jeszcze tego samego dnia strażniczka przekazała na zewnątrz.

Drugim terminem był piątek 16 stycznia. Rano więźniarki otrzymały nowy klucz z lekko nadciętym końcem, aby w razie czego można go było skrócić. Przy huku bębnów pralni w wolnej chwili zeszły na dół do drzwi, żeby sprawdzić, czy pasuje. Po skróceniu klucz działał znakomicie. Ewa Dreżepolska ukryła go w suszarni razem ze sznurem i opaskami. Pozostało tylko czekać na wyznaczoną godzinę.

NIEOCZEKIWANA PRZESZKODA

Wraz z końcem zmiany w pralni Ewa i Teofila ustawiły się na końcu kolejki więźniarek gotowych do wyjścia. Ostatnie osoby, wchodząc na schody, gasiły za sobą światło. Był to jedyny możliwy moment, by niezauważenie zniknąć. Kiedy światło na dole zgasło, wszystkie więźniarki poza dwiema opuściły salę. Dźwięk przekręcanego zamka do drzwi oznaczał rozpoczęcie akcji. Ewa Dreżepolska szybko wyciągnęła ze skrytki klucz, woreczki z gwiazdami Dawida i sznur. Zbiegając po schodach, opasywała się nim pod płaszczem. Teofila Ull czekała już przy drzwiach na podwórze. Po ich otwarciu wyrzuciły dorobiony klucz i przesuwając się wzdłuż ściany suszarni, dotarły do budynku administracyjnego. Przez otwarte wcześniej drzwi wpadły na klatkę schodową i wbiegły po skrzypiących niemiłosiernie schodach na pierwsze piętro. Tam w kompletnej ciemności znalazły w końcu pokój, w którym czekała już Zofia.

Nie mając czasu do stracenia, Ewa zawiązała pętlę na klamce okna i wyrzuciła na zewnątrz drugi koniec liny. Jako pierwsza, opierając nogi o parapet i odginając się do tyłu, twarzą do ściany, zeszła po murze. Druga niemal zjechała na linie Teofila, a na koniec Zofia. Do pokonania została jeszcze jedna, nieoczekiwana przeszkoda – druciana siatka oddzielająca znajdującą się pod oknem wnękę budynku od ulicy. Ewa i Zofia błyskawicznie wspięły się na nią i po chwili były po drugiej stronie. Teofili zajęło to znacznie więcej czasu, ponieważ jej buty z szerokimi noskami nie mieściły się w oczkach siatki. Jednak w końcu udało się jej zaczepić i koleżanki przeciągnęły ją na drugą stronę.

Kobiety znalazły się na ul. Dzielnej. Ewa i Teofila ucałowały na pożegnanie Zofię, która odeszła z czekającym na nią pod oknem przewodnikiem w nieznanym kierunku. Od początku planowała ukryć się w getcie, pozostała dwójka chciała je jak najszybciej opuścić. Uciekinierki miały czas, aby zniknąć, najpóźniej do apelu o godz. 18.00. Wtedy ich ucieczka musiała zostać odkryta, a co za tym idzie, ruszyłyby poszukiwania.

Ewa i Teofila założyły na rękawy opaski z gwiazdą Dawida i szybkim krokiem ruszyły dalej. Udały się na ul. Świętojerską 23 do herbaciarni o nazwie Krasnowa, gdzie miały zamówić trzy herbaty i położyć na stole trzy banknoty o nominałach 10 zł. Na ten znak przyszedł do nich woźny z ośrodka zdrowia o nazwisku Karasek. Przeprowadził uciekinierki przez tajne przejście do sąsiadującego z gettem ośrodka, gdzie czekała na nich Halina Seyda oraz druga konspiratorka, Zofia Święcicka. Cała czwórka wpadła sobie w objęcia. Ostatnim elementem ucieczki był jeszcze przejazd dorożką już po aryjskiej stronie do Zakładu Baudouina, czyli najstarszego warszawskiego sierocińca prowadzonego przez siostry szarytki. Akcja dobiegła końca.

KURIERSKIE SZLAKI, ZRZUTY I POWSTANIE

Jak się później okazało, wszystkie bohaterki tej niezwykłej ucieczki przeżyły II wojnę światową, choć niedługo po wydostaniu się z Pawiaka każda z nich ponownie zaangażowała się w konspirację. Zofia Przybytkowska po wyjściu z getta opuściła Warszawę i trafiła do Okręgu AK Pomorze. Podczas powstania warszawskiego służyła w kompanii sanitarnej w Obwodzie „Radwan".

Ewa Dreżepolska dalej prowadziła dla Haliny Seydy nasłuch radiowy i redagowała komunikaty. We wrześniu 1942 r. została kurierką organizacji bojowej „Wschód", regularnie jeździła do Lwowa. W marcu 1943 r. przydzielono ją do referatu przerzutów powietrznych „Studnia", a następnie do Komendy Obszaru Warszawskiego Armii Krajowej jako sekretarkę i łączniczkę. W czasie powstania warszawskiego pełniła służbę w komórce przyjmowania zrzutów Komendy Głównej AK.

Po krótkim pobycie w Zakładzie Baudouina Teofila Ull została na dwa tygodnie ukryta w Siedlcach, skąd pojechała w okolice rodzinnego Miechowa, gdzie pracowała kilka miesięcy jako nauczycielka. We wrześniu 1942 r. również ona została kurierką organizacji bojowej „Wschód", jeździła w niebezpieczne misje do Wilna i Białegostoku. W styczniu 1943 r. została zaprzysiężona w AK, zajmowała się kolportażem prasy Biura Informacji i Propagandy KG AK.

Niestety końca wojny nie dożyła Halina Seyda. 4 lutego 1944 r. została przypadkowo zatrzymana na ulicy w dniu pogrzebu zabitego przez AK dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski gen. Franza Kutschery. Na jej nieszczęście miała przy sobie obciążające materiały. Po torturach w al. Szucha została przewieziona na Pawiak i osadzona w karcerze. Niemcy rozstrzelali ją 22 lutego 1944 r. w ruinach getta podczas zbiorowej egzekucji.

Niemieckich prześladowań nie uniknęły także cztery konspiratorki ze służby więziennej z Pawiaka: Janina Krzeczkowska, Wanda Maciejko, Weronika Karlson i Stanisława Pawlak. Zostały aresztowane wiosną 1942 r. za pomaganie więźniom, a następnie przewiezione do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück.

Wszyscy podziwiają akcję pod Arsenałem z marca 1943 r., gdy oddział specjalny Grup Szturmowych Szarych Szeregów odbił Jana Bytnara „Rudego". Niewielu zna historię trzech kobiet, które uciekły z ciężkiego niemieckiego więzienia 16 stycznia 1942 r.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Szukając Świętego Graala

Najlepsze dla przyjezdnych, najzdrowsze do życia, najbardziej przyjazne dla turystów i najpiękniejsze – światowe rankingi uznają to miasto za zwycięskie w wielu kategoriach. I nie da się temu zaprzeczyć. Walencja jest elegancka, bogata, zielona i bardzo gościnna

PIOTR OSTROWSKI

Kto by pomyślał, że już kilka godzin po przylocie będę z Pablem pił wino i śpiewał hiszpańskie pieśni na środku Plaza de la Reina? I to przy oklaskach publiczności! Wszystko przez moją żonę, która powiedziała poznanym muzykom, że „też dobrze śpiewam". Zanuciłem katalońską piosenkę „L'estaca", do której Jacek Kaczmarski napisał słynny polski tekst („Mury"). – Brawo Pedro, brawo! – krzyczy Pablo, który ze swym gitarowym zespołem jak co wieczór gra na miejskim rynku. W ten sposób na tarasie baru „La Catedral" niemal rozpocząłem karierę ulicznego pieśniarza.

Trudno nie pokochać Walencji od pierwszego wejrzenia. Stolica autonomicznej prowincji o tej samej nazwie faktycznie zachwyca: imponujące dekoracyjnymi fasadami kamienice, aleje pokryte czerwonym marmurem, ulice wysadzane olbrzymimi palmami i drzewami cytrusowymi. Co krok place i skwery między kwartałami dają wytchnienie od słońca i zgiełku. Świetnie zaprojektowana miejska przestrzeń jest gościnna i przyjazna. Tu musi się wygodnie żyć, tym bardziej że cały rok panuje umiarkowany klimat. Szybko też zapominamy, że jesteśmy w 800-tys. aglomeracji.

– Sami widzicie, jak tu zielono, spokojnie i niewiarygodnie czysto. To miasto, w którym można wypocząć – mówi Iza, która przyjechała z Polski w ramach Erasmusa, ale została na dłużej. – Mieszkam w centrum. Tu, w dawnym korycie rzeki Turia, której bieg zmieniono po katastroficznej powodzi, powstały fantastyczne tereny zielone. Przychodzimy tu biegać, na spacery z psem czy po prostu spotkać się z przyjaciółmi.

Prawie dziewięciokilometrowy park o powierzchni 110 ha obsadzony drzewami i krzewami, z fontannami, placami zabaw i rekreacji jest oazą spokoju oraz wytchnienia od wielkomiejskiego tempa. Egzotycznego klimatu dodają palmy i niezliczone kolorowe papugi, które zasiedliły miasto.

NA JEDWABNYM SZLAKU

Walencja stała się zamożnym miastem już w XV w. Dzięki wielkiemu portowi był to jeden z najważniejszych ośrodków handlu morskiego w Europie. Tutaj też trafiało złoto, srebro, kakao, przyprawy i inne bogactwa z odkrytej przez Kolumba Ameryki. Materialnym dowodem rozkwitu ówczesnej Walencji jest zjawiskowy kompleks budynków Giełdy Jedwabiu, Llotja de la Seda. Wówczas było to światowe centrum handlu tym włóknem. Ów symbol bogactwa Walencji i jej złotego wieku to prawdziwe arcydzieło architektury gotyckiej, wpisane na listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Zachwyca bogato zdobiona główna sala transakcyjna, której sklepienie jest podtrzymywane przez 16 smukłych, spiralnych kolumn. Tutaj kupcy rozwijali bele jedwabiu, zachwalając swój towar. Okazały dzwon odzywał się co najmniej dwa razy dziennie, oznajmiając początek i koniec giełdowej sesji. Zaciszne, porośnięte drzewami cytrusowymi patio pozwalało wypocząć po ubiciu interesu.

– Jedwab do dzisiaj jest obecny w życiu mieszkańców Walencji, którzy są bardzo przywiązani do tradycji i z dumą noszą swoje ludowe stroje. Nie tylko od wielkiego święta, lecz także w niedziele lub z okazji jakiejś uroczystości rodzinnej

Fot. Piotr Ostrowski

eprasa.pl cdcd0af3d8

– mówi Camila, przewodniczka, która oprowadza grupy turystów po starówce. – Jedwabne stroje szyte ręcznie i bogato zdobione haftami, koronkami, cekinami i kamieniami Swarovskiego czasem są warte fortunę. Taka kobieca suknia ludowa kosztuje nawet 6 tys. euro.

Napotkane odświętnie ubrane rodziny chętnie pozują do zdjęć, a na ich twarzach widać radość i dumę. Paradę tradycyjnych strojów można zobaczyć podczas święta Las Fallas, kilkudniowej fiesty na powitanie wiosny.

KAPLICA ŚW. KIELICHA

Nad centrum miasta góruje niezwykła budowla. Na gruzach świątyń rzymskiej, wizygockiej i muzułmańskiego meczetu Hiszpanie wznieśli katedrę, która dzisiaj wraz z trzema przyległymi do niej placami jest jednym z najbardziej charakterystycznych miejsc w Walencji. Świątynia Iglesia Catedral-Basílica Metropolitana de la Asunción de Nuestra Señora de Valencia, czyli Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zwana jest przez mieszkańców po prostu La Seu de Valencia. Jej budowa trwała 700 lat, tworząc zadziwiającą mieszankę stylów z różnych epok. Katedra nie jest spójną bryłą, lecz składa się z części dobudowanych przez wieki, można nawet odnieść ważenie, że zupełnie do siebie niepasujących. W licznych kaplicach znajdziemy wiele ważnych dla katolików relikwii, jak rękę św. Wincentego Męczennika, dzisiaj patrona Walencji, oraz wybitne dzieła sztuki, m.in. obrazy Francisca Goi.

Ale światową sławę katedrze przyniosła Kaplica św. Kielicha. Jest w niej przechowywany Święty Graal, z którego Jezus miał pić wino podczas ostatniej wieczerzy z apostołami. Do tego naczynia Józef zebrał krew Chrystusa po jego ukrzyżowaniu. Kielich przez wieki budził wiele emocji i stał się przedmiotem pożądania. Był bohaterem wielu legend i opowieści, m.in. filmowych przygód Indiany Jonesa czy ekranizacji bestselleru Dana Browna „Kod Leonarda da Vinci".

Przechowywany w walencjańskiej katedrze kielich to wykonana z czerwonego agatu niewielka czarka. Naczynie należące jakoby do Jezusa w późniejszym okresie zostało udekorowane złotymi uchwytami i szlachetnymi kamieniami. Badania naukowe wskazują, że kielich faktycznie mógł powstać w I w. w Ziemi Świętej, czyli w miejscu i czasie, w którym żył Chrystus. Do Hiszpanii kielich miał trafić w III w. za pośrednictwem św. Wawrzyńca. Do końca XIV w. był strzeżony przez mnichów w różnych klasztorach w Aragonii, a potem w pałacu w Saragossie, skąd w 1436 r. miał trafić do Walencji. Dzisiaj kielich znajduje się za pancerną szybą na zdobionej płaskorzeźbami alabastrowej ścianie kaplicy. Warto zapłacić 8 euro za wejście do katedry, aby zobaczyć Świętego Graala i obrazy Goi.

RZYMSKIE MIASTO SCHOWANE POD WODĄ

Aby lepiej zrozumieć Walencję, trzeba się cofnąć w czasie i zejść pod ziemię, a dokładniej pod taflę wody ujętą w czworokątny basen tuż obok katedry. Zobaczymy tam podziemne miasto, jedno z najstarszych na świecie. To początki Walencji założonej w II w. p.n.e. Można je oglądać za darmo, schodząc dwie kondygnacje w dół do niezwykłego i pięknie zaaranżowanego muzeum La Almoina. Na powierzchni 2,5 tys. m² znajdziemy świetnie zachowane ślady burzliwej historii miasta od jego założenia przez Rzymian przez epokę panowania Wizygotów, potem ponad 500-letni okres dominacji arabskiej aż do średniowiecza. Z czasów cesarstwa rzymskiego zachowały się ruiny kurii, bazyliki, część forum czy łaźnie. Wizygoci pozostawili po sobie baptysterium i absydę katedry. Wykopaliska odsłoniły też część alkazaru, czyli twierdzy z okresu muzułmańskiego. Zachowały się naczynia, mury, chodniki i place wyłożone mozaiką.

– W średniowieczu istniało tu centrum charytatywne dla ubogich. Słowo „almoina" oznacza jałmużnę i od niego wzięło nazwę muzeum – wyjaśnia Jasmina z tutejszej placówki. – Po zburzeniu zrujnowanych zabudowań w piwnicach odkryto rzymskie budowle z początków Walencji. Podczas badań okazało się, że podziemia kryją cały kwartał starożytnego miasta. Po 10 latach prac archeologicznych otwarto tu niezwykłe muzeum.

SKOK W XXII w.

Z eleganckich bulwarów Walencji w ciągu krótkiego spaceru można się przenieść do miasta przyszłości, jak mówią o nim sami mieszkańcy. Miasto Sztuki i Nauki, Ciudad de las Artes y las Ciencias to olbrzymi kompleks obiektów kulturalno-rozryw-

kowych. Niezwykłe budynki pokryte białą mozaiką i zanurzone w płytkich basenach są dziełem hiszpańskiego architekta Santiaga Calatravy, który ma na swym koncie niezwykłe projekty: słynne Auditorio de Tenerife, Bac de Roda w Barcelonie czy Puente del Alamillo w Sewilii. Futurystyczny kwartał Walencji zadziwia awangardową architekturą, której motywem przewodnim jest woda i morskie stworzenia. Ten imponujący kompleks jest dziś centrum kulturalnego życia miasta. W budynku przypominającym wieloryba odbywają się wystawy, spektakle operowe, teatralne, baletowe, koncerty flamenco.

Tu też mieści się największe w Europie oceanarium i delfinarium oraz planetarium, muzea, kina, restauracje i tereny rekreacyjne. Obiekt przypominający kształtem szkielet wielkiego morskiego stwora to z kolei centrum nauki. Warto wybrać się tu zarówno w ciągu dnia, kiedy biel budynków i błękit otaczającej ich wody tworzą imponujący kontrast, jak i wieczorem, gdy światła i iluminacje wydobywają dodatkowe walory tej niezwykłej architektury.

RAJ DLA SMAKOSZY

Wędrując ulicami starej Walencji, co krok można odpocząć i posilić się w licznych restauracjach, kawiarniach i oczywiście barach tapas. Właśnie tapasy i pinchosy to świetna opcja, aby w niewielkich porcjach spróbować wielu hiszpańskich przysmaków. Na zimno i ciepło, na bagietce lub solo, z rybą, serem, szynką, kiełbasą, owocami morza, minikrokietami, warzywami. Hitem kulinarnym jest bacalao, czyli pocięty w kostkę i smażony na głębokim tłuszczu dorsz w cieście kukurydzianym. Podobnie przyrządzane są tu krewetki królewskie. Najlepsze smażone tapasy w mieście podają w kultowym barze Boatella, do którego zwykle ustawiają się bardzo długie kolejki. Popularnym dodatkiem są pieczone ziemniaki pokrojone w kostkę i podawane z ostrym sosem salsa brava i majonezem.

I wreszcie słynna hiszpańska szynka jamón serrano, dojrzewająca w niskich temperaturach w górskim klimacie przez co najmniej 9 miesięcy. Za rarytas uchodzi jamón ibérico, szynka z czarnej świni rasy iberyjskiej karmionej żołędziami. Jej cena dochodzi do kilkuset euro za kilogram.

Fot. Piotr Ostrowski

Warto kupić kilka cieniutkich jak papier plastrów, aby doznać tej kulinarnej rozkoszy. Obowiązkowa jest też paella, tym bardziej że ta narodowa potrawa Hiszpanów pochodzi właśnie z Walencji. Paella valenciana jest przyrządzana z królikiem lub kurczakiem, fasolą i innymi warzywami oraz doprawiana mieszanką przypraw, w której główną rolę gra szafran.

Po obiedzie warto wpaść do jednej z najstarszych i najpiękniejszych cukierni Horchatería de Santa Catalina, która istnieje już od ponad 200 lat. Kusi nie tylko słodkościami, lecz także malowanymi ręcznie płytkami azulejos i zachowanym secesyjnym wystrojem. Trzeba tam koniecznie skosztować specjalności Walencji – horchaty. To biały napój, który przyrządza się z zasuszonych bulw cibory jadalnej. Warto też zamówić filiżankę gorącej czekolady, w której macza się churrosy, długie paluchy z chrupiącego na zewnątrz i miękkiego w środku ciasta smażonego w tłuszczu, których smak przypomina nasze pączki.

No i wino – nieodłączny element każdego posiłku. Specjalnością regionu Walencji jest aromatyczne czerwone wino z endemicznego szczepu bobal, czyli „byczek". Tę odmianę oraz monastrell uprawia się głównie w oddalonym od miasta o 50 km regionie winiarskim Utiel-Requena. Inną alkoholową specjalnością regionu jest aqua valenciana – drink na bazie soku pomarańczowego, cavy, ginu, wódki i odrobiny wody. Taki konkurent wenecjańskiego aperol spritz. W ciepłe dni wielkie puchary z żółtym napitkiem widać na każdym kawiarnianym stoliku.

ŚWIĄTYNIA SMAKÓW

W Walencji wcale nie trzeba iść do baru czy restauracji, aby dobrze zjeść. Można to zrobić na... targu. Mercado Central to jeden z najstarszych i największych zadaszonych rynków w Europie. Położony w zabytkowej części Walencji tuż przy Giełdzie Jedwabiu jest pełnym życia, gwarnym, ruchliwym miejscem, w którym można poczuć lokalny klimat i poznać smaki regionu. Jego architektura jest piękna: ogromna kopuła o średnicy 30 m, żeliwne kolumny i stropy, kolorowe mozaiki i kafle, witraże i malowidła ścienne. Na ponad 8 tys. m² ulokowało się ok. 300 stoisk. Wiele z nich to jednocześnie bary przekąskowe, w których mieszkańcy i turyści jedzą na śniadanie lokalne specjały i ucinają sobie pogawędkę. Wielu ludzi spożywa też produkty zakupione w Mercado na kamiennych ławkach przed budynkiem. To zresztą doskonała opcja śniadaniowa dla tych, którzy tak jak my wezmą hotel tuż przy targu. Sprzedawcy, u których codziennie kupowaliśmy chrupiące, ciepłe bagietki z cienko pokrojoną wędliną, już po dwóch dniach nas poznawali i z uśmiechem od razu podawali nasze ulubione przysmaki. – Ola! Jamón y granada, szynka i świeżo wyciśnięty sok z granatów? O tak! – Te gusta, smakuje? – Todo es delicioso, wszystko jest pyszne! Jakbyśmy znaleźli kulinarnego Graala.

eprasa.pl cdcd0af3d8

JĘDRZEJ TARANEK AKTOR

Na pewno tam wrócę

Od czego tu zacząć? W serialu „Ojciec Mateusz", który świętował niedawno 15-lecie, gram policjanta Paruzela, więc regularnie odwiedzam Sandomierz – perłę w koronie województwa świętokrzyskiego. Dzięki serialowi poznaliśmy też z ekipą cały, wyjątkowo malowniczy region. Gorąco polecam każdemu, kto nie był w tamtych stronach.

Prywatnie bardzo dużo podróżuję i staram się relacjonować te podróże w mediach społecznościowych (profil na Instagramie: taranek.official). W ub.r. przez długi czas numerem jeden była dla mnie Sri Lanka, niesamowita wyspa. Jeśli ktoś planuje podróż w tym kierunku – Indie i kraje ościenne – to na początek proponuję właśnie Sri Lankę. Jej charakter jest trochę europejski, ale na każdym kroku widać tu egzotyczną, bujną naturę, jest wspaniałe jedzenie i uśmiechnięci ludzie chętni do rozmowy i pomocy. Mam już tam przyjaciół i na pewno tam wrócę.

Mijają lata, a ja niezmiennie uwielbiam Bałkany, mimo że część genów powinna mnie prowadzić bardziej na Węgry. Przemierzam je samochodem. Są rozległe. Jadę od jednego miejsca do drugiego. Zabieram ze sobą namiot, bo lubię biwakować.

Trzykrotnie byłem w niewielkim serbskim miasteczku Guča. Raz do roku, w sierpniu, odbywa się tam festiwal trębaczy i zjeżdża się masa ludzi. Miles Davis, który odwiedził festiwal, powiedział, że dopóki tam nie przyjechał, nie wiedział, jak się gra na trąbce.

Piękna jest też Albania, wciąż pozostająca najbardziej dziką częścią Bałkanów mimo zmian, jakie zaszły w niej w ciągu ostatnich lat. Kurorty rozwijają się tu głównie nad morzem, ale w górach cały czas można zaznać spokoju i cieszyć się pięknem natury. Dawny bałkański klimat znajdziemy też w Bośni i Hercegowinie.

W ub.r. nowym i fantastycznym doświadczeniem był dla mnie udział w projekcie „Jędrek NieNaŻarty" – programie podróżniczo-kulinarnym zrealizowanym dla telewizji WP. Wędrowałem od Podhala przez Kraków po Kaszuby i od Wrocławia po Lublin. Zaglądałem pod ziemię, wypływałem na szerokie wody i docierałem w wyjątkowe miejsca, by odkryć także kulinarne skarby różnych regionów Polski. Odbiór programu był bardzo ciepły. Mam nadzieję jeszcze wrócić na ten szlak.

Na początku stycznia, już prywatnie, zaplanowałem wyjazd do Wietnamu, Kambodży i Tajlandii. To będzie moja pierwsza wyprawa w tamtym kierunku. Jestem bardzo podekscytowany.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

Fot. Facebook jedrzejtaranekofficial

SŁODKO-SŁONY

Owoce jak piórko

ANNA MONICKA

Nauka idzie do przodu, technologie przetwarzania produktów także. Przekonałam się o tym ostatnio, gdy w środku zimy szukałam warzyw i owoców. Świeże? Niemal bez smaku. Suszone? Wyłożone w wielkich pudłach jabłka i gruszki zdążyły wchłonąć tyle wilgoci, że wyglądały fatalnie. Poza tym konserwanty i cukier. Mrożonego – brak, przynajmniej w czasie poświątecznym. Poza tym cena woreczka wiśni – ponad 17 zł – wprawiła mnie w lekkie osłupienie, bo jeszcze niedawno kosztowały ok. 8 zł. Gdy zejdzie z nich glazura, owoców zostanie może szklanka. A wszystkim chce się witamin.

Wtedy wpadła mi w ręce liofilizowana żurawina wielkoowocowa. Moje zapasy dzikiej właśnie w tym roku zostały wyjedzone, więc postanowiłam zrobić eksperyment. 50 g to całkiem spora torebka (wielkości półkilogramowej kaszy). Cena porównywalna z mrożonymi wiśniami. Wsypane do ciepłej wody suche jak tekturki owoce szybko pęcznieją i nasycają ją smakiem, kolorem i zapachem – gdy przygotowałam z nich napar dla gości z limonką, rozmarynem i odrobiną miodu, nie dość, że pięknie wyglądał, to jeszcze wzbudził zachwyty dużych i małych, bo był pyszny. Tak przygotowane owoce zachowują wszystkie składniki odżywcze i witaminy. Trzeba tylko zadać sobie trochę trudu i poszukać hurtowni z najbardziej akceptowalnymi cenami. Żurawinę popijamy teraz z córką codziennie, dosypujemy ją do owsianek, jogurtów i twarożków, a nawet babeczek.

Sięgnęłyśmy też po inne owoce – gdy przeszukałam sklepy internetowe, okazało się, że wybór jest olbrzymi: maliny, jagody, truskawki, czarny bez, mango, jeżyny, brzoskwinie, ananasy. Niektóre pakowane w świetne słoiki typu wek, więc w kuchni na półce wyglądają jak ozdoba, a na dokładkę są z ekologicznych upraw potwierdzonych certyfikatami. Idealne na zimę i na przednówku, gdy organizm czasem domaga się witamin. I mogą postać kilka miesięcy, nie spleśnieją ani nie zgniją (chociaż to mało prawdopodobne, bo są tak smaczne, że szybko znikają).

A wszystko dlatego, że liofilizowanie odbywa się metodą sublimacji – woda jest wysysana z zamrożonych wcześniej produktów (nie tylko owoców, lecz także całych dań, np. dla astronautów).

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Łanie przy schronisku

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zwierzęta mogą czerpać różne korzyści z sąsiedztwa ludzi. Tą niezbyt oczywistą, zwłaszcza w przypadku zwierząt dzikich, a w dodatku łownych, na które ludzie polowali i polują od tysięcy lat, jest bezpieczeństwo. Wydawałoby się, że u kolejnych pokoleń powinien się rozwinąć zwyczaj unikania ludzi jako największego zagrożenia. A jednak istnieją silniejsze instynkty, pradawne lęki, wobec których blednie strach przed bliską obecnością ludzi.

Całkiem niedawno, nocując w schronisku w Beskidach, mogłem zaobserwować nietypową scenę. Wcześniej przez kilka godzin na szlaku nie spotkałem żadnych zwierząt poza nielicznymi sikorami i dzięciołami. Ponieważ dzień był śnieżny (wyjątkowo tej zimy), wiele zwierząt przeniosło się w niższe położenia, gdzie śnieg nie padał i nie trzeba było przekopywać zimnej, białej warstwy, żeby znaleźć pożywienie.

Kiedy jednak powoli zapadał zmrok, w lesie za oknem dostrzegłem ruch. Było już ciemnawo, więc dopiero po chwili się zorientowałem, że to dwie łanie. Powoli, co chwilę przystając na dłuższy czas, zbliżały się do budynku. Zatrzymały się w odległości kilkunastu metrów. Stały spokojnie, chociaż w schronisku panował ruch, świeciły się światła, a zwierzęta z pewnością dobrze słyszały i widziały ludzi. W pewnym momencie podeszły jeszcze bliżej, zatrzymując się przy pługu do odśnieżania. Zachowywały się jak zwierzęta domowe stojące w swoim obejściu.

Kiedy wyjrzałem nieco później, łań było już kilkanaście. Stały, czasem robiąc kilka powolnych kroków, i w ogóle nie wyglądały, jakby miały się oddalić ani tym bardziej uciec sprowokowane odgłosami. Najwyraźniej szykowały się do spędzenia nocy tuż obok schroniska pełnego ludzi. Spokojne, a nawet zrelaksowane.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać, nie czekały na obierki z warzyw z kuchni czy chleb. Nikt ich nie dokarmiał. Spędziły całą noc obok ludzi, możliwie najbliżej, jak się dało, bo bały się wilków. Rano pozostały po nich wygniecione w śniegu ślady ciał.

Chociaż wilki były i są w Polsce na tyle rzadkie, że większość jeleni nie miało z nimi kontaktu od wielu pokoleń, wrodzony strach przed tymi drapieżnikami pozostał. Jest tylko uśpiony. I kiedy jelenie zbliżają się do ludzi, można poznać, że w okolicy pojawiły się te drapieżniki.

eprasa.pl cdcd0af3d8

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Ucieczka od pytań

Od roku jesteśmy świadkami medialnego widowiska, które przez osiem lat rządów PiS jakoś nie występowało. Widowisko równocześnie złe i głupawe, a niekiedy tragicznie śmieszne. Przypominają się czasy komunistyczne, gdy władza odgradzała się od społeczeństwa, a dziennikarstwo było zastrzeżone dla wiernych i posłusznych. Sejm miał stałych, sprawdzonych komentatorów i było nie do pomyślenia, aby reporter sam z siebie chciał zadać jakieś kłopotliwe pytanie politykowi czy ministrowi. Nieco się to zmieniło w latach 80. i 90., ale dziennikarzy informacyjnych w mediach publicznych nadal obowiązywała bezpieczna zasada pisania „tylko za PAP". Gdy mimo to jakaś grupka żurnalistów uparła się, by jednak przepytać jakiegoś ważnego polityka, np. Aleksandra Kwaśniewskiego, w 1994 r. przewodniczącego Klubu Parlamentarnego SLD, jego ostateczną obroną była ucieczka. I taka jest geneza słynnego zdjęcia przyszłego prezydenta RP uciekającego z Sejmu po drabinie przed dziennikarzami. Czytelnicy mojej książki „Wygrać prezydenta" może pamiętają, że Kwaśniewski uciekł od odpowiedzi na wszystkie 120 pytań, również od tych najtrudniejszych – o prywatny majątek, które w 1995 r. zadawałem wszystkim kandydatom na urząd prezydenta.

Zjawisko totalnej głuchoty i ucieczki od pytań, czyli od odpowiedzialności, pojawia się zawsze, gdy do władzy dochodzi PO. Tak jak bieda, która wraca do Polski wraz z rządami Donalda Tuska. „Bo po to są te wybory, aby przez cały czas nie były nam zadawane tego typu pytania" – mówił w 2020 r. kandydujący na urząd prezydenta Rafał Trzaskowski. A cóż to było za skandaliczne pytanie zadane przez płockiego dziennikarza? O warszawskie ścieki z oczyszczalni Czajka, płynące do morza także przez Płock. Zadowolony z siebie Trzaskowski dostał od tłumu brawa i utrwalił dogmat PO o sensowności zadawanych pytań, które nie mogą być nie na temat i przede wszystkim nie mogą być dla polityka trudne czy kłopotliwe.

Ucieczka od niewygodnych pytań może przybierać różne formy, począwszy od udawania, że nie słyszy się pytania, nie widzi dziennikarza i jego kamerzysty. Wówczas w telewizorze mamy długi kadr wypełniony wyłącznie pytaniami reportera i miotającego się w milczeniu polityka, który udaje nie tylko głuchego, lecz także kompletnego niemowę. Ostatnio widzieliśmy kilka takich scen, np. kiedy dociekliwy dziennikarz telewizji wPolsce24 chciał się dowiedzieć od rzecznika prasowego poznańskiego MPK, dlaczego miasto kupiło używane, 30-letnie tramwaje z Niemiec, za ile i na jakich zasadach. Urzędnik przemierzał kolejne piętra, zaglądał do kilku pokoi, ale nie słyszał ani nie widział podążających za nim cierpliwie dziennikarza i kamerzysty. A przecież to właśnie rzecznik prasowy jest od udzielania informacji żurnalistom. Ale przykład idzie z góry.

Jeżeli szef opozycyjnej wówczas partii potrafił ogłosić ogólnopolski bojkot referendum (Tusk: „Uroczyście unieważniam to referendum") czy odmawiać udziału w swoich konferencjach prasowych dziennikarzom, którzy mają czelność zadawać niewygodne pytania, to nie dziwmy się, że to samo robią aspirujący politycy jego partii. Stąd widok dziennikarza stale zadającego to samo pytanie i polityka, który nie widzi, nie słyszy i w końcu znika za szybko zatrzaśniętymi drzwiami sejmowych pomieszczeń. Tak jak znika minister finansów Andrzej Domański, nie chcąc się podzielić swoimi rozterkami w sprawie wypłaty PiS należnej subwencji wyborczej.

Powrócę jeszcze do dawnych lat, które miały nie wrócić, lat komuny, schizofrenii w polityce i dziennikarstwie. Mówiło się wtedy – co innego słyszę, co innego widzę, co innego mówię. Dziś, za czasów „trzeciego Tuska", polityk KO dodatkowo zamilkł. A jego działanie często jest motywowane wyłącznie nienawiścią do politycznej konkurencji, jak choćby uchylenie przez minister zdrowia mgr filologii polskiej Izabelę Leszczynę decyzji o utworzeniu w Chełmie Centrum Digitalizacji Medycznej. Nie da się tego nie łączyć z hucznym sylwestrem, który urządziła w tym mieście Telewizja Republika.

I jeszcze typ głuchego, szczególnie na konkretne pytania o pieniądze, celebryty, łącznika między PRL a III RP. Chodzi o Jerzego Owsiaka zwanego przez lewacko-liberalne media Jurkiem albo Jurasem, syna pułkownika Milicji Obywatelskiej w Głównej Komendzie MO. Żeby nie odpowiadać na pytania o darowizny od spółek skarbu państwa dla powodzian, zabronił wstępu do swojej fundacji i udzielania informacji wszystkim dociekliwym konserwatywnym dziennikarzom. Ale żeby jego głuchota i ucieczka od niewygodnych pytań była bardziej skuteczna, zrobił z siebie ofiarę represji ze strony prawicy. Zgłosił policji, że jego życie jest zagrożone. I pewnie dostanie od Tuska specjalną rządową ochronę. Wszak zdaniem premiera Owsiak jest najwybitniejszym polskim i międzynarodowym ekspertem od udzielania pomocy charytatywnej. A skoro tak, to tym bardziej nie wolno mu zadawać żadnych pytań, gdyż już dawno zasłużył sobie na taki komfort ze strony dziennikarzy, jaki mają politycy UE, Rosji i Białorusi.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

W pościgu za rakietami

Andrzej Rafał Potocki

Padł kolejny rekord. Tym razem ukraiński pilot w trakcie jednego lotu myśliwcem F-16 zniszczył sześć ruskich rakiet. Do pogoni powietrznej miało dojść 13 grudnia. Tego dnia Moskwa wysłała w kierunku ukraińskich miast ponad 200 dronów, rakiety Kindżał i 94 skrzydlate pociski rakietowe. „Autor rekordowego wyniku zestrzeleń został naprowadzony na grupę ośmiu pocisków manewrujących i zniszczył dwa z nich za pomocą AMRAAM-ów, a następnie skrócił dystans do dwóch kilometrów i zniszczył kolejne dwa za pomocą sidewinderów" – podaje Defence24.pl. Już 100-proc. skuteczność wszystkich czterech pocisków powietrze–powietrze stanowiła duży sukces. Między wierszami mówi o tym pilot, który stwierdził, że odczuwał z tego powodu „bezgraniczną radość". Była ona spowodowana także tym, że mógł obserwować wszystkie cztery zestrzelenia, zapewne również wysoką skutecznością uzbrojenia i zniszczeniem połowy nieprzyjacielskich pocisków. Oczywiście nie było to tylko wojenne szczęście, lecz także efekt skutecznego naprowadzenia przez nawigatora na cel i dobre podejście do niego, które umożliwiło „komfortowe celowanie". Pilot opowiedział o akcji: „Rozumiałem, że szanse na trafienie pocisku lecącego z szybkością ponad 650 km są niewielkie. Najpierw musiałem znaleźć go na niebie, wyrównać wysokość i strzelać z odległości nie większej niż 500 m. Podlatywanie bliżej jest niezwykle niebezpieczne, w razie wybuchu 450-kg głowicy istnieje duże ryzyko, że samolot wleci w chmurę odłamków. [...]. Zrobiłem wszystko tak, jak uczono nas w USA".

W czasie II wojny światowej nasi piloci z dywizjonów myśliwskich w Anglii w podobny sposób niszczyli lecące na Londyn niemieckie bomby V-1. Ponieważ pędziły one z przelotową prędkością równą współczesnym pociskom manewrującym, czyli 645 km/h, mieli nieco trudniej niż dzisiejsi lotnicy spod znaku Tryzuba. Ówczesne samoloty przechwytujące (Spitfire bądź Mustang) były bowiem wolniejsze od F-16. Nasi mieli dwa sposoby na Vergeltungswaffe (broń V – odwetowa). Tradycyjny, dozwolony – dolot i ostrzał z w miarę bezpiecznej odległości. W dokładnie w ten sam sposób ukraiński pilot zaatakował ostatni z zestrzelonych ruskich pocisków manewrujących lecący w kierunku Kijowa. Skończyły mu się rakiety i postanowił użyć szybkostrzelnego działka Vulcan. Drugi sposób na strącanie niemieckich V-1 wymyślili nasi lotnicy, oficjalnie został on zakazany przez dowództwo RAF. Śmiałek podlatywał do latającej bomby i końcówką skrzydła swojego samolotu podbijał krótkie skrzydło V-1. Niemiecki żyroskop zaczynał wtedy świrować i latający pocisk wytrącony z trajektorii lotu walił się na ziemię. Żeby się tak bawić, trzeba było mieć stalowe nerwy i niezwykle duże umiejętności, bo chodziło dosłownie o centymetry. Przy 645 km/h nie było trudno o zderzenie z bombą. Cel – oszczędność amunicji i rzecz jasna pogoń za „mołojecką sławą". Widać Polak potrafi. Jak chce.

Współcześnie w zwalczaniu pocisków manewrujących i innych obiektów atakujących z powietrza cele naziemne na Ukrainie jeszcze lepsze są francuskie myśliwce odrzutowe Mirage. Dobra wiadomość. Pierwsze trzy samoloty bojowe Mirage 2000-5F trafią na Ukrainę przed 20 stycznia – przekazały w ostatnich dniach portale specjalizujące się w tematyce lotnictwa, powołując się na informacje francuskiego portalu Avionslegendaires.net. Francuskie myśliwce mogą osiągnąć większą prędkość i zostały stworzone przede wszystkim do przechwytywania oraz strącania celów powietrznych. Lepiej późno niż wcale.

Stany Zjednoczone ogłosiły nowy pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy o wartości blisko 1 mld dol. Co ciekawe, lista uzbrojenia, które w jego ramach pojedzie na front, jest bardzo krótka, co nie oznacza, że będzie to mało przydatna pomoc. Wręcz przeciwnie – to może być wręcz najważniejszy pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy. Najprawdopodobniej USA szykują iście gigantyczną dostawę amunicji dla wyrzutni HIMARS. Można pójść też jeszcze dalej i patrząc na ostatnie decyzje Białego Domu oraz sukcesy pocisków ATACMS (zasięg mniej więcej do 300 km) stwierdzić, że ten 1 mld dol. w dużej mierze zostanie przeznaczony właśnie na uzupełnienie skromnych zapasów tych systemów rakietowych w ukraińskich magazynach. Trudno bowiem w inny sposób wytłumaczyć tak ogromną wartość nowej transzy pomocy wojskowej dla Kijowa. HIMARS i ATACMS są zmorą sił Federacji Moskiewskiej, potrafią bowiem uderzyć w cele znajdujące się daleko na tyłach poza linią frontu. Trawestując cytat z filmu Barei: „Słuszną linię ma nasza władza".

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl cdcd0af3d8

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Otępienie

Aleksander Nalaskowski

Ciąg zdarzeń, a właściwie całe procesy, pokazują nam, że tkwimy głęboko w czarnej dziurze i nic nie zapowiada zmiany. Tusk, który jest takim samym nieszczęściem dla Polski jak komunizm, każdego dnia udowadnia, że władza, „jak on ją rozumie", polega na wysyłaniu hejterskich twittów i rozsiewaniu nienawiści. Już tylko najbardziej zabetonowany beton partyjny nie dostrzega, że formuła ośmiu gwiazdek stanowiąca logo rządzącej koalicji dawno się wyczerpała i teraz trzeba po prostu rządzić. A tego ani Tusk, ani jego podwładni najzupełniej nie potrafią. Umieją poniżać, wyzywać, obrażać, jątrzyć i psuć. Ale nie rządzić. A skutki tego stanu rzeczy odczuwają wszyscy poddani byłego króla Europy. Niżej podpisany też. Otrzymałem rachunek za gaz, który przerósł moje najgorsze obawy. A przecież to nie tylko ja. Miliony Polaków złapało się z tego powodu za głowy. Myślę, że również owi symboliczni wyborcy z Jagodna czy Wilanowa.

Żyjemy w czasie ustawicznej zawieruchy politycznej. Jesteśmy przebodźcowani informacjami, kłótniami, aferami, pomówieniami, plotkami, prawdą i kłamstwem, sprawami ważnej wagi i błahostkami. Nie szukamy prawdy, nie sprawdzamy wiadomości. Wierzymy każdemu słowu propagandy albo nie wierzymy niczemu. Przyzwyczajamy się do tego, że do władzy wybiera się pospolitych idiotów, nieuków, półgłówków i cwaniaczków rodem z targowiska. Tracimy wrażliwość na ważne sprawy, o których oni mają rozstrzygać. Uczymy się politycznej poprawności, nieujawniania swojego zdania i przemilczania prawdy. Fakt, że jeden gangster rządzi 38-mln krajem nie wzbudza naszych podejrzeń ani alarmu. Wielu patrzy na to tak, jakby nie chodziło o nasz kraj.

Już niemal nic nas nie dziwi i nic nie wzbudza buntu. Zobojętniali skupiamy się na tym, co nam najbliższe: na rodzinie, pracy, odpoczynku, czubku własnego nosa. Z tego powodu wielu z nas nie weźmie udziału w wyborach prezydenckich, nie widząc sensu w tej grze. Mam wrażenie, że ulegliśmy jakiejś pandemii otępienia, wyłączenia się z ważnego nurtu życia społecznego. Nawet nie wiem, czy ten stan jest odwracalny, czy nie przybiera kształtu odkształcenia trwałego, a nawet dziedzicznego.

Co musi się stać, co musi nas ukłuć, szarpnąć, wymierzyć policzek, abyśmy się wyrwali z tej obojętności?

Wkraczamy w nowy rok. Publicyści, eksperci, wielu zwykłych obywateli ma świadomość, że będzie on niezwykle ważny, trudny. Z którego wyjdziemy poobijani, krwawiący, posiniaczeni i z jeszcze większymi zadrami, nieukojonymi emocjami i brakiem nadziei. Aby to zmienić, musiałby nastąpić cud, a na to chyba nie zasłużyliśmy. Zresztą na cuda też jesteśmy zobojętniali.

Nie mając nic lepszego do roboty, oglądałem wszystkie trzy wieczory sylwestrowe w telewizji. Odniosłem wrażenie, że niczym się od siebie nie różniły poza katowaniem nas (myślę o moim pokoleniu) absolutnie amuzyczną sieczką, czymś, co tylko na wierzchu przypominało muzykę. Jedna Rodowicz tego nie zmieniła, występując w duecie ze sztucznie wylansowaną, średnio zdolną wokalistką. Całość tych koncertów była wycelowana w określoną generację, w ludzi gotowych „zabawić się na śmierć" (Neil Postman). Nie mam nic przeciwko temu, ale mam prawo oczekiwać, że jakiś fragment mediów rozrywkowych będzie tworzony z myślą o mnie i moich pokoleniowych upodobaniach. Ja i moje pokolenie jeszcze żyjemy, odprowadzamy podatki, w taki czy inny sposób budujemy Polskę i pomijanie nas w mediach jest nie tylko krzywdzące, lecz także krótkowzroczne. Sukces o. Tadeusza Rydzyka polegał na skierowaniu mediów do tych, których nikt nie chciał, którzy nie znajdowali siebie w żadnej z ofert medialnych, do ludzi starszych, odbiorców starej daty oczekujących szacunku i zrozumienia. Wyrwał ich z otępienia i dał nadzieję.

Stara psychologiczna reguła głosi, że każdy następny bodziec, aby zadziałał, musi być mocniejszy od poprzedniego. Co się zatem musi stać, co musi nas ukłuć, szarpnąć, wymierzyć policzek, abyśmy się wyrwali z tego otępienia i obojętności? Gdzie są granice naszej absorbcji głupoty, zaprzaństwa czy zwykłej zdrady? Jeśli tolerujemy zdrajcę sprzedającego nas Niemcom, akceptującego podległość wobec Rosji „taką jaka ona jest", to tak, jakbyśmy to my zdradzali, jakbyśmy to my kumali się z wrogami i sprzedawali Polskę.

Powtórzę to, co napisałem wiele tygodni temu. Odsunięcie Donalda Tuska i jego świty od wszelkiej władzy jest obecnie polską racją stanu. Zanim otępienie wejdzie nam w genotyp i nas anihiluje.

eprasa.pl cdcd0af3d8

Michał Korsun prezentuje:
Dlaczego Trump chce Grenlandię?

Ref. Shutterstock x3

Wycinki z przeszłości

„Ile zapałek użytkują rocznie mieszkańcy rozmaitych krajów?" – można się było tego dowiedzieć z grafiki zamieszczonej w „Kalendarzu Gebethnera i Wolffa na rok 1912". 14 lat później w ilustrowanym tygodniku dla młodzieży „Iskry" można było przeczytać o zapałkach szwedzkich. „Ich sława jest uzasadniona, przemysł ten jest bowiem w Szwecji naprawdę imponująco rozwinięty. Istnieje on już blisko 75 lat, a w Jonkoping, małym miasteczku szwedzkim uważanym za stolicę przemysłu zapałczanego, żyją rodziny robotnicze już od sześciu pokoleń pracujące w tym przemyśle. Maszyna fabryczna, ustawiona przed 60 laty przez wynalazcę szwedzkiego Lagermana, trwa dotąd i działa zupełnie sprawnie, a typ pudełka do zapałek, wprowadzony też przed 60 laty, nie tylko nie został udoskonalony, ale rozprzestrzenił się po całym świecie. Największe szwedzkie towarzystwo zapałczane posiada w 28 krajach ponad 150 fabryk zapałek i zatrudnia 50 tys. robotników. Gdyby pudełka zapałek, wykonane w ciągu 8 miesięcy, ustawić jedne na drugich, to utworzyłaby się kolumna, wysokością sięgająca do księżyca" – czytamy w tygodniku z 1926 r.

Zapałki powoli odchodzą do historii, ale bez wątpienia była to barwna historia.

(mk)

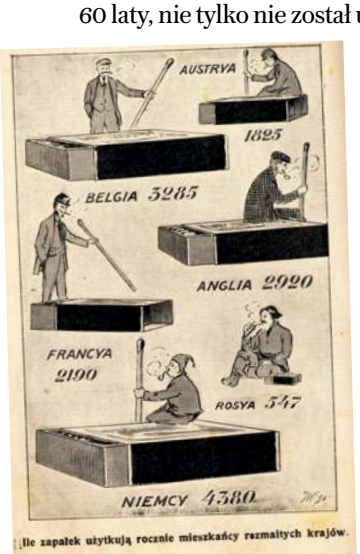

Z WOLEJA

Gloria victis, czyli niesprawiedliwe plebiscyty

Ryszard Czarnecki

„Łaska kibiców na pstrym koniu jeździ" – tak można by podsumować wyniki dorocznego plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na najlepszych sportowców Polski. Należałoby raczej powiedzieć: najbardziej popularnych. Można rzec, że zawsze ktoś będzie niezadowolony, ale to, co stało się w tym roku, przekroczyło granice elementarnego rozsądku. Ba, sportowej sprawiedliwości. Poza podium znalazła się przedstawicielka jednego z najbardziej wpływowych, światowych sportów, jakim jest tenis, pierwsza w historii naszego kraju medalistka olimpijska w tej dyscyplinie – Iga Świątek. Przez olbrzymią większość roku była liderem rankingu ATP najlepszych tenisistek i tenisistów świata oraz trzeci raz z rzędu, a czwarty raz w ogóle, wygrała prestiżowy turniej Rolanda Garrosa. Dziś jest najbardziej rozpoznawalnym polskim sportowcem na świecie obok Roberta Lewandowskiego, ale najwyraźniej dla naszych kibiców to za mało. Iga zachowała się z klasą, podziękowała tym, którzy na nią zagłosowali i nie narzekała.

Podobnie najlepszy żużlowiec świata Bartosz Zmarzlik, który w tym roku zdobył tytuł mistrza globu po raz piaty, dokładając do tego tytuł drużynowego mistrza Europy. To wystarczyło, aby znaleźć się w połowie pierwszej dziesiątki.

Po raz pierwszy od 32 lat (!) zdobyliśmy medal olimpijski w boksie. Bezpretensjonalna na ringu i poza nim równie dzielna młoda Julia Szeremeta zdobyła w Paryżu srebro, w finale przegrywając z reprezentantką Tajwanu, którą rok wcześniej wycofano z mistrzostw świata w tej dyscyplinie ze względu na problemy z udowodnieniem, że jest kobietą, a nie mężczyzną. Szeremeta była druga na igrzyskach, ale we wspomnianym plebiscycie dopiero siódma.

Sport często tak jak życie bywa niesprawiedliwy. Plebiscyty również. Miejsce w trzeciej dziesiątce (*o tempora, o mores!*) dla pierwszej w historii polskiego kolarstwa triumfatorki Tour de France Katarzyny Niewiadomej jest, proszę wybaczyć, czymś skrajnie niesprawiedliwym. Na IO w Paryżu była „dopiero" ósma, nie zdobyła medalu, ale 21 miejsce w plebiscycie „PS" woła o pomstę do nieba.

Gratuluję tym, którzy wygrali ten konkurs, i tym, którzy byli w prestiżowej pierwszej dziesiątce. Jednak elementarna sprawiedliwość karze upomnieć się o tych, którzy powinni być potraktowani przez naszych kibiców po prostu lepiej. W tym kontekście słowa „gloria victis" nabierają szczególnego znaczenia.

eprasa.pl cdcd0af3d8

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Trzy świąteczne tygodniki

Niekiedy wystarczy coś z czymś porównać, by zobaczyć znacznie więcej, niżby ktoś sobie zamyślił. Na naszym stoliku w święta Bożego Narodzenia spotkały się trzy tygodniki: „Newsweek", „Do Rzeczy" oraz „Sieci". W każdym tekst o Jezusie.

„CZEGO NIE WIEMY O JEZUSIE"…

…to tytuł rozmowy „Newsweeka" z prof. UW Łukaszem Niesiołowskim-Spanò, historykiem starożytności. Wynika z niej, że w świetle wiedzy naukowej o Jezusie jako postaci historycznej wiemy bardzo niewiele, a w dodatku wiele twierdzeń Biblii na ten temat jest bezpodstawnych. Zatrzymajmy się na dwóch wątkach spośród wielu podjętych w rozmowie.

SPIS LUDNOŚCI

Zapytany o fragment Ewangelii św. Łukasza mówiący, że aby wziąć udział w spisie ludności, Józef z brzemienną Marią ruszyli z Nazaretu do Betlejem, profesor mówi: „A dlaczego mieliby się spisywać w Betlejem? Wyjaśnienie, które podsuwa nam ewangelista, jest dość karkołomne: ponieważ Józef jest potomkiem Dawida, a Dawid pochodził z Betlejem, to Józef miał spisać się właśnie tam. Gdyby potraktować to serio, trzeba byłoby założyć, że wtedy, gdy zarządzono spis, czyli w 6 r. n.e., każdy miał się przemieścić tam, skąd pochodzili jego przodkowie. To absurd. Jeśli wszyscy ruszyliby w drogę, doszłoby do kompletnego chaosu, po którym prowincja długo nie mogłaby się podnieść. Rzymianie ogłosili spis nie po to, żeby wywołać zamieszanie, ale żeby ustalić, ile osób żyje na danym obszarze i ile podatków można z tego obszaru zebrać. Jeżeli Józef mieszkał w Nazarecie, powinien się spisać w Nazarecie"

„PIERWSZE DNI JEZUSA"…

…to tytuł tekstu Grzegorza Górnego z „Sieci". Przywołuje on dokument z 127 r. dotyczący spisu ludności opublikowany w 1989 r. przez izraelskich badaczy. Co istotne, słownictwo jest tam takie samo jak to, którym posługiwał się św. Łukasz. Z dokumentu wynika, iż w owym czasie spisów dokonywano nie z powodów statystycznych, a podatkowych, to zaś wymagało, aby osoba spisywana udała się do miejscowości, w której były jakieś jej nieruchomości. Zdaniem Górnego to tłumaczy, dlaczego Maryja z Józefem udali się do Betlejem.

Nawet w dzisiejszym pełnym zgiełku i bzdur świecie niełatwo jest zapomnieć o Jezusie

OCZYWIŚCIE, IŻ RZEZI NIE BYŁO

Tak prof. Niesiołowski-Spanò odpowiada zapytany o opisaną w Biblii rzeź niewiniątek dokonaną przez Heroda Wielkiego: „Nie ma żadnych historycznych danych, które by potwierdzały, że w tamtych czasach doszło do masowych zabójstw dzieci. Choć Herod miał twardą rękę, był okrutny wobec bliskich i niektórzy członkowie jego rodziny nie zmarli śmiercią naturalną, to jednak nie znaczy, że miał w zwyczaju zabijać wszystkie niemowlęta w regionie. Takie działanie – z punktu widzenia Heroda – nie miałoby żadnego sensu. Jaki władca chciałby się pozbywać przyszłych żołnierzy i podatników?".

20–30 CHŁOPCÓW

Tygodnik „Do Rzeczy" w rozmowie z biblistą ks. prof. Waldemarem Chrostowskim także podejmuje kwestię historyczności rzezi niewiniątek. Ksiądz mówi: „Powszechna w naszych czasach »hermeneutyka podejrzliwości« nieoparta na wiedzy historycznej, lecz na z góry przyjętym zakwestionowaniu prawdziwości Biblii i jej orędzia, arbitralnie wyklucza historyczność tych wydarzeń i ucina wszelkie dyskusje na ich temat. Jeśli wbrew tym naciskom dopuszczamy wiarygodność świadectwa biblijnego, to powinniśmy wiedzieć, że Betlejem i najbliższe okolice tego miasteczka liczyły wówczas ok. 1 tys. mieszkańców, a więc żyło tam nie więcej niż 20–30 chłopców w wieku do dwóch lat. […] oznacza to, że owa mordercza polityka Heroda, zwłaszcza w porównaniu z innymi jego zbrodniami, nie była zakrojona na wielką skalę i być może dlatego nie przyciągnęła uwagi ówczesnych historyków".

POZBYĆ SIĘ JEZUSA

W internetowym wydaniu „Newsweeka" rozmowa z prof. UW nosi tytuł: „Wszystko, co wiecie o Jezusie, to nieprawda. »Nie urodził się w Betlejem, mógł mieć żonę«". Ha, ha. Nawet w dzisiejszym pełnym zgiełku i bzdur świecie niełatwo jest zapomnieć o Jezusie. Ale można próbować unieważniać Chrystusa. Wszelako ci, którzy to robią, jeśli chcą pozostać na polu dociekań naukowych, powinni się bardziej postarać.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl cdcd0af3d8

„Polska to jest wielka rzecz”

Stanisław Wyspiański

Wesprzyj patriotyczne media

wPolsce24

Dane do wpłat:
Fratria Sp. z o.o.

Konto do wpłat z Polski:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

Konto do wpłat zagranicznych:
BIC (SWIFT): BPKOPLPW
PL69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

w tytule: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl cdcd0af3d8

wPolityce.pl

NAJŚWIEŻSZE INFORMACJE

nawet kiedy śpisz

WEJDŹ NA:

wPolityce.pl